

RYSOWNIK „THE NEW YORK TIMES” W „ŚLĄSKU”

MIESIĘCZNIK  
SPOŁECZNO-  
KULTURALNY

20.  
ROK  
ZE ŚLĄSKIEM

# ŚLĄSK

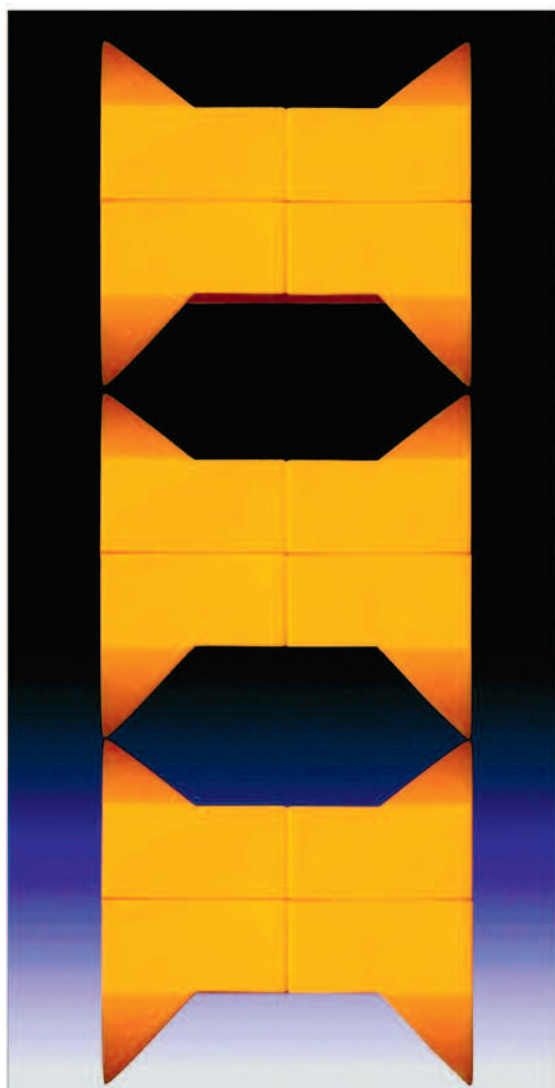
CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT)

www.slaskgtl.pl

Nr 6 (235) • ROK XX • CZERWIEC 2015

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

Rozmowa na „20. lecie”: TADEUSZ SERAFIN \* BOGDAN WIDERA – Szpiedzy  
w krainie walca \* Kanałami po Śląsku \* Poezja: JAN BARON \* JOANNA BATOR:  
Lubię cynamon, zahaczki i... \* Kolekcja jubileuszowa: ROMAN KALARUS



Koncertem galowym 26 maja 2015 roku Filharmonia Śląska uczciła jubileusz 70-lecia swego istnienia. Była to również okazja do wręczenia honorowych odznaczeń „Zasłużony dla kultury polskiej” oraz medali za długoletnią służbę i listów gratulacyjnych zasłużonym pracownikom tej instytucji. Gośćmi gali byli wicewojewoda Mirosław Szeźma i marszałek województwa śląskiego Wojciech Saługa.

Po części oficjalnej w sali koncertowej im. Karola Stryji, zabrzmiała muzyka: *II Koncert skrzypcowy d-moll* op. 22 Henryka Wieniawskiego, *Kyrie* na chór mieszany i orkiestrę symfoniczną Henryka Mikołaja Góreckiego i *Gloria* Mikołaja Góreckiego. Orkiestrą Symfoniczną Filharmonii Śląskiej i Chórem Filharmonii Śląskiej dyrygował prof. Mirosław Jacek Błaszczyk.



Fot. Tomasz Żak/BP

Fot. Małgorzata Mehlich/Muzeum Archidiecezjalne



Nowa stała wystawa w Muzeum Archidiecezjalnym, prezentująca sztukę sakralną została otwarta 30 maja 2015 roku. Na ekspozycji znalazło się wiele znakomitych dzieł dawnych mistrzów, wśród których do najcenniejszych należy powstały w 151 roku rysunek – projekt do arrasu *Przekazanie kluczy św. Piotrowi* autorstwa Rafaela Santi. Sztukę nową reprezentuje plejada wybitnych nazwisk artystów związanych m.in. z Akademią Sztuk Pięknych w Katowicach.

Na zdjęciu: (od lewej) bp Adam Wodarczyk, ks dr Leszek Makówka dyrektor Muzeum oraz Dariusz Ziółek, który wraz z nieobecną na zdjęciu wokalistką Ewa Sztydo przygotowali oprawę muzyczną wernisazu.

20 maja w Bielsku-Białej świętowali muzealnicy naszego regionu. Na dziedzińcu Zamku Sułkowskich odbyła się uroczystość wręczenia nagród Marszałka Województwa Śląskiego za wydarzenia muzealne roku 2014. W czterech kategoriach (wystawy; publikacje książkowe; dokonania z zakresu inicjatyw edukacyjnych oraz popularyzacji dziedzictwa kulturowego; dokonania z zakresu konserwacji) rywalizowało 49 przedsięwzięć, zgłoszonych przez 21 instytucji. W kategorii wystaw zwyciężyli: Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrze za wystawę „Niezwyczajna historia. Kopalnia Królowa Luiza w latach 1791 – 1998” oraz Muzeum Powstań Śląskich w Świętochłowicach za ekspozycję „Wystawa stała poświęcona Powstaniom Śląskimi i plebiscytowi”. Nagrody i wyróżnienia wręczała laureatom Gabriela Lenartowicz członek Zarządu Województwa Śląskiego.

Więcej na s. 76–77.



Fot. Tomasz Żak/BP

Nasz partner



Rybnik. Miasto z ikrą.

# JAN BARON

## Sen o wypadającym zębie

### I. Opłata manipulacyjna

Nie baw się obrączką – strofuje mama, która swoją zgubiła niedługo po ślubie –  
dziadka zwolniono z obozu dzięki pierścionkom danym komu trzeba w Berlinie.  
Nie baw się, wtóruje żona i ostrzega, że nie pozwoli mi sprawić sobie drugiej.

Nosimy obrączki kupione przez babcię i dziadka z myślą o złotych godach,  
skrywane w szafie między belami materiałów na nigdy nie uszyte kostiumy.  
Trzymałam dla ciebie. Prędko wsunąłem do kieszeni, ucieszony i zawstydzony.

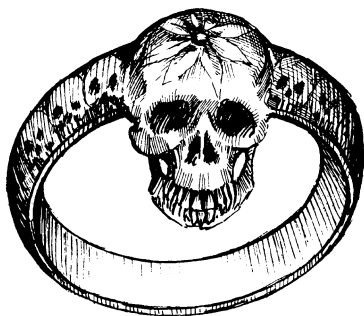
Stoję na Jasnej Górze w kolejce, by dać na mszę za zdrowie.  
Maryja ma zaciśnięte wargi, pręgi na policzku jak u wojownika.

Zsuwam i wkładam obrączkę. Złoto wręczone urzędnikowi, koperta  
zostawiona na biurku ordynatora, wszystko, by się wykupić, wykpić.

### II. Compassio

Zwykle strzygłem się krótko;  
teraz chcę, by ogolono mi głowę,

nie powinienem mieć więcej włosów,  
niż ty, siostró.



Rys. Wojtek Łuka

**Jan Baron**, ur. w 1985 r. w Rudzie Śląskiej. Publikował wiersze m.in. w „Cegle”, „Migotaniach”, „Odrze” i „Śląsku”. Debiutował tomikiem *Korekta* (Nowa Ruda 2010). Absolwent edytorstwa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Mieszka w Chorzowie. Przedstawione teksty pochodzą z przygotowywanej drugiej książki poetyckiej – *Układ scalony*.

WYDAWCA:  
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO  
LITERACKIE W KATOWICACH  
TADEUSZ SIERNY  
prezes  
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13  
tel. 32 253-62-21  
e-mail: zarzad@slaskwn.com.pl

WSPÓLWYDAWCA:  
BIBLIOTEKA ŚLĄSKA  
40-021 Katowice, plac Rady Europy 1  
tel. centr. 32 20 83 700  
informacja: info@bs.katowice.pl  
sekretariat: bs1@bs.katowice.pl

Redaguje zespół:  
WIESŁAWA KONOPELSKA  
Redaktor naczelna

KATARZYNA BERETA  
Dział krytyki literackiej  
portal www.slaskgtl.pl

MARIA SZTUKA  
Dział kultury

BOGDAN WIDERA  
Dział społeczno-historyczny

WOJCIECH ŁUKA  
Dział graficzny

IRENA FALKIN-SIBIGA  
Korekta

ADRES REDAKCJI:  
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13  
tel./fax 32 206-82-71  
e-mail: redakcjask@onet.pl

DTP: STP „KorGraf”  
40-081 Katowice, ul. Dąbrówki 15/12  
tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48  
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.  
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań  
tel. 61 633 71 65

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.  
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek  
i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku  
oraz skracanie korespondencji.

**Warunki prenumeraty:** poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych. Wpłaty należy dokonywać na konto: GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”, PKO PB SA I O/Katowice 92 102023130000 3302 00202176. Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna – 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

**Prenumerata zagraniczna:** poprzez Dział S.A.  
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31  
www.ruch.com.pl

Cena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)  
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Czasopismo

„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”  
jest dostępne w wersji elektronicznej  
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ

## W NUMERZE:

### PUBLICYSTYKA

3. RYSUJE: JANUSZ KAPUSTA
5. „ROZMOWA NA 20. LECIE”:  
*Rozmowa z Tadeuszem Serafinem* ŻYCIE W MUZYCE
8. *Bogdan Widera* SZPIEDZY W KRAINIE WALCA
12. *Jacek Kurek* BRZMIENIE MIASTA (O MUZYCZNOŚCI KATOWIC)
15. *Rozmowa z Krzysztofem Pendereckim* WYKORZYSTAĆ CZAS, KTÓRY JEST NAM DANY
16. *Dorota Szatters* FLORIANA ŚMIEI PRZYPADKI
18. *Henryk Szczepański* KATOWICE ZA SCHNEIDERA (II)
21. *Rozmowa z prof. dr. hab. Marianem Kisielem* STUDIA ŚLĄSKIE
22. *Rozmowa z Pawłem Gabarą* PRZERWANY SEZON
24. *Ryszard Bednarczyk* ZJAZD RODU DONNERSMARCKÓW
32. *Jakub Loginow* KANAŁAMI PO ŚLĄSKU
36. *Elżbieta Pisarczyk* ŚWIĘTA ŁĄCZNOŚCI
38. *Maria Dębicz* PILZNO TEATRALNE
41. *Sabina Waszut, Ewa Olejarz* DOBRY WIECZÓR. TU ĆMA
42. *Rozmowa z Piotrem Zalewskim* UDAJE NAM SIĘ TO, O CZYM MARZĄ INNI
53. *TROPEM KOLBERGA W ZAGŁĘBIU DĄBROWSKIM*
54. *Rozmowa z Joanną Bator* LUBIĘ CYNAMON, ZAHACZKI I SŁOJE ZE WSPOMNIENIAMI
58. **Jan F. Lewandowski** THOMALLA JAK KOBIELA
60. XXV LAT RESTYTUCJI SAMORZĄDU TERYTORIALNEGO  
*Krzysztof Kosiński* Z PORTO ALEGRE DO... TALLINA

### FELIETONY

35. NOTATNIK SPÓŹNIONEGO PRZYBYŚZA  
*Marek S. Szczepański* KRZYŻYS W ŚWIECIE I ŚWIAT W KRZYŻYSIE
44. Z MOICH GÓREK  
*Witold Turant* Z OKNA NA PLAC CZYLI BRZYTWIA OCKHAMA
56. PORADNIA JĘZYKOWA  
*Katarzyna Wyrwas* O PERFUMACH HISTORYCZNIE I POPRAWNOŚCIOWO
57. ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZZCZYNA  
*Jan Miodek* DĘGA, PODWIEL I OSTUDA
75. MIĘDZY NUTAMI  
*Magdalena Dziadek* EXTERRITORY CONCERT W CIESZYNI. PATRI PATRIAE – KONCERT LAUREATÓW
83. ANEGDOTY HERYKA BZDOKA
84. Z ZAPISKÓW EMERYTA  
*Jarosław Starzyk* W OGRÓDKU O SZCZĘŚCIU

### PLASTYKA

45. *Dagmara Drzazga* JANUSZ KAPUSTA. METAFIZYKA GEOMETRII
49. JANUSZ KAPUSTA. K-DRON
50. SZTUKA W PRZESTRZENI MIASTA. TYCHY. WYSTAWA W MUZEUM MIEJSKIM W TYCHACH.
51. *Patryk Oczko* TYCHY. SZTUKA W PRZESTRZENI MIASTA
84. KOLEKCJA JUBILEUSZOWA „ŚLĄSKA”: ROMAN KALARUS

### TEATR

64. *Joanna Warońska* TRESER KORPORACYJNY
65. *Wiesława Konopelska* FESTIWAL AVE MARIA – JAKI BYŁ, JAKI BĘDZIE?

### KSIĄŻKI

69. *Bogdan Widera* KRÓTKO O KSIĄŻKACH
70. *Krzysztof Hesk-Kwaśniewicz* KOSSAKOWNY I KOSSAKOWE
71. *Marek Brzeźniak* PRZED „HALKA” BYLI „BIURALIŚCI”
72. *Ewa Borkowska* WIERSZE ks. WIESŁAWA HUDKA
73. *Krzysztof Tarka* NAJWIERNIEJSZY SOJUSZNIK
74. *Janina Barbara Sokolowska* STANISŁAWA KRAWCZYKA PORTRET WIELOKROTNY

### POEZJA I PROZA

1. WIERSZ NA OTWARCIE  
*Jan Baron* SEN O WYPADAJĄCYM ZĘBIE
26. *Jan Baron* WIERSZE
28. *Miroslaw Orzechowski* HISTORIA CYWILIZACJI NA MOIM PODWÓRKU

### EKOLOGIA

62. (mat) EKOAKTYWNI W PARKU ŚLĄSKIM
63. *Jolanta Karmańska* NA POPRZEMYSŁOWYM SZLAKU

### STAŁE RUBRYKI

4. ŚLĄSKI MIESIĄC
66. Z ŻYCIA BIBLIOTEK  
*Katarzyna Ruchala* HISTORIA PEWNEGO KONKURSU
67. ZNAKI I TWARZE MIASTA KATOWICE. KATOWICE STREET ART. FESTIVAL

### NOTATNIKI KULTURALNE

68. OPOLSKIE
76. *Wiesława Konopelska* KATOWICE
78. *Jan Picheta* BIELSKO
79. *Joanna Kotkowska* CZĘSTOCHOWA
80. *Janusz Wójcik* OPOLE
81. *Maria Sztuka* ZAGŁĘBIE
82. *Jacek Sikora* ZAOLZIE

### NA OKŁADCE:

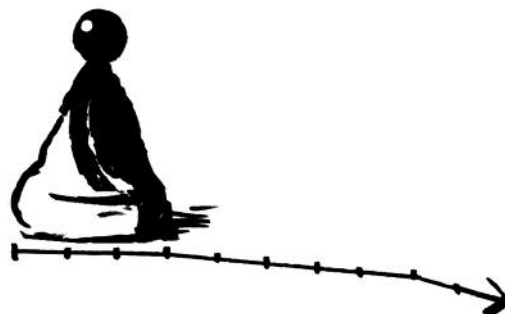
Janusz Kapusta: K-dron 4

# Rysuje: JANUSZ KAPUSTA

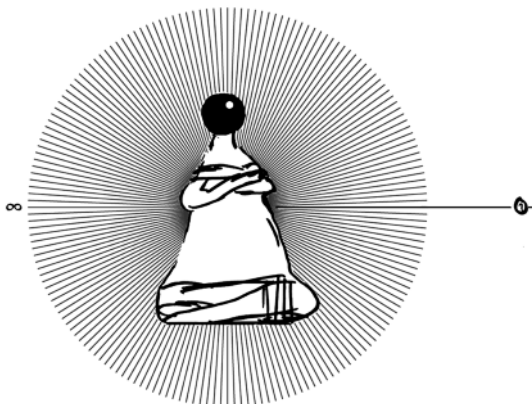
POPRAW SIEBIE. BĘDZIE O JEDNEGO  
ZŁEGO CZŁOWIEKA MNIEJ



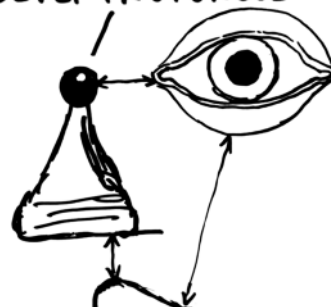
KAŻDY RODZI SIĘ GENIUSZEM,  
ALE NIE KAŻDY NIM UMIERA



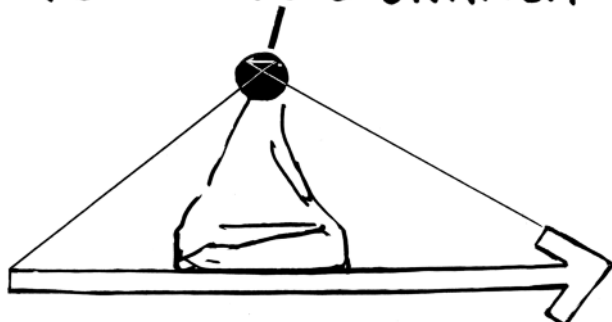
PRAWDA JEST JEDNA,  
KŁAMSTW - NIESKOŃCZENIE WIELE



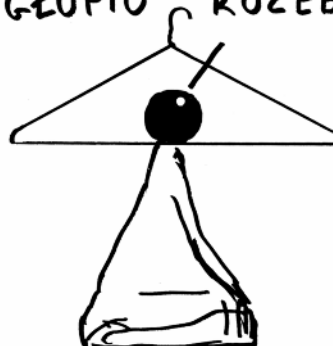
KAŻDY JE MA.  
TO NIE OCZY, NOS, USTA  
CZYNIĄ CZŁOWIEKA PIĘKNYM,  
ALE ODLEGŁOŚCI POMIĘDZY,  
CZYLI PROPORCJE



KOMU CZAS SIĘ DŁUŻY  
TEMU ŻYCIE SKRACA



MĄDRZE UBRANE KOBIETY  
SĄ CIEKAWSZE  
NIŻ GŁUPIO ROZEBRANE



# ŚLĄSKI MIESIĄC

Zapis wydarzeń  
z miesiąca  
poprzedzającego  
zamknięcie  
numera

■ MAJ był miesiącem wyborów prezydenckich, to one zdominowały rodzinne rozmowy i medialne przekazy. Kandydaci wielokrotnie gościli w naszym regionie. W pierwszej turze startowało 11 kandydatów – śląskim akcentem w wyborach była niewątpliwie kandydatka Magdaleny Ogórek rodem z Rybnika, która jednak odpadła z wynikiem zaledwie 2,38 proc. Pierwszą, prezydencką turę rozegrała 10 maja wygrał nieoczekiwanie Andrzej Duda, europoseł PiS-u (34,76 proc.) przed prezydentem Bronisławem Komorowskim (33,77 proc.). Niespodzianką był trzeci w kolejności wynik muzyka Pawła Kukiza z Opolszczyzny (20,80 proc.).

■ DRUGA tura wyborów prezydenckich 24 maja przypieczętowała polityczną zmianę, której zapragnęli wyborcy. Prezydentem został wybrany Andrzej Duda (51,55 proc. głosujących w kraju, w woj. śląskim 48,80 proc.), Bronisław Komorowski przegrał (48,45 proc. głosów w kraju i 51,20 proc. w woj. śląskim). Śląski akcent wyborczy – przedłużono o półtorej godziny ciszę wyborczą w całym kraju z powodu śmierci 80-letniej kobiety w Kowalach koło Skoczowa w lokalu wyborczym (w miejscowej strażnicy).

■ KNUROW stał się areną kilkunastu zamieszek między policją a tłumami kibiców spowodowanych tragiczną śmiercią jednego z nich. 27-latek zginął w sobotę 2 maja podczas burd na tamtejszym stadionie. Wyniki sekcji ujawnione przez Prokuraturę Okręgową w Gliwicach potwierdziły, że kibic zmarł z powodu krwotoku wewnętrznego i zewnętrznego po postrzale gumową kulą. Pogrzeb 27-latk z Knurowa 7 maja miał spokojny przebieg. Obyło się bez starć z policją, choć kibice „organizowali się w internecie ponad podziałami”.

■ IRENEUSZ Dudek znany śląski bluesman, twórca legendarnego Rawa Blues Festiwal obchodził 7 maja 64 urodziny, a także Abrahama w grze na harmonijce ustnej. Jak wspomina, pierwszą dostał od niezującego już basisty Wojtka Taboła.

■ APEL ponad 15 tysięcy Ślązaków przekonał Facebooka do uruchomienia w serwisie śląskiej wersji językowej. To także dowód na to, że śląszczyzna nie daje zamknąć się w skanseanie, że jest witalna i nadąża za światem mediów,

komputerów i internetu. Kaszubi, których 18 tysięcy dzieci uczy się kaszubskiego w szkole, też chcą wzorem Ślązaków, mieć swoją „facebookową” nakładkę. A Ślązacy z kolei chcieliby prawa do nauki śląszczyzny w szkołach.

■ MATURA trwała tradycyjnie przez cały maj. W woj. śląskim przystąpiło do niej 44 tys. absolwentów szkół średnich. Kasztany zdążyły zakwitnąć...

■ SŁODKIM PRL-owskim rarytatem, jak pamięta wielu, był wafelek Prince Polo. Któż nie lubił tego produkowanego w Cieszynie kruchego specjału w polewie, przeplatane go czekoladową masą w złościm opakowaniu z legendarnym napisem Prince Polo? Pocziwy wafelek stał się hitem eksportowym. Dokładnie 60 lat temu. Na rynek wprowadzony został w 1955 roku przez Zakłady Przemysłu Cukierniczego Olza w Cieszynie. Polubiono go nawet w Islandii, gdzie podobno cała populacja wychowała się na amerykańskiej Coca-Coli i polskim wafelku Prince Polo. Idealne połączenie. Produkuje się go nadal, choć Olza jest już zagraniczną własnością.

■ MISJĄ Śląskiego Centrum Chorób Serca w Zabrzu obchodzącego w maju 30-lecie działalności jest, jak podkreśla prof. Marian Zembala, „ratowanie, leczenie i dawanie nadziei”. – Po to właśnie jesteśmy – mówi prezydent Centrum prof. Zembala.

■ TRWA rozbiórka wieżowca DOKP, jednego z architektonicznych symboli Katowic. Zaledwie trzy miesiące wystarczyły na demontaż wnętrza katowickiego wysokościovca – biurowca Dyrekcji Okręgowych Kolei Państwowych. Pierwszy etap rozbiórki 17-piętrowego budynku rozpoczął się w marcu, w czerwcu rozpoczęcie się kolejny – zdemontowana m.in. zostanie elewacja gmachu i jego stalowa konstrukcja nośna.

■ SIEDEM lat czekaliśmy na nowe nazwy węzłów autostrady A4. Zniknęły węzły Batory, Wspólna czy Wirek. W ich miejscu pojawiły się nowe, logiczne i zrozumiałe dla kierowców nazwy: Chorzów, Zabrze Południe, Ruda Śląska. Do końca maja nowe nazwy otrzymało też czternaście węzłów przy śląskim odcinku autostrady A4 oraz trasy ekspresowej S1.

■ NIETOPERZE nową atrakcją turystyczną Beskidów. W Brennej pojawiło się jedyne w kraju obserwatorium nietoperzy. Mieści się ono na strychu tamtejszego gimnazjum. Podczas jego remontu odkryto niezwykłych mieszkańców. Okazało się, że w gimnazjum poza uczniami przebywają również dwa rodzaje nietoperzy – podkowiec mały i nocek duży. Pierwszy jest jednym z najmniejszych nietoperzy występujących w Polsce: długość ciała około 40 mm, rozpiętość skrzydeł do 250 mm, waga od 3,5 do 10 g. Drugiego długość ciała wynosi 7-8 cm, rozpiętość skrzydeł 35-44 cm, waga od 25 do 40 g. Oba gatunki są ściśle chronione. Warto podkreślić, że Brenna nietoperzami stoi. To właśnie w tej gminie na Śląsku Cieszyńskim można spotkać największą w Polsce kolonię tych latających ssaków.

■ PSTRĄGA, kielbasę albo kołocz z Beskidów kupisz przez internet. Drobnymi rolnicy i rybacy, stowarzyszeni w Lokalnej Grupie Rybackiej Bielska Kraina, wzięli w swoje ręce sprawy związane ze sprzedażą lokalnych wyrobów i założyli przedsiębiorstwo społeczne Fundacja EKO Bielska Kraina. Za pośrednictwem sklepu internetowego oferują świeże i ekologiczne produkty rolne i rybackie od producentów z rejonu Beskidu Śląskiego i okolic. Dla przykładu za kilogram świeżego pstrąga zapłacimy 20,50 zł, kilogram necówki to koszt 31 zł, a kołocz serowo-makowy to wydatek 20 zł za kilogram. Wystarczy wejść na stronę sklepu: [www.ekobielskakraina.pl](http://www.ekobielskakraina.pl).

■ POLITECHNIKA Śląska w Gliwicach kończy 70 lat. Wykształciła 157 tysięcy inżynierów. W Politechnice studiuje 26,5 tys. studentów. Na 15 wydziałach uczelni prowadzonych jest obecnie 50 kierunków studiów i blisko 200 specjalności, obejmujących cały zakres działalności inżynierskiej. 24 maja miało dokładnie 70 lat od momentu powołania do życia tej zasłużonej śląskiej uczelni.

■ PIEŁĘGNIARKI protestowały 12 maja w większości polskich miast. W naszym regionie akcja strajkowa odbywała się w Katowicach, Częstochowie, Bytomiu i w Bielsku-Białej. O co chodziło protestującym? Od kilku lat lista postulatów się nie zmienia: zbyt niskie płace, zapelnione sale chorych, brak podstawowego sprzętu medycznego, niedostateczna liczba personelu medycznego.

■ SEZON wystawnych przyjęć komunijnych to właśnie maj. Rodzice zliczają wydatki, a przedsiębiorcy zyski. Wartość rynku komunijnego szacuje się na – bagatela – 850 milionów złotych. Według badań, w 2015 roku rodzice na samą organizację Pierwszej Komunii średnio planują przeznaczyć 1500 zł. A i zaproszenie gości, zwłaszcza chrześcijan, musi się „wykosztować”. W rankingu prezentów furorę robi dobra elektronika, jak np. iPad, czy laptop, a także dobry „wypasiony” rower. Na szczęście moda na quady mija...

■ DWÓCH śląskich literatów nominowano do Nagrody Literackiej Nike: powieść „Drach” Szczepana Twardocha, a także tom wierszy „Umlauty” pochodzący z Siemianowic Śląskich i mieszkającego w Katowicach Tomasza Pietrzaka. Łącznie nominowano siedmiu autorów.

■ PLAC zabaw dla... seniorów powstanie w Żorach. Gra w szachy oraz w bule – takie między innymi atrakcje mają powstać w samym centrum żorskiej dzielnicy Pawlikowskiego. „Ogródek zabaw” dla emerytów będzie jednym z sektorów tworzonego właśnie Centralnego Placu Zabaw i Rekreacji, który składać będzie się z placu zabaw dla najmłodszych, placu zabaw dla młodzieży, siłowni „pod chmurką” i placu zabaw dla seniorów. Seniorom nie wystarczy już ławeczka...

KRONIKARZ



Z wielkim żalem i smutkiem żegnamy  
**JANA F. LEWANDOWSKIEGO**  
Przyjaciela  
i wieloletniego kolegę redakcyjnego „Śląska”,  
znakomitego filmoznawcę i historyka kina,  
publicystę,  
redaktora naczelnego  
kwartalnika „Fabryka Silesia”.  
Rodzinie i wszystkim bliskim Zmarłego  
głębokie wyrazy współczucia  
składa  
ZESPÓŁ REDAKCYJNY „ŚLĄSKA”

Z głębokim żalem żegnamy  
**dr. JANA F.  
LEWANDOWSKIEGO**  
członka Górnśląskiego  
Towarzystwa Literackiego,  
historyka, filmoznawcę,  
dziennikarza,  
animatora życia kulturalnego.

Wyrazy serdecznego współczucia  
Rodzinie i Bliskim  
składa  
zarząd Górnśląskiego  
Towarzystwa Literackiego  
w Katowicach

– Nie tak dawno temu minęło 25 lat od chwili, kiedy objął pan stanowisko dyrektora Opery Śląskiej w Bytomiu. Jeśli do tego dodamy lata nauki muzyki, czas studiów, pracę w ówczesnej Wielkiej Orkiestrze Symfonicznej, terminowanie u maestro Napoleona Siessa, to można powiedzieć, że przez całe życie jest pan związany z muzyką, że muzyka jest pana życiem. Zamilowanie do muzyki, a zwłaszcza do opery, musiało paść na podatny grunt. Jest pan związany ze Śląskiem od urodzenia. To jest pana miejsce na ziemi. Jaki zatem był pana dom rodzinny i czy muzyczny Śląsk, na którym się pan wychował, ze swoimi tradycjami śpiewaczymi odcisnął piętno na pana przyszłości?

– W moich żyłach płynie „muzyczna” krew, ponieważ ojciec grał około trzydziestu paru lat na skrzypcach tu, w operze. Ale to nie wszystko. Ze strony ojca, moja babcia grała na flecie, dziadek na klarncie, jeden z wujków – brat ojca – był skrzypkiem i prowadził orkiestrę dęta tu na Śląsku, drugi jego brat w Krakowie śpiewał w chórze i też grał w orkiestrze. Mój brat – altowiolista – od wielu lat gra w Królewskiej Operze w Oslo. Z kolei moje dwie córki są skrzypaczkami, a najmłodsze moje dzieci na razie tylko śpiewają i grają na cymbałkach i flecikach (*śmiech*).

– To była śląska rodzina z dziada pradziada?

– „Muzyczna” krew ale nie tylko śląska, bowiem babcia ze strony ojca pochodziła spod Wiednia, ale dziadek ze Śląska.

– Tak więc muzyka była czymś naturalnym i oczywistym w pana domu. Jednak czy rodzice nie odradzali synowi zawodu muzyka, co często zdarza się w tzw. muzycznych rodzinach?

– Muzyką nasiąkałem od najmłodszych lat. Ojciec – muzyk – nie bardzo chciał żebyśmy szli jego drogą. To były lata 50. i 60., więc nie było łatwo. Z czasem widział jednak nasze sukcesy oraz osiągnięcia i koniec końców zgodził się na naszą dalszą edukację muzyczną. Ale to mama bardziej popychała nas w kierunku muzyki.

– Wybrał pan niezbyt wtedy popularny instrument jakim był kontrabas.

– Tak, ale dzięki nauce gry na kontrabasie trafiłem do najlepszej orkiestry. Zresztą kontrabasistą zostałem trochę przez przypadek. Uczący mnie w ognisku muzycznym profesor Janicki zauważył, że mam dobry słuch – wobec czego bez problemów zdałem egzamin i znalazłem się w średniej szkole muzycznej w Bytomiu. Po-



Z TADEUSZEM SERAFINEM,  
dyrektorem naczelnym i artystycznym Opery Śląskiej w Bytomiu  
rozmawia WIESŁAWA KONOPELSKA

# Życie w muzyce

nieważ, jak to określił mój profesor miałem „łapę kontrabasisty”, a brakowało muzyków grających na tym instrumencie, zostałem kontrabasistą. Nie pisane mi było zostać pianistą – a od tego instrumentu zaczynałem edukację. Ponieważ byłem ambit-

ny, brałem udział w różnych konkursach zdobywając nagrody. Zacząłem też chodzić na dodatkowe zajęcia do Wyższej Szkoły Muzycznej w Katowicach. Moim pierwszym pedagogiem był prof. W. Gadziński ówczesny rektor.

– **Nie poprzestał pan na studiowaniu w klasie kontrabas.**

– Równoległe podjąłem studia na Wydziale Teorii i Kompozycji. Następnie spróbowałem sił na wydziale dyrygentury – zawsze mnie fascynowała rola prowadzącego orkiestrę – to też zaczęło się gdzieś w dzieciństwie. Po raz pierwszy stanąłem przed orkiestrą będąc uczniem bytomskiej szkoły muzycznej. Zadyrygowałem *Eine Kleine Nachtmusik* Mozarta. Dostałem też pierwsze w życiu brawa stojąc za pulpitem dyrygenckim. A potem przyszedł moment refleksji... i wróciłem do kontrabas. Po studiach zostałem muzykiem Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia. To była moja druga akademia.

– **A opera? Bywał pan tutaj? Bo żeby w przyszłości zdecydować się na kierowanie teatrem muzycznym trzeba – jak mi się wydaje – nasiąknąć tym specyficznym, niezwykle złożonym gatunkiem sztuki. Mając ojca muzyka w orkiestrze miał pan ułatwione zadanie.**

– Przyznam, że nigdy nie przypuszczałem, że mogę zostać dyrygentem operowym. Przychodząc do opery chciałem podszlifować swój warsztat jako dyrygent, ale jednak chciałem pozostać przy orkiestrze symfonicznej. Zresztą miałem wówczas sporo propozycji od różnych orkiestr w kraju. Nagrywałem w tym czasie w WOSPR-em, w warszawską „radiówką”, koncertowałem z filharmoniami w kraju i za granicą. Prowadziłem przez jakiś czas orkiestrę w tejże bytomskiej szkole – te zajęcia doradził mi profesor Napoleon Siess, który mówił, że orkiestra szkolna to dobry aparat do ćwiczenia różnych technik dyrygenckich. Kiedy zostałem asystentem Profesora Siessa prowadziłem orkiestrę akademicką.

– **Jak trafił pan do Opery Śląskiej?**

– Pewnego dnia dyrektor Siess oświadczył, że ma wolny etat asystenta dyrygenta i spytał czy nie chciałbym objąć tego stanowiska. Zgodziłem się. Z czasem zostałem dyrygentem, a potem koordynatorem do spraw orkiestry.

– **To był dla Opery bardzo trudny czas. Zresztą wszystkie instytucje kultury przeżywały okres tak zwanej transformacji czyli ogromnych zawirowań organizacyjnych i finansowych.**

– Tak, to było przed 89. rokiem. Pannał rozgardiasz. W tym czasie Opera odbywała pierwsze tournée po kontynencie amerykańskim, które organizował dyrektor Napoleon Siess. Niestety, w 1986 roku prof. Siess zmarł. Dwa lata później znów dosta-

liśmy zaproszenie, a zorganizowanie tej wyprawy powierzono mnie. Pamiętam, prowadziliśmy na zmianę z Antonim Wicherkiem „Halke” Moniuszki. To były pierwsze takie wielkie tournée polskiej opery po Stanach Zjednoczonych i Kanadzie.

– **Opera to złożone zadanie. To współpraca prócz orkiestry z solistami, chórem, baletem a także reżyserem, choreografem i sztabem ludzi, którzy mają wpływ na kształt przedstawienia.**

– Prócz umiejętności współpracy z kilkoma zespołami, także technicznymi, dyrygent musi jeszcze mieć tzw. instynkt sceniczny. Obserwowałem podczas prób dyrektora Siessa – wszystkie były szalenie dramatyczne, energetyczne, inspirujące dla wszystkich, głębokie pod względem filozofii muzycznej, ale też wizjonerskie. Na dodatek w danym dniu trzeba mieć wyczucie dyspozycji wykonawców, jak i publiczności. W zależności od temperatury, można jak się mówi podkręcić lub stonować tempo wykonywanych fragmentów. To niezwykle istotne zjawisko w muzyce, ale też wielki problem techniczny i filozoficzny, nad którym można dyskutować wiele godzin.

– **Można więc w pewien sposób „sterować” odbiorem dzieła.**

– To wielki temat interpretacji dzieła. Nowoczesna interpretacja jest związana z pogłębieniem dramatyizmu. W muzyce to są akcenty, gwałtowne crescendo, diminuendo, ostre tempa. Dzisiaj tempa są szybsze, bo szybsze jest nasze życie.

– **Dotyczy to nie tylko orkiestry.**

– Mając do dyspozycji naszą skromną sceną staram się zawsze zasugerować reżyserom dramatyczną i przestronną wizję spektakli. W ten sposób udało się w przypadku kilku realizacji wykorzystać tę małą scenę i zyskać większy oddech. Tak powstało sporo – moim zdaniem – bardzo dobrych spektakli. Ekscytująca scenografia, wizjonerska reżyseria oraz dramatyzm i tempo muzyczne mają zasadnicze znaczenie dla wizji spektaklu.

– **Napoleon Siess pozostał pana pierwszym i największym mistrzem?**

– W tym gronie, z czasów mojego pobytu w zespole WOSPR-u to był Semkow, Skrowaczewski, Krenz, Wit i jeszcze wielu innych. Z grona reżyserów wymienię tylko kilku, ale było ich znacznie więcej. Najdłużej współpracowałem z Wiesławem Ochmanem. Ale współpracowałem też z Laco Adamiakiem, Waldemarem Zawodzińskim, Roberto Skolmowskim, Markiem Weiss Grześnińskim, którego „Halke” wznowiliśmy na zamknięcie festiwalu jubi-

leuszowego Opery, także Lech Majewski – wielki polski reżyser, który zrobił kilka znakomitych oper na wysokim poziomie, chociażby nasz bytomski „Pokój saren” – absolutnie wizjonerski spektakl. Jest też wspaniały Henryk Konwiński – mamy za sobą wiele wspólnych spektakli, w tym ostatnią premierę wieczoru Moniuszkowskiego z „Verbum nobile” i „Na kwaterunku”.

– **Dla pana był to także czas licznych zagranicznych koncertów, także z Operą Śląską.**

– Podczas wyjazdów mogłem podziwiać perfekcję wykonawczą wielu zespołów, oznacza to, że spektakle grane na żywo mogłyby być nagrywane. Występowaliśmy w największych salach koncertowych Europy – na przykład w Sali Filharmoników Berlińskich czy Filharmoników Monachijskich, także w salach koncertowych Meksyku, dyrygowałem dość często w Portugalii, czy Korei Południowej. Graliśmy w bardzo ciekawych plenerach. Czasem zdarzały się niezwykle sytuacje, jak ta w Norymbdze, kiedy na niewielkiej scenie dyrygowałem „Nabucco”, Na widowni zasiadło wtedy około 400 osób. Sytuacja wytworzyła się taka, że oto Polacy grali spektakl o narodzie żydowskim, a za nami znajdował się ogromny mur, za którym w ogromnym amfiteatrze, w mrocznej przeszłości, Hitler przemawiał do 10 tysięcy Niemców, mówiąc o krucjacie na Wschód i eksterminacji Żydów.

– **Czy przez lata spędzone w tym teatrze nie ma pan żalu, że jest to ciągle ten sam budynek, że Śląsk nie doczekał się nowego okazałego, nowoczesnego teatru operowego?**

– To jest temat na osobny wywiad, ale rzecz jasna naszemu regionowi należy się taki gmach. A my staramy się z operą wychodzić poza nasz budynek. Kilkakrotnie występowaliśmy w bytomskich Dolomitach i na rynku. W dolomitach były to bardzo rozszerzone spektakle, a więc bardzo drogie. Występowaliśmy też – z widowiskiem „Carmina Burana” w katowickim Spodku. Opera Śląska jako pierwsza odważyła się wystąpić w tym obiekcie. Przyszło wtedy około 4 tysięcy osób. Dostyc często wyjeżdżaliśmy też do Sali Kongresowej w Warszawie. Pokazaliśmy, że Operę Bytomską stać również na takie przedsięwzięcia, że potrafimy grać i na dużych scenach i na naszej, bytomskiej. Zdarzało nam się też grać na jeszcze mniejszych scenach w Polsce ale także w Niemczech, Belgii czy Szwajcarii. Wszystko można zagrać wszędzie, jeśli się tylko chce. My budujemy tak scenografie, żeby można było zabu-



dować każdą przestrzeń. Jesteśmy bardzo mobilni i elastyczni.

– **Właśnie – na spektaklach operowych nie kończy się repertuar Opery Śląskiej.**

– Graliśmy koncerty z zespołem Dżem, gramy operetki, musicale, balety i gale, także koncerty symfoniczne – były to nie tylko „Harnasie” i „Stabat Mater” ale też *Koncert na orkiestrę* Lutosławskiego, *Koncert fortepianowy e-moll* Chopina czy uwertura koncertowa „Bajka” Moniuszki. Dziś publiczności proponujemy także koncerty á capella chóru Opery Śląskiej.

– **W statucie Opera Śląska ma zapis, że jest zespołem objazdowym w najlepszym rozumieniu tego słowa. To nie tylko spektakle – zresztą od powstania Opery – w Teatrze Śląskim w Katowicach. Dzisiaj spotyka się opinie, że jest to działanie zbędne, z różnych przyczyn. Jakie jest pana zdanie w tej kwestii?**

– Od 1945 roku jest to jedno z naszych najważniejszych zadań. Przez jakiś czas 30 procent spektakli graliśmy na bytomskiej scenie, trzydzieści na scenie katowickiej i 30 procent za granicą. Wyjazdy mają też swoje dobre strony – nowa publiczność, inny odbiór spektaklu, a to jest bardzo ważne. Bywało, że rokrocznie jeździliśmy do Sali Kongresowej w Warszawie – byliśmy tam bardzo oczekiwanymi gośćmi. Występowaliśmy też w Teatrze Polskim w Warszawie, odwiedzamy Jasło, Krosno, Rzeszów, Kielce, wiele miejscowości w województwie śląskim – znów odwiedzamy Dąbrowę Górniczą, gdzie występujemy w wyremontowanej Sali Pałacu Kultury Zagłębia. Ostatnio pojawiły się nawet oferty zagrania w Wejherowie i w Tczewie – teraz mamy już stałą współpracę. Prezentowaliśmy tam „Nabucco” i „Carmen”. Okazało się też, że dzięki funduszom europejskim powstało wiele sal w tych miastach, z dobrą akustyką i wyposażeniem technicznym. Zatem przeszłością są kiepsko wyposażone niewielkie sale.

– **W działalności Opery Śląskiej bardzo ważny jest Konkurs Wokalistyki im. Adama Didura. Kiedy następna edycja?**

– Kiedy odbędzie się kolejna edycja zadecydują środki finansowe. Prócz konkursu odbyła się też pierwsza Europejska Akademia Sztuki Wokalnej. Chcemy podtrzymywać te inicjatywy. Nagrywamy płyty – okazuje się, że wszystkie dotychczasowe pomysły z tym związane były bardzo udane. Pewnie wpływ na to ma moje doświadczenie pracy z mikrofonem. To dobra szkoła precyzji wykonawczej.

– **Czy ma pan możliwość zatrzymania czy chociażby współpracy z laureatami tych konkursów i najlepszymi absolwentami katowickiej Akademii?**

– Oczywiście, że tak. To zespół orkiestrowy, ale też chórzyci i soliści. Są to w większości absolwenci naszej akademii. Bazujemy na tych ludziach, bo poziom kultury wykonawczej na Śląsku jest bardzo wysoki. Dowodem tego są nasze inne orkiestry i chóry.

– **Czy jest szansa, że w bytomskiej Operze usłyszymy na przykład Piotra Beczałę czy Mariusza Kwietnia?**

– Myślę, że tak. Muszę powiedzieć, że Piotr Beczała przed wyjazdem na Zachód pierwsze rozmowy na ten temat prowadził w moim gabinecie, przy stole, przy którym teraz siedzimy. Przyszedł z profesorem Ballarinem, który zarekomendował Piotra Beczałę jako artystę, który wkrótce zawojuje świat. Zaproponowałem mu wtedy współpracę nawet go nie przesłuchując. Ale koniec końców on wybrał światową karierę. Dziś, jeśli przyjeżdża do Polski, to na występy w Warszawie. W Katowicach wystąpił z okazji otwarcia sali NOSPR, a więc była to szczególna okazja.

– **Sądzi pan, że powróci tu kiedyś z sentymentem, jak niegdyś Bogdan Paprocki czy Wiesław Ochman? Są jeszcze sentymentalni artyści? Czy to już jest inny świat?**

– Z grona tamtych artystów zostało już niewiele osób – w ramach festiwalu jubileuszowego odbyło się spotkanie z Krystyną Szostek-Radkową z okazji jej jubileuszu 60-lecia pracy artystycznej. Tak to jest, że jak się ktoś zadomowi w innym kraju, to nie powraca, rzadko może przyjechać na występy na naszych scenach i to z powodu jakichś ekskluzywnych okazji. Niegdyś tacy śpiewacy jak Wiesław Ochman, czy Andrzej Hiolski wracali – na tym polegał też ich patriotyzm. Hiolski dla mnie jest wzorem wielkiego śpiewaka...

– **A co pana trzyma w tej operze? Co tu dla pana jest najważniejsze?**

– Już od czasu studiów miałem wiele propozycji wyjazdu na kontrakt zagraniczny. Były to nawet bardzo dobre propozycje finansowe. Ale zdarzyło się tak, że tu, w Bytomiu przygotowywałem swój jubileusz. Nie mogłem zostawić wszystkiego, rzucić przygotowanym koncertem i wyjechać. To nie byłoby w porządku.

Wydaje mi się, że jestem coś dłużny temu krajowi, temu środowisku, bo kiedyś ktoś we mnie zainwestował. Dostawałem stypendia i pracę. W czasie kiedy rozpoczynałem pracę jako dyrektor, Opera Śląska była wtedy

w niezbyt dobrym stanie, uciekła z niej większość dobrych solistów. Ponieważ wywodziłem się z tego zespołu stworzyłem więc sobie ewolucyjną wizję pracy: uporządkować zastany stan, potem doposażyć teatr zewnątrz i wewnątrz, następnie poukładać i uporządkować zespoły, rozszerzyć repertuar a przede wszystkim unowocześnić i podnieść poziom artystyczny. Sporo z tych zamiarów udało mi się zrealizować. Dziś, jak sądzę, to już jest inny teatr.

– **Czyli spektakl życia jeszcze przed panem?**

– Nigdy nie zamykam sobie drogi. Powinniśmy jeszcze zrobić kilka spektakli współczesnych, bo jeśli chodzi o klasykę, zrobiliśmy sporo: była „Gioconda”, „Borys Godunow”, „Tanahäuser”, „Aida”, „Carmina Burana”, „Don Carlos”. Udowodniliśmy, że na tej niewielkiej przestrzeni mogą powstać wielkie spektakle. Z nowej literatury operowej prezentowaliśmy „Widma” w reżyserii Bradeckiego – świetny spektakl, był wspomniany „Pokój saren” Lecha Majewskiego i eksperyment operowy Piotra Schmitke „Madame Euroza” z muzyką konkretną, aleatoryczną, z nieprawdopodobnymi wizjami scenicznymi, ale publiczność oceniała rozmaicie. Uważam, że był to fantastyczny pomysł. W przyszłości chciałbym zrealizować dzieła Ryszarda Straussa, Prokofiewa, Szostakowicza, Debussy’ego. Do takich dzieł publiczność śląska powinna się przyzwyczaić.

Po jubileuszu Opera znów wybiera się w świat. Za mojej kadencji udała się ekspansja Opery Śląskiej na rynki zagraniczne. Graliśmy w wielu fantastycznych ośrodkach muzycznych Danii, Niemiec, Belgii, Hiszpanii, Francji, we Lwowie. Swego czasu byliśmy w czołówce zespołów wyjeżdżających za granicę. Powiem nieskromnie, że mogą nam pozazdrościć inne polskie zespoły. To jest jedno z największych dokonań naszej opery. W tej chwili mamy dobry punkt wyjścia do dalszych działań. A dlaczego tutaj zostałem? To były względy rodzinne, towarzyskie i zawodowe. Wiedziałem, że musiałbym wszystko zostawić na zawsze. A z drugiej strony miałem ambicje, żeby ten teatr wyprowadzić na szerokie wody europejskie i światowe. I to się udało.

– **Czy po tych 25 latach może pan powiedzieć: to jest mój teatr? Przechodząc ulicą, spoglądając na mury, na ludzi...**

– Opera to jest chimera, której trzeba się poświęcić bez reszty. Ona pożera człowieka w całości...



Wanda Gojniczek, Piotr Szalsza – zdjęcia do filmu

BOGDAN WIDERA

# Szpiedzy w krainie walca

W roku 1988 pojechaliśmy do Wiednia na trwające prawie trzy miesiące stypendium. Moim „bagażem” były wcześniejsze lektury – powieści Heimto Doderera (schody Strudlhofu były jednym z pierwszych miejsc, które poszedłem zobaczyć), Hermanna Brocha i uwielbianego przeze mnie Roberta Musila. Wiedziałem też o twórczym tam swoje naruszające niejedno tabu teorie Zygmunta Freuda. Natomiast moja wiedza historyczna na temat Austrii kończyła się właściwie na czasach długiego panowania cesarza Franciszka Józefa. Miałem także świadomość, że Adolf Hitler przyłączył w roku 1938 ten kraj do swojej „Tysiącletniej Rzeszy”, zresztą bez szczególnych protestów ze strony jego mieszkańców. O czasach II wojny światowej w dziejach austriackich miałem pojęcie dosyć blade. Dopiero w Wiedniu dowiedziałem się na ten temat trochę i były to rzeczy dla mnie zaskakujące.

Stypendyści, którym pobyt zafundowała organizacja katolicka, jadali obiady w stołówce kurialnej. Nasza polska grupka była zaszokowana, kiedy w piątek podano nam na drugie danie wcale pokaźne kotlety schabowe. Akurat wtedy do naszego stolika dosiadł się jeden z biskupów, więc poprosiliśmy go o wyjaśnienie tej bulwersującej dla nas kwestii. Powiedział nam wtedy, że w Austrii piątkowy post nie obowiązuje. Papież udzielił mieszkańcom dyspensy, bo ten kraj przegrał wojnę i ludzie byli niedożywieni. Dla nas, przybyszów z „kartkowej” Polski, było to trudne do zrozumienia, a nasza przynależność do obozu zwycięzców wydała się w tym kontekście czymś groteskowym.

Czas mojego stypendium zbiegł się z obchodami w Wiedniu kolejnej rocznicy Kryształowej Nocy. Organizowano mnóstwo ekspicyjnych koncertów, odczytów, wystaw, odsłanianie tablice. Wtedy dotarło do mnie, jak masowy cha-

rakter miał ten pogrom Żydów. Okazało się, że ci „kulturalni wiedeńscy” niczym nie różnili się od hord niemieckich barbarzyńców. A przecież jeszcze Jarosław Haszke, którego trudno posądzić o jakieś proaustriackie sympatie, w swoich *Przygodach dobrego wojaka Szwejka*, w znacznie lepszym świetle przedstawiał oficerów „znad pięknego, modrego Dunaju” niż tępych, pruskich żołdaków.

W miesięczniku „Dialog” przeczytałem kiedyś którąś ze sztuk Thomasa Bernharda. W czasie mojego pobytu w Austrii wybuchł wielki skandal związany z premierą jego kolejnego dramatu *Helden Platz*. Nie udało mi się zobaczyć tego *Placu bohaterów*, natomiast sporo o nim czytałem. Zaś autor byław regularnie na jednej z reprezentacyjnych wiedeńskich ulic (Karynckiej), poprosiłem więc, żeby mi go pokazano. Długowłose, w rozwianym prochowcu, już samym wyglądem

mógł prowokować ziomków. On jednak wolał drażnić ich swoją twórczością, w której piętnował rodaków za nazizm i sztychł bezlitośnie z ich hipokryzji. Można powiedzieć, że z premedytacją rozdrapywał narodowe rany i przypominał rzeczy, o których najchętniej by tu zapomniano.

---

### „Połówka” na katedrze

---

Stypendiści, poza realizacją swoich Scelów – nazwijmy to – naukowych, mieli też poznawać samo miasto. Obowiązkowa była na przykład wizyta w Operze Wiedeńskiej. Bywaliśmy więc we wspaniałych muzeach, oglądaliśmy pozostałości z czasów rzymskich i – oczywiście – kościoły. Kiedy już poznaliśmy wszystkie wspaniałości katedry pw. św. Szczepana, nasz przewodnik zwrócił nam uwagę na niepozorny napis przy wejściu do świątyni. Ktoś tam wypisał szkolną kredą coś, co można było odczytać jako O5. Nie była to jednak żadna „połówka” tylko „os” – skrót od Österreich (Austria). To był widoczny symbol działania austriackiego ruchu oporu. Świadectwo, że „za Hitlera” żyli i buntowali się przeciw nazizmowi wiedeńczycy. Nasz przewodnik był z tego wyraźnie dumny. Spojrzeliśmy po sobie, ale nikt się nie odezwał, nie wypada robić przykrości gospodarzom, choć z polskiej perspektywy ruch oporu kojarzył nam się nieco inaczej.

Wszystko to przypominało mi się podczas oglądania filmu *Bohaterowie ze Stein* Piotra Szalszy, filmu dokumentalnego, profesjonalnie zrealizowanego, a dla mnie osobiście bardzo cennego poznawczo, bo nie tylko wzbogacającego moją wiedzę, ale zmuszającego też do rewizji niektórych poglądów.

Zaczyna się wszystko w dniu 15 kwietnia 2014 roku w Krems, pod pomnikiem zamordowanych w pobliskim ciężkim więzieniu Stein. To było blisko 400 więźniów politycznych z 10 krajów, których stracono 6 i 7 kwietnia 1945 roku. Zebrało się pod monumentem kilkadziesiąt osób, złożono kwiaty... I w tym momencie Szalsza przypomina, że w tym samym więzieniu dokonano jeszcze jednej egzekucji, która odbyła się 15 kwietnia roku 1945. Tak, roku 1945, kiedy tylko dni dzielił świat od zakończenia wojny, a do Austrii wkroczyły już radzieckie wojska i wszyscy zdają sobie sprawę z faktu, że Niemcy przegrali.

---

### Kardynał każe bić w dzwon

---

W marcu 1938 roku Wehrmacht wkracza do Austrii. Wkrótce potem do Wiednia wjeżdża samochodem Adolf Hitler, nowa głowa państwa.

Wita go 600 tysięcy mieszkańców i to wręcz entuzjastycznie. Kardynał Innitzer każe na powitanie uderzyć w słynny wiedeński dzwon. Tu ciągle się wierzy, że – jak to zostało zapisane w *Liście do Rzymian* – wszelka władza pochodzi od Boga. Wkrótce potem dochodzi do spotkania hierarchy z „wodzkiem” w hotelu „Imperial”. Tam, w trakcie rozmowy, kardynał zapewnia Hitlera o tym, że austriacki Kościół zachowa wobec nowej władzy zyczliwą neutralność, z kolei nowa głowa państwa obiecuje, że pozwoli lokalnemu Kościołowi na pełnienie jego posługi. Szalsza ilustruje te wydarzenia fragmentami archiwalnych filmów, starymi zdjęciami oraz fotografiami artykułów prasowych.

Bardzo szybko, bo zaledwie po kilku miesiącach, okazuje się, że nazizm ma być w Austrii jedyną „religią”. Katolicyzm jest nowej władzy niepotrzebny. Lojalny Innitzer wydał specjalny List Pastorski, w którym nakazał duchowieństwu zajmowanie się wyłącznie duszpaństwem i niemieszanie się w żadnym przypadku do polityki. „Druga strona” nie miała jednak zamiaru dotrzymać ugody z „Imperialu”. Wydała decyzję o likwidacji zakonów i usunięciu ze szkół lekcji religii. Po Mszy św. dla młodzieży w wiedeńskiej katedrze, w której uczestniczyło około 6 tysięcy osób, naziści zorganizowali antykościelny wiec. 200 tysięcy rozwrzeszczanych fanatyków z transparentami pełnymi nienawiści.

---

### Wpadli przez ryby

---

W filmie Piotra Szalszy pojawiają się „gadające głowy”. To naukowcy, którzy przebadali (i opisali) wydarzenia z tamtych czasów w Austrii (która zresztą już wtedy nie istnieje, nawet



Ojciec franciszkanin Angelus Steinwender zginął w Stein

używanie tej nazwy jest zakazane). Dr Maksymilian Liebmann opowiada o duchownych, do których dociera prawda, że nazistowski system jest zbrodniczy. I mówi dalej o narodzinach w roku 1941 Austriackiego Wolnościowego Ruchu Antyfaszystowskiego – AFÖ. U jego początków było kilku, no może kilkunastu ludzi, w tym większość z Klagenfurtu. Dyrektor szkoły, poseł, żandarm... Organizację wspierają wiedeńscy franciszkanie. Ojciec Kapistran przekazuje jakieś pieniądze, prowincjał ojciec Angelo udostępnia im maszynę do pisania i powielacz. Pojawiają się zdjęcia konspiratorów, mówi się o ich działalności – raptem parę ulotek, jakieś odezwy, wypisanie w przeddzień zawodów sportowych na murach basenu hasła: „Niech żyje Austria” i „Precz z Hitlerem”. Liebmann zwraca jednak uwagę na to w jakich warunkach ta garstka działała. Oni nie byli otoczeni przez policję „tajne, jawne i dwupłciowe”. Ich wrogami byli „sami swoi”. Być może koledzy ze szkoły, dziewczyny, w których się kochali, sąsiedzi, nawet członkowie rodziny. Liczby przytoczone powyżej świadczą o tym, że zwolennikami Hitlera była ogromna większość społeczeństwa. Po obejrzeniu *Bohaterów ze Stein* wszystko to wydaje się oczywiste, jednak w roku 1988 oglądałem austriacki ruch oporu z polskiej perspektywy. Dziś „połówka” przy wejściu do katedry nie tylko nie budziłyby mojego politowania, ale skłoniłaby mnie do myślenia o heroizmie tych nielicznych. Tych, którym historia przyznała rację (ale nie wróciła życia).

Organizacja AFÖ zaczęła snuć plany – wysadzanie mostów, zamachy na hitlerowskich dygnitarzy, udawało się pozyskiwać broń... W 1942 roku spiskowcy postanawiają się spotkać. Pretekstem staje się jakaś konferencja na temat rybołówstwa. Niestety, obecny na niej jest również szpicel, który zanotował nazwiska uczestników i przekazał je komu trzeba. Policja aresztuje 50 osób. AFÖ przestaje istnieć.

---

### Straganiarze znad Olzy

---

Od wielu lat interesował mnie ruch oporu na Zaolziu. Ostatnio podczas przygotowywania audycji byliśmy z koleżanką w Czeskim Cieszynie, aby dowiedzieć się czegoś więcej o inżynierze Janie Ciachotnym. W Radiu Katowice pracował niemal od początku działania rozgłośni. Dla radiofonii były to czasy pionierskie. Wiele rzeczy działało się po raz pierwszy. I właśnie inżynier Ciachotny przygotowywał pierwsze, trudne transmisje „z terenu”. A Radio Katowice przeprowadziło wtedy na przykład relację (na żywo!) z dołu kopalni, ale transmitowało też bezpośrednio koncert słowika. W pobliżu gniazda ptaka zainstalowano mikrofon.



Ojciec Kapistran Pieller zamordowany w Stein

Na antenę trafiały imprezy sportowe, państwowe, artystyczne. Przygotowanie tego wszystkiego było za każdym razem dla radiowych techników nie lada wyzwaniem. Te zabawy z nowym medium przerwała wojna. Inżynier Ciachotny wrócił w swoje strony, pod Cieszyn. I tam wybudował radiostację. Siatkę wywiadową utworzyli ludzie związani z polskim ruchem ludowym. Informacje o niemieckich działaniach przekazywano na Zachód. Niestety znalazł się zdrajca i bracia Ciachotni zostali aresztowani. Po brutalnym śledztwie ścięto ich toporem w więzieniu pod Berlinem. W czasie naszej radiowej wyprawy nie dowiedzieliśmy się o naszym bohaterze za wiele. Z przykrością przyszło nam skonstatować, że w jego rodzinnych stronach i to wśród mieszkającej tam polskiej ludności wiedza o inżynierze Ciachotnym jest znikoma. Podobnie jak pamięć o tym niezwyklej osobie. Może udałoby się odkryć jakieś nowe materiały, gdybyśmy mieli więcej czasu... Na Zaolziu działał też rozbudowany wywiad ZWZ. Była „wsypa”, konspiratorzy trafili do Auschwitz, wielu stracono. Informację o tych ludziach, zresztą niepełną znaleźć można jedynie w nielicznych pracach naukowych. W miejscowościach, w których mieszkali, mało kto o ich martyrologii pamięta. Polskie władze komunistyczne nie były zainteresowane patriotami z ZWZ, czechosłowackie – tym bardziej.

Film Piotra Szalszy odkrył dla mnie jeszcze jedną grupę Zaolziaków, którzy walczyli z Hitlerem nie na swojej Ziemi Cieszyńskiej, ale w... Wiedniu. Mieszkańcy nadolziańskich miejscowości zaczęli wyjeżdżać do Austrii „za pracę”. Ale nie tylko. U nich rzeczywistość trudno było o robotę, Wiedeń był miastem przyjemnym, w którym dobrze się żyło, jednak część z nich miała inny cel. Anglicy uświadomili generałowi Sikorskiemu, że wojna nieprędko się skończy i w związku z tym trzeba w Rzeszy i na terenach przez nią okupowanych tworzyć siatki wywiadowcze. Przekazywali na to emigracyjnemu rządowi pieniądze. Do informowania Zachodu o tym, co dzieje się w Austrii Zaolziacy nadawali się wspaniale. Byli wykształceni, dobrze mówili po nie-

miecku, w dodatku to polscy patrioci. W ten sposób powstała organizacja STRAGAN. Dlaczego akurat taka nazwa – tego film nie wyjaśnia. Pokazuje natomiast szeroko tworzących ją ludzi. Jednym z nich był Karl de English. Urodzony w Krakowie z matki Austriaczki, tam ukończył studia w Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie też doktoryzował się z prawa, walczył w I wojnie światowej, potem pracował w służbie najjaśniejszego pana (cesarz pasował go zresztą na rycerza), współpracował z wywiadem II Rzeczypospolitej... Dzięki temu przyjeżdża do niego przedstawiciel konspiracji z Warszawy, z którym umawiają się na dalszą współpracę w czasie wojny. Taka biografia sama w sobie jest materiałem na scenariusz filmowy. I ten „de” oraz „von” spotyka się w swojej wiedeńskiej willi z Janem Mrózką, który zostaje dowódcą STRAGANU. Organizacja się rozrasta, dochodzi m.in. siostra Mrózka, Ewa, Władysław Gojniczek, Władysław Babiński, Maria Magnusek, szybko zbiera się setka osób. Na ekranie przesuwają się czarnobiałe zdjęcia twarzy, padają nazwiska... Ale nie to jest najważniejsze. Przy okazji dowiadujemy się, ile członkowie STRAGANU dokonali. A lista ich osiągnięć jest imponująca. Babiński pracujący w rzecznej firmie spedycyjnej przekazuje dane dotyczące tego, co się Dunajem przewozi (chodzi m.in. o broń), szkicuje plany portów i wybrzeża (a są to plany dokładne). Inni „opiekują się” zakładami przemysłowymi, produkującymi czołgi, silniki odrzutowe do samolotów, inną broń. Są plany miast, rysunek rozmieszczenia wiedeńskiej obrony przeciwlotniczej, sporządza się raporty o nastrojach (coraz gorszych) wśród ludności. Kurierki i kurierzy przewożą to wszystko do Warszawy, która przekazuje te materiały do Londynu. Posłańcy STRAGANU w drodze powrotnej przewożą pieniądze, sfalszowane bardzo udanie bony żywnościowe, nawet broń i aparaty fotograficzne. Walizki z podwójnym dnem, skrytki w zapalniczkach, szminkach... Wszystko jak w filmie szpiegowskim.

Najbardziej spektakularnego wyczynu dokonuje Maria Magnusek, która uzyskuje od austriackiego inżyniera informację

o Peenemünde. Tam przygotowuje się produkcję „cudownej broni” – pocisków V-1 i V-2. (Po Stalingradzie jej informator prosi o pisemne zaświadczenie, że współpracował ze STRAGANEM, bo nie ma już złudzeń co do wyniku wojny.) Ten ważny materiał wiezie do Warszawy osobiście Jan Mrózek, ale Anglicy nie wierzą początkowo rewelacjom o nowej broni. Przekonują ich dopiero kolejne meldunki. Peenemünde zostaje zbombardowane, fabryki Niemcy już w tym miejscu nie odbudowują. W tej części filmu dużą rolę odgrywa komentarz dr. Mieczysława Starczewskiego, który jako jeden z nielicznych historyków polskich zajmował się zaolziańskim ruchem oporu.

STRAGAN jest świetnie zorganizowany, działa z rozmachem, wydaje się, że nic mu nie zagraża. Niestety, zbyt wielu ludzi znało nazwiska, adresy... Wiosną 1944 roku organizacja zostaje rozbita, a jej członkowie aresztowani. Zaczyna się brutalne śledztwo.

### Kat wymawia pracę

Latem roku 1944 zaczynają się procesy członków AFÖ. Opóźniły się trochę ze względu na zamach na Hitlera. Ale – być może z tego samego powodu – wyroki zapadają surowe. Jeszcze w marcu 1945 roku gilotyńską wiedeńską pracuje pełną parą. Straconych zostaje 20 osób, w tym trzech członków AFÖ, bardzo dla tej organizacji zasłużonych. Jednak pod Wiedniem już podchodzą Rosjanie i kat odmawia wykonywania dalszych egzekucji.

Po procesach są już też ludzie ze STRAGANU. Ponad czterdzieści osób (w tym cztery kobiety) zostaje skazanych na śmierć i czeka na wykonanie wyroku. W grudniu 1944 roku Zofia Kubuško rodzi w więzieniu syna swojego narzeczonego Jana Mrózka. Małego Michała Jana udaje się rodzinie wykupić z więzienia, trafia on do babci w Wędrzyni. Z celi śmierci ucieka Władysław Babiński, zabiera z celi sztambuch, do którego zdążyli się wpisać prawie wszyscy aresztowani ze STRAGANU. Na filmie można obejrzeć niektóre karty tego poruszającego dokumentu.

W kwietniu roku 1945 z więzienia zostają zwolnione owe cztery kobiety. Przez krótką chwilę mają nadzieję, że na wolność wyjdą także pozostali więźniowie.

### W miniaturze

Prokurator Johann Stich upiera się jednak, żeby „zdrajców” zabić. Więźniów z AFÖ i ze STRAGANU wprowadza się z Wiednia. Idą przez kilka dni do więzienia w Stein.

Zimą 1944 roku Niemcy ewakuują więźniów obozu Auschwitz. Pędzą

tysiące w kierunku Rzeszy. Tę drogę nazwano „Marszem śmierci”, ponieważ wielu „ewakuowanych” nie przeżyło. Jednak znaczna część (w tym mój przyszły ojciec) po wojnie wróciła do domu. Z „miniatury” marszu śmierci z Wiednia do Stein nie ocalał nikt. Szli w kwietniowym deszczu i wietrze, trzymano ich pod gołym niebem, czasem w zrujnowanej stodole, po drodze trafił się „ludzki” burmistrz, który kazał – jak wspomina świadek – ugotować dwa kotły kartofli, żeby ich nakarmić.

Docierają do więzienia Stein. I czekają do 15 kwietnia 1945 roku na śmierć. I tu odbywa się miniaturowa, więcej – mikroskopijna „powtórka” z Katynia. Około czterdziestu członków AFÖ i STRAGANU zostaje zamordowanych strzałem w potylicę. Giną ojciec Angelo Steinwender, Karl de English, Jan Mrózek i wielu innych, których zdjęcia można było zobaczyć w filmie. Ciało wrzuca się do masowego grobu i pokrywa wapnem.

A prokurator Johann Stich w 1948 roku został skazany na 8 lat więzienia. Ale nie ze względu na rzesze ludzi, których skazał na śmierć, tylko dlatego, że wspierał osoby związane z NSDAP przed rokiem 1938 (do tego czasu nazistowska partia była w Austrii zakazana).

## Obraz i słowo

Skrótowo i dosyć pobieżnie przedstawiłem opowiedzianą w filmie *Bohaterowie ze Stein* historię. Odebrałem ją bardzo osobiście i emocjonalnie, bo przywoływała w mojej pamięci gdzieś tam w tle tragiczne losy wojenne mojej rodziny z Zaolzia. Rozstrzelanych dziadków, ciocię i wujków, których nigdy nie poznałem. Teraz pora, żeby się zająć samym filmem.

Niewątpliwą zasługą Piotra Szalzy – scenarzysty i reżysera jest samo znalezienie tematu. II wojna światowa to wielkie bitwy, miliony ofiar, obozy koncentracyjne, zbrodnie na ogromną skalę pokazywane wiele razy. Okazało się, że okrucieństwo i heroizm można odnaleźć w niewielkim epizodzie. Szacunek budzi też to, ile pracy musiał wykonać reżyser przed przystąpieniem do samej realizacji swojego filmu. W napisach końcowych pojawia się mnóstwo instytucji, w których znajdowały się materiały potrzebne do stworzenia tego dokumentu. Archiwa, biblioteki, muzea, IPN... Bardzo długa lista. I taka sama wymieniająca osoby pomocne w przygotowaniu dzieła. A to był dopiero wstęp do zasadniczej pracy – wybrania najważniejszych, potrzebnych do stworzenia spójnej opowieści materiałów, ich wkomponowania w narrację złożoną jeszcze z zeznań świadków i wypowiedzi naukowców.



Willa w dzielnicy Hietzing w Wiedniu. Tu mieszkał prof. Karol English

Od czasów *Medalionów* Zofii Nałkowskiej stało się jasne, że o niewyobrażalnych okrucieństwach wojny trzeba opowiadać beznamietnie, bez emocji, zwłaszcza bez patosu i sentymentalizmu. Piotr Szalza konsekwentnie trzyma się tej reguły. Prezentuje fakty, gołe fakty. Do nich ograniczają się w swoich wypowiedziach sfilmowani przez niego naukowcy, którzy – jeżeli dodają jakiś własny komentarz – wyjaśniają jedynie jakieś szczegóły konieczne dla zrozumienia wydarzeń czy okoliczności.

Jednak film to przede wszystkim obraz. I tu można docenić profesjonalizm scenarzysty i reżysera w jednej osobie. W filmie pojawiają się na przemian kolorowe, miłe dokrętki np. z dzisiejszego Wiednia (willa Karla de Englisha, mieszkania konspiratorów), fragmenty zapewne kronik filmowych z wjazdu Hitlera

do miasta i najbardziej przejmujące czarnobiałe zdjęcia bohaterów. Twarze bez uśmiechu, czasem fotografowane z trzech stron według policyjnych przepisów. Są jeszcze wspomniani już naukowcy oraz świadkowie, w tym członkowie rodzin. Sfilmowane zostały dokumenty, gazetowe strony... Nie ma żadnych inscenizowanych prób rekonstrukcji wydarzeń, przez co przekaz staje się całkowicie wiarygodny. Słowo i obraz w *Bohaterach ze Stein* tworzą harmonijną, ale przede wszystkim wstrząsającą i poruszającą całość. Zasługa to oczywiście reżysera, jednak należy tu też docenić świetną pracę operatora Mieczysława Hudzika i montażysty Artura Wojewody.

Film powstał na zamówienie Wiener-Krakauer Gesellschaft Kultur.



U Herzlindy Wachelhofer, wnuczki Karola Englisha



Fotografia autorstwa Nadiny Wiórkiewicz została zrobiona na potrzeby sesji zdjęciowej zespołu „Blokowiska”. Już następnego dnia nawiązałem kontakt z muzykiem, który nie tylko nie pogńiewał się, że bez pytania wykorzystałem zdjęcie, ale jeszcze przysłał je w dobrej rozdzielczości, bym mógł podzielić się nim z Państwem na łamach „Słaska”.

JACEK KUREK

# Brzmienie miasta (o muzyczności Katowic)

Śląsk to ziemia, która rodziła artystów i zawsze gościnnie ich przyjmowała. Gwiazdy światowego formatu zgromadziły tysiące słuchaczy podczas koncertów w katowickim Spodku, w zabrzańskim Domu Muzyki i Tańca czy nawet na Stadionie Śląskim oraz podczas plenerowych festiwali. A współcześnie katowickie sale Filharmonii Śląskiej, Akademii Muzycznej czy NOSPR-u są jak spełnione marzenia najwybitniejszych artystów i najbardziej spragnionej muzyki publiczności.

„My Polacy jesteśmy narodem, którego muza w swych objęciach trzyma”

*Pola Negri w wywiadzie dla dwutygodnika „Kino dla Wszystkich” z 1929 r.*

## Horyzonty

Klasyka, jazz, rock, muzyka świata, hip-hop... współlistnieją tu obok siebie, tworząc bogate brzmienie górnośląskich miast i wydając imponujące owoce. Niektórymi z nich są Rawa Blues Festival, Blustrajce, Festiwal Muzyczny im. Ryska Rie-

dla „Ku przestrodze”, Festiwal Perkusyjny „Drum Fest”, OFF Festival, Silesian Jazz Festival, ale także All Improviso, Ars Cameralis czy Międzynarodowy Festiwal im. Grzegorza Gerwazego Gorczyckiego. A to przecież tylko garść przykładów... Górnośląski przemysłowy i poprzemysłowy pejzaż – jak niedawno o tym na łamach „Słaska” pisałem, ale mocno chcę to powtórzyć – jest bluesową melodią, a śląska historia – bluesową opowieścią, która z bólu wyrasta, niesie pocieszenie, czasem skrzy się humorem, którą trzeba z siebie gorąco wydobyć, niczym węgiel wyrwać. Wyśpiewać. I chociaż większość pieców ostygła, a liczne korytarze kopalniane pozamykano, jednak odwieczna człowie-

cza ballada o wolności i tęsknocie, o miłości do życia wybrzmiewa wciąż z tą samą siłą... To dlatego horyzonty festiwali, spotkań, przeglądów czy konkursów są tu coraz szersze, śmielsze, a pieśni niczym czarne złoto w hutniczy ogień wrzucone płoną, choć się nie spalają, zupełnie jak krzew gorejący, w którym – jak niedawno pisałem – Mojżeszowi objawił się Bóg...

## Sztukmistrzowie (nie tylko) z Katowic

Z okazji 750-lecia lokacji Bytomia powstał V Kwartet smyczkowy „Siedem i pół” (siedem i pół części, a także siedem i pół wieku Bytomia) Aleksandra Lasonia. Utwór po raz pierwszy wykonany został 3 lipca 2004 roku przez żeński Kwartet „Akademos” (złożony z absolwentek Akademii Muzycznej w Katowicach). Wydarzenie odbyło się w ramach Festiwalu Sztuki Tanecznej w Bytomiu. Muzyka wybrzmiała do choreografii Jacka Łumińskiego, a tańczyli artyści Śląskiego Teatru

Tańca w Bytomiu. Poszczególne części kompozycji autor dedykował żonie i przyjaciółom związanym z Bytomiem, między innymi Markowi Mosiowi, onegdaj twórcy i prymariuszowi Kwartetu Śląskiego, potem założycielowi i dyrygentowi Orkiestry Kameralnej Miasta Tychy „Aukso”, a także Piotrowi Janosikowi, wiolonczeliście Kwartetu Śląskiego. Ten ostatni zespół, powstały w 1978 roku, wydał ponad 30 płyt i zagrał blisko 100 prawykonań. Lason wraz z Eugeniuszem Knapikiem i zmarłym przedwcześnie Andrzejem Krzanowskim należał do tak zwanego Pokolenia '51. Knapik współtworzył między innymi z Ryszardem Gabrysiem Festiwal „Śląska Trybuna Kompozytorów”. Sam Gabryś, urodzony w Goleśzowie kompozytor, poeta, filozof sztuki, pedagog, siebie nazywa „sztukmistrzem z Katowic”, choć przez lata prowadził cieszyński Instytut Wychowania Muzycznego i Plastycznego na Uniwersytecie Śląskim. Inspirujący się tyleż ludową muzyką Śląska Cieszyńskiego, co twórczością Johna Cage'a, był pierwszym śląskim kompozytorem powołującym do życia utwory z użyciem magnetofonowej taśmy i w technice kolażu. Syn i uczeń Ryszarda, Aleksander, absolwent katowickiej Akademii Muzycznej – to obsypywany nagrodami i muzycznymi dedykacjami kompozytor i kontrabasista, wytrawny animator i promotor muzyki nowej.

W 1982 roku urodzony w Czechowicach Dziedzicach Witold Szalonek założył w Berlinie Zachodnim Towarzystwo im. Karola Szymanowskiego, z zapalem propagując w Niemczech polską muzykę. Tam zmarł w roku 2001. Ku zaskoczeniu części środowiska akademickiego z oddaniem prowadził amatorskie chóry działające przy KWK „Lagiewniki” i „Śląsk”. Jeden z nich, Chór „Echo”, powstał w pierwszej dekadzie XX wieku. Amatorski ruch śpiewaczy dokładnie opisany przez nieocenionych: Jana Fojcika i Rajmunda Hankego to osobna karta fenomenu górnośląskiej kultury.

### Ślązak ze Lwowa, ale Ślązak

W Katowicach zamieszkał w 1948 roku, po przybyciu ze Lwowa (przez Rzeszów i Kraków), młody Wojciech Kilar, który mówił o sobie: „Ślązak ze Lwowa, ale Ślązak”. Do końca życia pozostał katowiczaniem kibicującym „Ruchowi” Chorzów. Został tu jako młodzieniec, bo tylko w tym mieście wtedy mógł podjąć dalszą edukację muzyczną. Gdy w roku 2010 Katowice obchodziły swoje 145. urodziny, napisał dedykowaną miastu *Uwerturę uroczystą na orkiestrę*. Na wydanej wtedy płycie wykonuje ją Orkiestra Filharmonii Śląskiej pod dyrekcją Mirosława Jacka Błaszczyka. W komentarzu do wydawnictwa Tomasz Jeż przypominał o kompozytorze: „To właśnie w tutejszej Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej odbywał swe studia w zakresie gry na fortepianie i kompozycji w klasie Bolesława Woytowicza, ukończone z najwyższym odznaczeniem w 1955 roku. Przez wiele lat był również prezesem Katowickiego Oddziału Związku Kompozytorów Polskich”. Był trzykrotnie laureatem Nagrody Województwa Katowickiego, dwukrotnie Nagrody miasta Katowice, w 1995 roku

otrzymał Nagrodę Arcybiskupa Metropolity Katowickiego „Lux et Silesia”, rok później – Sonderpreis des Kulturpreises Schlesien des Landes Niedersachsen, w roku 2003 – Nagrodę im. Juliusza Ligonia, w 2006 roku – Nagrodę „Animus Silesiae”, i w tym samym roku – 23 marca – przyjął honorowe obywatelstwo Katowic.

### Tramwaj z muzyką

Wyborne wydarzenia artystyczne związane z ubiegłomiesięcznymi obchodami 70-lecia działalności Filharmonii Śląskiej zapowiadał kursujący po Katowicach zabytkowy tramwaj z muzyką graną na żywo oraz z urodzinowym poczęstunkiem. Jubileusz był odwołaniem do pierwszego koncertu, który Państwowa Filharmonia w Katowicach dała 26 maja 1945 roku w dawnej Sali Powstańców, odtąd siedzibie filharmoników. Grało zaledwie 53 muzyków, tyłu udało się odnaleźć wtedy spośród ocalałych z wojennej pożogi. Dyrygowali Jan Niwiński i Faustyn Kulczycki. Wybrzmiała muzyka Chopina, Moniuszki, Karłowicza, Noskowskiego, Różyckiego i Kulczyckiego. Śpiewała Irena Lewińska. W pierwszej dekadzie dyrektorami Filharmonii byli: Anatol Zarubin, Witold Krzemieniecki i Stanisław Skrowaczewski. Najważniejszą stała się jednak epoka pochodzącego ze Śląska Cieszyńskiego, Karola Stryji, który kierował zespołem 37 lat i doprowadził do rozbudowania orkiestry, liczącej od tego czasu 100 osób, i chóru do liczby 80 osób. Powstała jeszcze orkiestra kameralna. W Filharmonii Śląskiej występowali między innymi Leopold Stokowski, Witold Małcużyński, Mściśław Rostropowicz, Dawid Ojstrach i Igor Ojstrach, Zubin Mehta... Lista sław tego rozmiaru liczy znacznie więcej nazwisk. W roku 2002, w 4. rocznicę śmierci Karola Stryji, odsłonięto ku jego czci tablicę projektu Zygmunta Brachmańskiego, nadając tym samym Sali Koncertowej imię dyrygenta. Wykonano wówczas *1 koncert skrzypcowy D-dur* op. 6 Niccolò Paganiniego i fragmenty opery Eugeniusza Knapika *La libertà chiama la libertà* do libretta Jana Fabrego. Dyrygował następca Karola Stryji – Mirosław Jacek Błaszczyk. Przy tej okazji odbyła się promocja książki Iwony Bias *Eugeniusz Knapik – kompozytor i pianista*. Podczas obchodów 1. rocznicy śmierci Henryka Mikołaja Góreckiego, 14 listopada 2011 roku, Filharmonia Śląska przyjęła imię kompozytora. Mirosław Jacek Błaszczyk mówił o Patronie: „Przyjeżdżał tutaj, uczył się muzyki na koncertach filharmicznych. W późniejszych latach, kiedy mógł się pochwalić wnukami, zrobiliśmy cykl koncertowo-familijny z profesorem w roli głównej. Miał nieprawdopodobną charyzmę i doskonały kontakt z dziećmi i młodzieżą”.

### Gwiazd pierwszej wielkości ciąg dalszy

W 1945 roku (początkowo przy katowickim teatrze) powoływał do życia operę inny lwowianin, słynny śpiewak Adam Didur (miał wówczas do dyspozycji wyborny zespół ze Lwowa rodem – z ta-

lentami tej klasy, co Wiktoria Calma czy Andrzej Hiolski). Już 14 czerwca 1945 roku po raz pierwszy po wojnie wystawiono na Śląsku (jeszcze w Teatrze im. Stanisława Wyspiańskiego) *Halkę* Stanisława Moniuszki, a w Boże Narodzenie roku 1945 po raz pierwszy w Polskim Radiu spektakl ten wyemitowano (już z Bytomiem). W Operze Śląskiej debiutowali artyści na miarę Bogdana Paprockiego czy Wiesława Ochmana. Ten ostatni także w roli reżysera. W marcu 1945 roku koncertować zaczęła orkiestra radiowa utworzona przez Witolda Rowickiego.

Szybko wracało do życia powołane w 1929 roku przez Witolda Friemanna Państwowe Konserwatorium Muzyczne. W 1947 roku dyrekcję Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach (obecnie to Narodowa Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia) objął Grzegorz Fitelberg. Powstała ona za jego sprawą jako naturalnie odrodzona Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia, którą w 1935 roku utworzył w Warszawie. Przez sześć lat aż do śmierci 10 czerwca 1953 roku z katowicką orkiestrą odnosił Fitelberg sukcesy nie tylko w kraju, ale też za granicą: w Rumunii, Czechosłowacji, na Węgrzech... Koncertował i nagrywał. W radiowym koncercie emitowanym z Katowic 1 kwietnia 1948 roku poprowadził premierę jednego z najpopularniejszych dzieł Witolda Lutosławskiego *1 Symfonia*.

W Czernicy, nieopodal Rybnika, w grudniu 1933 roku urodził się Henryk Mikołaj Górecki, uczeń Bolesława Szabelskiego, pełniącego funkcję organisty w plockiej katedrze. Na Śląsk trafił Szabelski tuż po studiach u Karola Szymanowskiego, którego imię nosi katowicka Akademia Muzyczna, najstarsza – co warto podkreślić – wyższa uczelnia na Górnym Śląsku. Jej główna aula – teraz odnawiana, tak by odsłonięte mogły zostać imponujące dawne freski – nosi imię Szabelskiego. Początki Szkoły wiążą się z powstałym w 1929 roku Państwowym Konserwatorium Muzycznym. W lutym 1945 roku Konserwatorium wznowiło działalność, a 1 września tegoż roku przemianowane zostało na Państwową Wyższą Szkołę Muzyczną, która w 1979 roku zmieniając status, stała się Akademią Muzyczną. Po śmiałej przebudowie jej gmachu (lata 2005–2007) powstało wspaniałe, szkłem zadaszone atrium, łączące funkcję foyer, zimowego ogrodu oraz restauracji, stanowiące tak ogromnie potrzebną przestrzeń niezliczonych muzycznych spotkań z dźwiękami dobiegającymi z sal prób – w tle.

W Gnojniku na Zaolziu urodził się absolwent Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej im. Braci Szafranków w Rybniku – Adam Makowicz. Tu przychodzili na świat lub przyjeżdżali liczni muzycy. Po studiach w latach dziewięćdziesiątych XX wieku zaczęli w Katowicach pracę sprowadzony przez wybitnego organistę, profesora katowickiej Akademii Muzycznej i założyciela Muzeum Organów Śląskich Juliana Gembalskiego – klawesynista i organista Marek Toporowski. I jeszcze jedno trzeba mi powtórzyć: tutejsza Akademia Muzyczna, dysponując pierwszym w Polsce Wydziałem Muzyki Rozrywkowej i Jazzu, wydała rozliczne ta-

lenty, wśród których znaleźli się studenci z całej praktycznie Polski, między innymi: Artur Dudkiewicz, Maciej Sikala, Zbigniew Jakubek, Sławomir Kulpowicz, Bernard Maseli, Marcin Jahr, Lidia Pospieszalska, Marcin Pospieszalski, Krystyna Prońko, Lora Szafran, Jarosław Śmietana, Stanisław Sojka, Jacek (Meira) Niedziela, Piotr Wojtasik, Adam Buczek. Brat Adama, Piotr, absolwent Akademii z 1986 roku, założył w Kanadzie w 1991 roku formację Penderecki String Quartet. Katowicką uczelnię kończyli też gitarzysta bluesowy Grzegorz Kapołka i piosenkarka Majka Jeżowska. A kiedy zapytałem założyciela znakomitego warszawskiego zespołu jazzowego HoTS, dlaczego chciał tu, na Śląsku studiować, podkreślał nie tylko renomę, tradycję, dorobek, ale i... atmosferę.

Liczne zespoły działające w Akademii od Akademickiej Orkiestry Symfonicznej im. Karola Szymanowskiego aż po Big Band Instytutu Jazzu, to niewysychające źródło polskich muzycznych gwiazd i talentów...

### Wzrastanie

W opisie do płyty poświęconej orkiestrowej twórczości Bolesława Szabelskiego, Henryka Mikołaja Góreckiego i Eugeniusza Knapika Tomasz Jez napisał: „Szczególne miejsce Katowic na muzycznej mapie Polski jest absolutnie bezdyskusyjne. Miasto to cieszy się od wielu lat bardzo bogatymi tradycjami w zakresie kulturowania różnych przejawów muzyki”. Patrząc tylko na klasykę, widać wspomniane: Narodową Orkiestrę Symfoniczną Polskiego Radia oraz Orkiestrę Symfoniczną Filharmonii Śląskiej, związaną z nią Orkiestrę Kameralną, Kwartet Śląski, Musette Quartet, Zespół Śpiewaków Miasta Katowice „Camerata Silesia” czy Orkiestrę Kameralną Miasta Tychy „Aukso”.

W przypadku tej ostatniej zaczęło się od spotkania w jednej z katowickich kawiarni Marka Mosia z ówczesną wiceprezydent Tychów ds. kultury – Anną Kolny. Było ono owocem zamiaru członków Rady Miejskiej Tychów powołania do życia orkiestry, a zarazem szukania przez Mosia siedziby dla zakładanego zespołu. Zespół powstał w lutym 1998 roku – początkowo pod nazwą Orkiestra Kameralna „Aukso”. Od początku skupiał najwybitniejszych artystów i bardzo starannie dobierał repertuar. „Aukso” najchętniej wykonuje muzykę XX i XXI wieku, dzieła: Grażyny Bacewicz, Henryka Mikołaja Góreckiego, Wojciecha Kilara, Witolda Lutosławskiego czy Krzysztofa Pendereckiego. Wielu autorów Orkiestrze zadedykowało swoje utwory. W roku 1999 zespół rozszerzył nazwę, która odtąd brzmi: Orkiestra Kameralna Miasta Tychy „Aukso”.

Od początku dyrygentem i dyrektorem artystycznym zespołu jest Marek Moś, wcześniej, o czym wspominałem, założyciel i *primarius* Kwartetu Śląskiego, którego płyta z muzyką H.M. Góreckiego otrzymała Nagrodę Muzyczną „Fryderyk 1995”. Dwa lata później „Fryderykiem” wyróżniono nagrania Marka Mosia z zapisem twórczości K. Szymanowskiego i W. Lutosławskiego (ta sama płyta wyróż-

niona została mianem „Płyty Roku” magazynu „Studio”). Marek Moś jest także dyrektorem artystycznym Festiwalu „Letnia Filharmonia Aukso” w Wigrach, który odbywa się od roku 2000.

„Aukso” utworzyli absolwenci Akademii Muzycznej w Katowicach, w której Moś jest obecnie wykładowcą. Nazwa zespołu (z grek. „wzrastanie”) wskazuje na dążność do poszukiwań i artystycznego rozwoju. Orkiestra koncertowała w wielu krajach europejskich, ale i Brazylii czy Chinach. Poza już wymienionymi artystami współpracowała między innymi z Jadvigą Rappe, Piotrem Anderszewskim, Konstantym Andrzejem Kulką, Jerzym Maksymiukiem, Kają Danczowską, Elżbietą Chojnącką, Władysławem Kłosiewiczem, Danielem Albertim czy Hilliard Ensemble, ale też z Tomaszem Stańką, Urszulą Dudziak, Michałem Urbaniakiem, Grzegorzem Turnauem, Voo Voo i Motion Trio czy Andrzejem Jagodzińskim. Z Leszkiem Możdżerem orkiestra nagrała płytę *Seven Pieces for Improvising Piano and Strings*. Efektowny repertuar pianisty sprawia, że twórca i zespół nadal chętnie wspólnie koncertują. 7 listopada 2010 roku Orkiestra towarzyszyła niemieckiej wokalistce Ute Lemper (uważanej za współczesne wcielenie Marleny Dietrich), takie bowiem połączenie brzmień wybrali organizatorzy, aby uświetnić inaugurację 19. edycji Festiwalu „Ars Cameralis”. W 2009 roku podczas Gali „Innowator Roku” „Aukso” wystąpiła z zespołem Cree, w którym wokalistą jest Sebastian Riedel, syn Ryszarda... „Aukso” to także wspólne nagrania i koncerty z Krzysztofem Pendereckim i Jonny’em Greenwoodem (gitarzystą Radiohead) i znacznie jeszcze więcej...

### Lajerman

W Katowicach w 1950 roku urodził się Jerzy Grunwald, który zanim został członkiem No To Co, współtworzył zespoły Ametysty, Monsuny, Słężanie. Monsuny w kwietniu 1965 roku zdobyły I miejsce na Przeglądzie Młodzieżowych Zespołów Muzycznych Katowic. Bo przecież i beatowa muzyka była częścią brzmienia tego miasta. Podobnie zresztą jak taka, która w zupełnie innych rejestrach misteryjnie wybrzmiewa dzięki esejom na głos i kontrabas Bogdana Mizerskiego i Tadeusza Sławka, unikatowo i bezcennie łącząc sztukę i naukę

Rozdział *Duch muzyki* w słusznie wysoko cenionej książce Aleksandra Nawareckiego, to jeden z najwyżsienistych opisów katowickiego fenomenu muzycznego. Pisał z dumą i werwą: „W zasięgu rzutu beretem (nosiłem wtedy beret) miałem dwie orkiestry symfoniczne (w tym jedną na światowym poziomie), operę rezydującą w teatrze, najlepszych w kraju kameralistów, świetne konserwatorium wraz z jedyłą akademią jazzu i nieformalną szkołą „śląskiego bluesa”. Tutaj kibicowałem początkom krajowego jazz-rocka („Extra Ball”, „Krzak”), narodzinom narodowego thrash metalu („Kat”), ambientnego hip-hopu („Kaliber 44”) i podejrziwie obserwowalem chopinowski triumf Krystiana Zimmana (zatruty zgiełkiem propagandy sukcesu)”.

Żeby ta myśl była pełna – lajerman to kataryniarz, bo lajera to katarynka. Wystarczy zakreślić, by grało. Wciąż to samo... pozornie. Niczym wschodnia mantra, taka egzotyczna... A lajerman? Ze swojski? Taki stąd? Że spotykało się go na podwórku? To tym bardziej warto go pamiętać.

### Błokowiska muzyki

Podczas majowego wykładu w Muzeum Historii Katowic *Brzmienie miasta (o muzyczności Katowic)* miało miejsce szczególne zdarzenie. Spotkanie zakończyłem prezentacją intrygującego zdjęcia, jakie znalazłem w Internecie. Przedstawiało młodego człowieka, który nad pojemnikiem na śmieci trzyma w rękach akordeon (niebieski, perłowy weltmeister). Zdjęcie wydało mi się ujmującą metaforą. Na pierwszy rzut oka trudno było stwierdzić, czy akordeon (wymowny symbol śląskiej muzyki) ląduje na śmietniku czy też może ratowany jest od zniszczenia. Ta otwarta kwestia stała się dla mnie symboliczną pointą do rozważań o muzyczności Katowic i ich kulturowych dziełach, a przede wszystkim odpowiedzialności za muzyczne dziedzictwo. Pewnie każdy z nas mógłby być tym młodym mężczyzną, jednocześnie – od każdego z nas mógł zależeć los „śląskiego akordeonu” – który można odłożyć i zapomnieć, ale i który można ocalić. Gdy tylko zakończyłem wykład, podeszła do mnie dziewczyna o imieniu Konstancja i z uśmiechem powiedziała, że może mnie uspokoić, bo akordeon ten jest ze śmietnika wyciągany. Na zdjęciu bowiem znalazł się kolega Konstancji, muzyk, Andrzej Teofil, który ratował instrument w jednej z katowickich dzielnic – Koszutce. Przyjrzawszy się bacznie sylwetce muzyka, jego skupieniu, nie można nie pomyśleć, że dłonie z takim pietyzmem podejmujące instrument – niczym żywą istotę – to dłonie ratownika. Jednocześnie fotografia to być może niezamierzony, ale jakże znamienity, symboliczny hołd oddany tym wszystkim, którzy spośród tu – sterty śmieci, ale metaforycznie – spośród wielosłowa, kakofonii, wszelkiego nagromadzenia, nadreprezentatywności i bohemu potrafią wyłuskać wartość, perłę, słowo. I ocalić. Nawarecki w przywoływanym *Lajermanie* nazywa to „maszkieciemem po hasiakach. Bo i tam można znaleźć skarby”.

Fotografia autorstwa Nadiny Wiórkiewicz została zrobiona na potrzeby sesji zdjęciowej zespołu Błokowiska. Już następnego dnia nawiązałem kontakt z muzykiem, który nie tylko nie pogniewał się, że bez pytania wykorzystałem zdjęcie, ale jeszcze przysłał je w dobrej rozdzielczości, bym mógł podzielić się nim z Państwem na łamach „Śląska”. I to właśnie jest najważniejszą pointą dla naszych rozważań o Katowicach – mieście z muzyki. I mieście do muzyki. Do muzyki zwróconym i zwróconym muzyce. Mieście muzyki... Ze wszystkich chyba hasel promocyjnych to wydaje się dzisiaj najbardziej nośne, trafne i najbardziej wiarygodne, najwięcej w nim nadziei i pełna prawda, prawda o wiele cenniejsza, niż mogłoby się – znów na pierwszy rzut oka – wydawać.





Fot. z arch. NOSPR

Krzysztof Penderecki w nowej siedzibie NOSPR

# Wykorzystać czas, który jest nam dany

– Panie profesorze, spotykamy się przy okazji wykonania *Siedmiu Bram Jerozolimy* pod pana dyрекcją w nowej sali Narodowej Orkiestry Polskiego Radia w Katowicach. Jak pan ocenia ten obiekt?

– Pierwszy raz dyryguję w tym miejscu... oczywiście byłem tu na wielu koncertach, za każdym razem siedziałem w innym miejscu... Po pierwsze – to jest piękna sala. Nie ma takiej drugiej w Polsce – i długo nie będzie. To jest jedna z najpiękniejszych sal europejskich. Po drugie oczywiście jest ona doskonała akustycznie. Oczywiście, jest ona o tyle trudna, że dotychczas nie mieliśmy w Polsce sal na prawie dwa tysiące osób. Także utwór *Siedem bram Jerozolimy* w tej sali nie jest możliwy z chórem liczącym osiemdziesiąt osób. Poprosiłem więc o wzmocnienie, i w efekcie mamy chór studwudziestoosobowy. To zresztą jest szczególnie utwór, który potrzebuje takiego wielkiego *forte*.

– Do samego utworu pozwolę sobie powrócić, chciałbym jednak zapytać jeszcze o sam obiekt... podobno pan profesor ma w nim swój udział – drzewa wokół nowej siedziby zostały zasadzone według pana wskázówek?

– [śmiech] nie, nie to jest jakaś legenda... To wyglądało inaczej. Na nasze spotkanie Rady Artystycznej przyszedł pan prezydent [Piotr Ušzok – przyp. M.L.] i była mowa o tym, że NOSPR nie ma odpowiedniej sali. Początkowo pomysł był taki, że trzeba zrobić remont, bo nie ma pieniędzy, ale padła milionowa suma jego kosztów, więc zaproponowałem, że za te pieniądze można wybudować zupełnie nowy

obiekt. Pan prezydent to podchwycił, i dzięki niemu, dzięki jego pomocy ta sala powstała...

– ... ale skądinąd drzewa też są pana pasją...

– tak, o tym też wtedy trochę rozmawialiśmy... ja jestem takim nieprofesjonalnym botanikiem. Mam największe w Polsce prywatne arboretum, które jest dosyć duże, liczy ponad 30 hektarów. Niekórych z obecnych tam drzew nie ma nigdzie w Polsce. W tej dziedzinie jestem większym specjalistą niż w muzyce [śmiech].

– Ostatnie pytanie a propos nowej sali: wśród części dziennikarzy oraz polityków pojawiały się niestety takie opinie, że to są źle wydane pieniądze, które można było przeznaczyć na przykład na nowe miejsca pracy...

– Nie... to przecież są miejsca pracy dla wielu tysięcy ludzi! Dzięki tym unijnym pieniądzom wybudowaliśmy albo wyremontowaliśmy w Polsce dwanaście sal... to jest krok tysiąclecia. Kiedyś budowało się głównie kościoły, ale w ostatnich dwustu latach na świecie, w krajach, które dbały o swoją kulturę to się zmieniło... ale zawsze znajdują się chętni do krytykowania. Przyjeżdżają ludzie z całego świata, są zachwyceni, a tu jacyś, których nawet z nazwiska nie znamy – i nie będziemy znać – będą krytkować...

– Przejdźmy do kwestii artystycznych. *Siedem bram Jerozolimy*, to dzieło, które dotyka niezwykle trudnego tematu....

– Tak, zawsze było. Od czasu powstania miasta, trzy tysiące lat temu, zawsze były problemy i niestety chyba będą one nadal obec-

ne... miasto to jest położone w takim miejscu, gdzie występuje tygiel różnych kultur, tam również powstawały nowe religie. W tym mieście jest coś nadzwyczajnego, tam jest głęboko religijna atmosfera, do której się wraca.

– Nie unika pan trudnych tematów. *Siedem bram Jerozolimy*, *Tren ofiarom Hiroshimy* czy *Requiem dla World Trade Center* to dzieła, które poruszają wielkie problemy. Dzisiaj artyści unikają tematów wymagających odwagi, kierują się raczej w stronę rozmaitych problemów społecznych. Dlaczego tak się dzieje?

– Przeżyłem, jeszcze jako dziecko, rzecz straszną – drugą wojnę światową. To zostało w mojej świadomości, pamiętam te wszystkie wydarzenia... Kiedy rozpoczęła się wojna, miałem sześć lat. To był dla mnie szok. Potem stało się tyle innych strasznych rzeczy, na przykład mord katyński, w którym zginął mój wujek. Różne zdarzenia historyczne działy się za mojego pobytu na tej Ziemi, czasem bliżej, czasem dalej mnie, ale zawsze uważałem, że jeśli jest się świadkiem, czasem nawet niemym, takich zdarzeń, to nie można pozostać obojętnym. Trzeba mieć odwagę. Oczywiście mnie wszyscy krytykowali, kiedy napisałem *Tren*, wytykano mi tę dedykację, ale wie pan – krytycy muszą krytykować, a ja to miałem zawsze w poważaniu... Ponadto sądzę, że człowiek nie może pisać tylko abstrakcyjnej muzyki, czy malarz czy inny artysta. Trzeba sięgać po trudne tematy. W wypadku muzyki, która jest abstrakcyjna, nic nie mówi wprost, można dodać dedykację czy tytuł, a nawet trzeba tak zrobić.

– Dla kilku już pokoleń jest pan autorytetem i mistrzem... a kto był kiedyś takim mistrzem dla pana?

– Dobre pytanie... dotychczas się nad tym nie zastanawiałem, ale ja zawsze sięgałem wstecz... dla mnie największymi mistrzami są ci, których nigdy nie spotkałem: Claudio Monteverdi, Johann Sebastian Bach... Ta muzyka mnie fascynowała. Będąc jeszcze chłopcem, studiowałem kontrapunkt, byłem tym zafascynowany. To było dla mnie bardzo trudne, wtedy mieszkalem w Dębicy, nie miałem kto uczyć... musiałem sam znajdować książki na ten temat. Moja fascynacja polifonią była tak mocna, że przestałem grać na skrzypcach, uważałem, że to strata czasu. Wiedziałem, że chcę zostać kompozytorem. Takich największych mistrzów zatem już dawno nie ma; drudzy jak Giovanni Pierluigi da Palestrina czy Johann Bach się nie narodzili.

– Co by pan powiedział sobie z młodości?

– Myślę, że wykorzystałem czas, który był mi dany. Zamiast chodzić na prywatki czy dyskoteki, tak jak to teraz młodzież robi. Nie mieliśmy wtedy telewizji, radia się nie słuchało, jedynie rozgłoszono BBC, bo polskie radio było wówczas pełne komunistycznej agitacji. Czytało się książki, każdy miał jakąś pasję. Ja miałem to szczęście, że mój ojciec, który wprawdzie nie był muzykiem bardzo dobrze grał na skrzypcach. Tak to się zaczęło – dał mi instrument do ręki i zacząłem od razu grać i zarazem komponować. Kiedy w szkole muzycznej uczyliśmy się fugi, ja to znałem i czasami nawet pisałem je kolegom... i wielu z nich zdało dzięki moim fugom [śmiech]... Ta fascynacja polifonią skierunkowała mnie tak, że zwróciłem się w stronę dużych form. Także *Siedem bram Jerozolimy* to jest polifoniczny utwór. Cieszę się, że udało mi się wykorzystać mój czas. I że robię to dalej!

– Jeszcze przed panem mnóstwo pracy...

– Mam nadzieję, że jeszcze dokończę trochę utworów... ale wie pan, ja nic innego lepiej nie umiem robić!

Dziękuję za rozmowę.



Laureat tytułu doktora honoris causa prof. Florian Śmieja (w środku) w otoczeniu prof. Beaty Baczynskiej – promotorki doktoratu oraz rektora Uniwersytetu Wrocławskiego prof. Marka Bojarskiego.

# Floriana Śmiei przypadki

DOROTA  
SZATTERS

Tego dnia, oszłamiająca bogactwem ściennych malowideł, Aula Leopoldyńska Uniwersytetu Wrocławskiego wypełniona była po brzegi. Orszak w różnobarwnych togach, z rektorem Uniwersytetu Opolskiego, prof. dr. hab. Stanisławem Nicieją i gospodarzem, rektorem Uniwersytetu Wrocławskiego, prof. dr. hab. Markiem Bojarskim na czele, przy śpiewie chóru akademickiego, dostojnie wkroczył do auli.

Uroczystość zaszczytliła swoją obecnością Agustín Núez Martínez, ambasador królestwa Hiszpanii oraz Josep Maria de Sagarra, dyrektor Instytutu Cervantesa w Warszawie, oraz rodzina profesora, która specjalnie na tę okazję przyjechała z Kanady i z Zabrza. Wśród przybyłych gości byli przedstawiciele akademickiej społeczności: współpracownicy z Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Wrocławskiego, przyjaciele z Instytutu Filologii Romańskiej i Instytutu Filologii Polskiej, profesorowie z prof. Janem Miodkiem na czele, a także studenci, przedstawiciele innych uczelni, w tym Uniwersytetu Opolskiego i Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Na uroczystości obecna była liczna delegacja z rodzinnego miasta profesora, z Zabrza, z prezydent Małgorzatą Mańką-Szulik na czele i wielu, wielu innych przedstawicieli górnośląskich instytucji kultury

i organizacji społecznych, wśród których był prof. Jan Malicki, dyrektor Biblioteki Śląskiej i sędzia Józef Musioł, prezes Towarzystwa Przyjaciół Śląska w Warszawie.

Na honorowym miejscu, zasiadł niewysocki, jakby z lekka zawstydzony, z błakającym się w kącikach ust uśmiechem, Ślązak urodzony w Kończycach, wówczas niewielkiej wiosce graniczącej z Zabrzem, prof. dr. hab. Florian Śmieja. To z jego powodu do Wrocławia przyjechało tak wielu wspaniałych gości.

6 maja 2015 r. bowiem, na wniosek Rady Wydziału Filologicznego, Senat Uniwersytetu Wrocławskiego, po zapoznaniu się z recenzjami przygotowanymi przez prof. Urszulę Aszyk-Bangs z Uniwersytetu Warszawskiego oraz prof. Mariana Kisiela z Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, profesorowi Florianowi Śmiei, w uznaniu jego zasług dla rozwoju polskiej nauki i literatury oraz za wkład w rozwój studiów hispanistycznych na UW, nadał tytuł doktora *honoris causa* Uniwersytetu Wrocławskiego.

Uroczystość rozpoczęła się od wręczenia prof. Florianowi Śmiei Krzyża Komandorskiego Orderu Izabeli Katońskiej przyznanego mu przez króla Hiszpanii, Filipa VI. Aktu dekoracji dokonał Agustín Núez Martínez, ambasador królestwa Hiszpanii oraz Josep

Maria de Sagarra, dyrektora Instytutu Cervantesa w Warszawie. Uzasadnienie, gratulacje i podziękowania ambasador wygłosił po polsku. Życiorys oraz zasługi i osiągnięcia naukowe i literackie prof. Floriana Śmiei przedstawił dziekan Wydziału Filologicznego prof. Marcin Cieński.

Prof. Florian Śmieja światowego formatu hispanista, wybitny profesor, znakomity tłumacz, ceniony poeta, pisarz i ważny wydawca, urodził się w 1925 r. w Kończycach na Górnym Śląsku. Wywieziony w czasie II wojny światowej na roboty do hitlerowskich Niemiec, pod koniec 1944 r. znalazł się w Szkocji jako żołnierz I Korpusu Polskiego. Nie rozważał powrotu do Polski, będącej pod wpływem ZSRR. Nie uwierzył propagandzie i namowom powrotu. Pozostał na emigracji. Dzięki stypendium organizacji polonijnej i znajomości łaciny, której uczył się w gimnazjum im. księcia Jana Opolskiego w Tarnowskich Górach, wyjechał do Irlandii, gdzie podjął studia filologiczne w University College w Cork (1947–1950).

Profesor Śmieja wspominał tamte czasy: *Byłem wtedy w Szkocji. Brytyjczycy zarządzili apel wszystkich polskich żołnierzy i na nim, ich oficerowie wręczali nam, każdemu z osobna, ulotkę z wezwaniem do powrotu do Polski podpisanym przez angielskiego ministra spraw zagranicznych, Ernesta Bevina. Część kombatantów wróciła, większość rozjechała się po całym świecie. Ci, którzy pozostali w Wielkiej Brytanii, zostali wcieleni do Korpusu Przystosobienia i Rozmieszczenia pod rozkazami Jego Królewskiej Mości Króla Jerzego VI. Ponieważ toczyła się jeszcze wojna z Japonią, straszono, że istniała możliwość wylądowania w innej scenerii konfliktu.*

*W rzeczywistości jednak, kto miał przydatny fach, szukał lokalnego zatrudnienia. Mój kolega znalazł pracę jako piekarz na szkockich wyspach Orkadach. Ja próbowałem naprawy zegarków, ale w końcu zapisałem się na kurs dla rybaków dalekomorskich, licząc na możliwość dobrych zarobków umożliwiających późniejszą studium. Byłem już parę dni w porcie w Aberdeen, gdy dostałem wiadomość, że przyznano mi stypendium na studia humanistyczne w Irlandii. Pukając bowiem do wszystkich drzwi, zająłem w Londynie do polskiej katolickiej organizacji Veritas, która zabiegała o pozyskanie w Irlandii miejsc na uniwersytetach na studia przez Anglików nie przewidziane. Wprawdzie lista kandydatów już była zamknięta, ale urzędnik kwalifikujący, ujrawszy na moim świadectwie maturalnym stopień bardzo dobrego z łaciny, obiecał miejsce pod warunkiem, że będę studiował łacinę.*

*Słowa dotrzymałem, do łaciny dołożyłem grekę. (...) Prawdziwym jednak dla mnie odkryciem był oferowany na uczelni w Cork język hiszpański, w owych czasach nieznanym mi zupełnie i egzotycznym. Z czasem on i jego kraj stać się miały zastępczą ojczyzną i wielkim ukochaniem. Jego piękno i ta-*

*twa dla Słowianina wymowa, dobry fundament łaciny, ułatwiły szybki postęp. Konwersacje z hiszpańskimi rybakami przebywającymi przypadkowo w Irlandii zastąpiły z czasem coraz częstsze odwiedziny Półwyspu Iberyjskiego.*

Studiowanie iberystyki kontynuował w King's College w Londynie. Wtedy też napisał i wydał swoją debiutancką książkę „Czuwanie u drzwi”, która ukazała się w Londynie w 1953 r. W 1955 r. uzyskał tytuł magistra filologii hiszpańskiej, a w 7 lat później stopień doktora. Wykładał w School of Slavonic and East European Studies, London School of Economics, Nottingham University. W Anglii poznał Zofię z Poniatowskich, z którą stworzył szczęśliwą rodzinę.

W wieku 41 lat razem z żoną wyjechał do Kanady, by podjąć pracę na Western Ontario University w Kanadzie oraz PUNO – Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie. W wywiadzie, który ukazał się w „Pamiętniku Literackim” w Londynie w 2012 r., a przedrukowanym w „Gazecie” – Dzienniku Polonii w Kanadzie, tak mówił o powodach swojej decyzji: *Jeden z moich kolegów z London School of Economics po stażu w Kanadzie, doniósł mi, że uniwersytet, który go zatrudnił był zainteresowany zaangażowaniem profesora języka hiszpańskiego, który miał doktorat Uniwersytetu Londyńskiego. Napisałem do kierownika katedry i dostałem zaproszenie na rok w charakterze wizytującego profesora nadzwyczajnego w roku 1969. Niewiele wiedziałem o miejscu i uczelni do których się wybierałem. Po przyjeździe okazało się, że trafiłem do ślicznego miasta i renomowanej uczelni. Respektowano tam wiele angielskich tradycji znanych mi z Anglii. Po paru miesiącach zaproponowano mi stałą pracę, którą wykonywałem przez 22 lata, do przejścia na emeryturę w 1991 r.*

Profesor Florian Śmieja jest nie tylko badaczem i wykładawcą literatury hiszpańskiej, jest także aktywnym propagatorem polskiej kultury na obczyźnie. Był współzałożycielem i wieloletnim redaktorem naczelnym emigracyjnych pism literackich – „Merkurysa Polskiego” i „Kontynentów”. W Kanadzie w 1972 r. współtworzył Polski Klub Dyskusyjny, który w prywatnym domu organizował spotkania i kulturalne oferty (m. in. wizyty Stefana Kisielewskiego, Jerzego Turowicza, Jerzego Pietrkiewicza). W lokalnej stacji telewizyjnej emitował 150 półgodzinnych programów telewizyjnych „Mosaic London”, zaś w lokalnej bibliotece czytał poezję po polsku i po angielsku.

Profesor jest autorem kilkunastu tomów poetyckich wydawanych nieprzerwanie od 1953 r. i cenionym badaczem dawnej literatury hiszpańskiej. Jako pierwszy wskazał na zbieżność teorii konceptu Baltasara Graciána, hiszpańskiego jezuity, z poetyką Macieja Kazimierza Sarbiewskiego, niestrudzenie tropił także polskie filiacje w literaturze hiszpańskiej. Jest autorem znakomych przekładów literatury hiszpańskiej i hispanoamerykań-

skiej, m.in. Gustava Adolfa Bécquera, Juana Ramóna Jimenésza, Luisa Martína-Santosa.

W 1991 r. rozpoczął współpracę z Uniwersytetem Wrocławskim, gdzie przez 7 lat prowadził seminaria oraz wykłady gościnne, przyczyniając się do ukształtowania pierwszego po 1989 r. pokolenia hispanistów, a tym samym do rozwoju studiów hispanistycznych w Polsce.

Laudację na cześć prof. Śmiei wygłosiła jego promotorka, prof. Beata Baczyńska. Ona także dokonała aktu promocji prof. Floriana Śmiei na doktora *honoris causa* Uniwersytetu Wrocławskiego.

Wyprostowany, wzruszony, z zawieszonym na szyi orderem, prof. Śmieja z uwagą słuchał laudacji wygłaszanej po łacinie, po czym zabrał głos. Mówił o swojej naukowej wędrówce, fascynacji łaciną, greką i językiem hiszpańskim. Z wielkim poczuciem humoru i dystansem do siebie opowiadał anegdoty i epizody z życia. Wystąpienie zakończył słowy: *O dzisiejszym wydarzeniu wypada raczej użyć słów mojego opolskiego krajana, wybitnego malarza, profesora Jana Cybisa, który wyróżniony na wystawie w Paryżu miał powiedzieć że: „znalazł się tam fuksem”. Rozumiem, że to znaczy „przypadkiem, jakimś trafem, szczęśliwym zdarzeniem, zrzędzeniem Nieba”. Niech mi wolno więc będzie sprecyzować, że dziś mam do czynienia z aktem niezwykłej wielkoduszności studentów i moich kolegów oraz szczodrością zacnej instytucji, która mnie przed laty zatrudniła a teraz honoruje. Gdyby nie dalekowzroczność i przedsiębiorczość profesora Piotra Sawickiego oraz pracowitość pani profesor Beaty Baczyńskiej, nie byłoby wrocławskiego epizodu w moim życiu. Teraz werydykt społeczności akademickiej przyjmuję z wielką wdzięcznością, ale i pokorą, nieprzekonany, że nań zasłużyłem. Bardziej niż własne meritum, widziałbym tu miły przypadek, trafienie na niezwykłych ludzi o bogatych szesnastkach, które co najwyżej udało mi się otworzyć i z ich skarbów skorzystać. Wśród tych ludzi znalazłem inspirację, zachętę i okazję do tworzenia pracy.*

Wystąpienie to zostało nagrodzone owacją na stojąco. Rzęsiste brawa były wyrazem uznania nie tylko dla wybitnego badacza i wykładawcy, znakomitego hispanisty, ale także wielkiego Polaka, który przez całe życie dbał o krzewienie polskiej kultury na obczyźnie. O tej części swojej działalności w cytowanym już wcześniej wywiadzie, mówił: *Cieszyłem się zaufaniem i przyjaźnią wielu pięknych ludzi. Nie wszyscy mieli okazję, by obecność swoją zaznaczyć w ludnych i głośnych centrach. W emigracyjnym rozproszeniu ginęły nazwiska twórców, którzy zasługiwali na pamięć. Dlatego jadąc do Kalifornii szukałem Jana Kowalika i Jana Leszczy, do Wenezueli Przemysława Chróścichowskiego, w Londynie szukałem Olgi Żeromskiej i Wojciecha Gniatczyńskiego, w Hiszpanii odnalazłem Piotra Guzgo. Cieszę się też, że Jan Dąrowski wyszedł z cienia. Chętnie o nich pi-*

*sze przeświadczony, że robię dobrą robotę. Przekonany jestem, że więzy międzyludzkie są na emigracji konieczne, by przetrwało poczucie podstawowej, podskórnej solidarności. Związek Polaków w Niemczech przed wojną ustanowił własny, szlachetny kodeks postępowania i jedno z jego praw brzmiało „Polak Polakowi bratem”. Hasło nadal do zastosowania.*

*Prof. Florian Śmieja imponuje wszystkim, którzy go znają, niezmienną ciekawością świata i rozległą wiedzą, dobrocią i szlachetnością, pracowitością i skromnością, mądrością i rozwagą, niezniszczalną pogodą ducha i życzliwością, a jego losy są metaforą polskich losów w XX wieku – stwierdziła podczas uroczystości prof. Justyna Ziarkowska.*

Nawet w prywatnych mailach, którymi mnie profesor zaszczyca, nie zapomina upominać się o pamięć o schorowanym, znakomitym śląskim pisarzu, Piotrze Guzym, którego zbiór opowiadań pt. „Odwiedziny duchów i inne opowiadania” został wydany w tym roku przez opolskie wydawnictwo Nowik. Ta troska o pamięć o innych najlepiej mówi o profesorze.

Profesor Florian Śmieja, za swoją działalność naukową, literacką i zaangażowanie na polu krzewienia polskiej kultury w 2007 r. otrzymał nagrodę Prezydenta Miasta Zabrze w Dziedzinie Kultury, w 2009 r. na wniosek Tadeusza Kijonki, ówczesnego redaktora naczelnego miesięcznika „Śląsk”, otrzymał Srebrny Medal Zasłużonego Kulturze – *Gloria Artis*. Krzyż Komandorski Orderu Izabeli Katolickiej i tytuł doktora *honoris causa* Uniwersytetu Wrocławskiego są wspaniałym zwieńczeniem jego sześćdziesięcioletniej kariery naukowej i podjękaniem za wkład w rozwój hispanistyki na świecie. Dzięki tytułowi nadanemu przez Uniwersytet Wrocławski Florian Śmieja z małych, śląskich Kończyc znalazł się w gronie takich znakomitości jak: Władysław Bartoszewski, Karł Dedećius, Jerzy Giedroń, Vaclav Havel, Stefan Ingłot, Leszek Kołakowski, Jan Nowak-Jeziorański, Edmund Osmańczyk, Tadeusz Różewicz, czy Javier Solana.

Podczas tegorocznego pobytu na Śląsku, razem z córką Anną, zwiedził nową siedzibę NOSPR w Katowicach i odbył sentymentalną wędrówkę po zabrzańskich Kończycach, Opolszczyźnie i Wrocławiu. Był zachwycony zmianami, jakie dokonują się w Polsce i nie wykluczył jeszcze jednej wizyty w kraju.

Do tego czasu musi wystarczyć mi korespondencja mailowa i wiersze takie jak ten, przysłany przez profesora po powrocie do Kanady:

### **NIE CHWAL SIĘ**

*Nie powinniśmy się chwalić sukcesem. Powiadanie innych nam nie służy spontanicznych ech żadnych nie będzie najczęściej odpowiadają milczeniem wywołanym niewiarą, zaskoczeniem, może bezinteresowną zawiścią? Kontentujmy się radością swoich a może i tam zrodzi się zdumienie?*



Ulicą Sokolską (do 1923 r. Karlstrasse) maszerują Sokoli, 1935 r.

# Katowice za Schneidera (II)

HENRYK  
SZCZEPAŃSKI

**N**a terenie miasta depesze, listy a także paczki można było przekazać za pośrednictwem posłańca na rikszy. Każdy z nich występował w urzędowym uniformie. Jeśli obsługiwał Katowice Północne z centralą przy obecnej Słowackiego, był ubrany na zielono, a jeśli Południowe z centralą przy dzisiejszej Wojewódzkiej, odróżniał go mundur czerwonego koloru.

Pod balkonami i na podwórkach grały katarynki a zza uchylonych okien sentymentalnych panien i zamożnych katowickich filistrów dobiegały dźwięki ówczesnych szlagierów odtwarzanych na „werkach muzycznych” z lejkowatą tubą czyli fonografach – pierwowzorach późniejszych gramofonów i patefonów oferowanych przez sklepy przy Grundmanstrasse oraz domy handlowe wielkich niemieckich miast prowadzących sprzedaż wysyłkową.

W 1895, na miejscu dawnego lazaretu przy ulicy Francuskiej, po rozbudowie i gruntownej modernizacji, rozpoczął działalność szpital górniczej Spółki Brackiej – Knapschaft. Miał oddziały laryngologiczny i okulistyczny. Dyspono-

wał łózkami dla 450 pacjentów. Tutaj, w kilkanaście lat później, pełniły całodobowy dyżur pierwsze w Katowicach sanitarki, służące do przewozu obłożnie chorych i okaleczonych. Leczyli tu m.in. okuliści Ernst Lubowski i Klaar, laryngolog Maks Ehrenfried, a od początku wieku położnik Andrzej Mielęcki. W dwa lata później oddano do użytku dwupiętrowy Szpital św. Elżbiety przy Friedrichstrasse 52 (obecnie Warszawska). Prowadziły go siostry elżbietanki. Dysponował łózkami dla 200 pacjentów.

U schyłku XIX wieku Katowice miały trzy apteki: Miejską w Ryнку, „Pod orłem” przy Warszawskiej i „Cesarską” na rogu 3 Maja i placu Wolności (na przełomie stuleci prowadził ją Gustaw Wolff).

W 1899 roku przy obecnej ulicy Zamkowej 3, nad północnym brzegiem Rawy, Georg Zimmermann, syn jednego z najstarszych budowniczych Katowic, zaprojektował gmach hotelu „Grand”. Jego inwestorem i pierwszym właścicielem został katowicki kupiec Max Wiener. Był to najbardziej ekskluzywny obiekt tamtych czasów. Tutaj mieszkali i byli podej-

mowani goście katowickich burmistrzów i vipowie tamtej epoki.

Okazały był gmach hotelu Deutsches Haus, w 1900 wzniesiony u zbiegu pięciu ulic: (obecnie) Wojewódzkiej, Plebiscytowej, Kochanowskiego, Kościuszki i św. Jana. Stał na miejscu dawnego szpitalika Holtzego. Goście mieli do dyspozycji pokoje, apartamenty i restaurację z kabaretem. Właścicielem czterokondygnacyjnego budynku był Max Gutfeld.

Gmina Izraelicka wybudowała synagogę uchodzącą za najwspanialszą w cesarstwie. Była dziełem zapobiegliwości miejscowego kupca i radnego miejskiego Salomona Wienera a prywatnie kamienicznika i sąsiada burmistrza Adolfa Koscha. Obydwaj mieszkali w burżuazyjnej rezydencji naprzeciwko Konzerthausu, u zbiegu obecnej Sokolskiej i placu Wolności. Salomon Adolfowi wynajmował apartament z balkonem na ostatniej kondygnacji. Tam, w ciepłe popołudnia pod bezchmurnym niebem raczyli się koniakami, grywali w szachy, spoglądali na spizowy monument Hohenzollernów u swych stóp, stamtąd oglądali za-

chody słońca nad wieżą Bismarcka na wzgórzu Beaty i pozdrawiali nadburmistrza Schneidera wyglądającego z okien dawnego pałacu Goldsteinów.

W tym czasie katowiczanie zaczęli odwiedzać miejskie zakłady kąpielowe potocznie nazywane łaźnią. Brali kąpiele w wannach bądź pod natryskami, ale mogli też popływać w niewielkim akwenu (około 12x6 m) zajmującym centralną część budowli wystylizowanej na rzymskie termy. Obiekt, ze względu na ceny wstępu, stał się miejscem ekskluzywnym. Kusił zamożnych dekadentów, poszukujących naturystycznych wrażeń.

W grudniu 1902 roku, w połowie drogi pomiędzy Katowicami a Mikołowem do jednopiętrowego domku w Starych Panewnikach wprowadzili się dwaj mnisi zakonu franciszkańskiego zwani też minorytami. Rozbudowali dom i kaplicę na 300 orantów. Jeszcze przed wigilią zostali oroczyście wprowadzeni w mury nowego klasztoru. Kościół ukończyli w sześć lat później. Ich promotorem był ks. Ludwik Skowronek, bogucicki proboszcz, autor polskojęzycznego modlitewnika „Droga do nieba”, znany z niechęci do Korfanteo i polskiej władzy na Śląsku.

Od kwietnia 1895 r. w Katowicach miała siedzibę dyrekcja Górnośląskich Kolei Żelaznych. Miastu przybyło dziesiątki inżynierów kolejnictwa i urzędników przesiedlonych z różnych części Niemiec. Głównie dzięki nim w Katowicach zapachniało berlińską dekadencją i dewiacyjno-satanistyczną przybyszewszczyzną.

Modne stawały się nie tylko zadymione kawiarnie ale też wędrówki krajoznawcze. Członkowie miejscowego oddziału Beskidenverein, w podmiejskim lasku, zwanym „Sudpark”, (obecnie: Park Kościuszki) wytyczyli trasy. Najdłuższa, prowadząca przez dzisiejsze Wzgórze Kościuszki łączyła Park północny nad Rawą z restauracją Singera w Brynowie. Tam staroniemieckim zwyczajem zjadało się kiełbasę i wychylało kufel piwa.

Park Północny, zwany też Miejskim ciągnął się wzdłuż grobli nad stawem Kuźniczym. Zajmował teren pomiędzy groblą a Schlosstrasse później nazywaną Zamkową. Jego ozdobą były oczka wodne, ukwiecone rabaty, alejki i ławeczki. Lada miesiąc w tym miejscu znów będziemy mieli promenadę!

W mieście działały dwa niemieckie Towarzystwa Gimnastyczne. Starsze, o nazwie Alter Turnverein, założone w 1874 r. liczyło ponad 400 członków, a młodsze z 1882 r., nazywane Turnverein Vorwärts, ponad 300. Przynależność do ferajny była sprawą honoru każdego młodego Niemca.

### Katowickie Sokoly

Niemcy niezbyt chętnie patrzyli na Polaków chcących ćwiczyć w ich towarzystwie, a i Polacy nie czuli się tam dobrze, bo byli traktowani z poczuciem wyższości. Wzorem innych polskich miast pod pruską administracją, dwudziestu Polaków z Katowic założyło własne narodowe ognio Towarzystwa Gimna-

stycznego „Sokół”. 15 marca 1896 r. na zapleczu trafik Aleksandra Lewandowskiego przy Poststrasse 3 (obecnie: Pocztowa) odbyli zebranie założycielskie. W tej kamienicy, naprzeciwko hotelu „De Prusse” („Pruskiego”), narodziła się pierwsza katowicka „sokolnia” czyli gniazdo tej organizacji. Wybrali zarząd i zatwierdzili program. Prezesurę powierzyli Aleksandrowi Lewandowskiemu a jako naczelnika mianowali dr. Wacława Okulicza, pierwszego polskiego dentystę w niemieckich Katowicach, który miał gabinet nad kawiarnią „Wienercafe” przy św. Jana 10. Przez kilka miesięcy korzystali z lokalu wynajętego w restauracji Karola Heinzege przy dzisiejszej ul. 3. Maja 21, gdzie ćwiczyli i odbywali zebrania. Ani przy Pocztowej ani przy 3 Maja nie ma tablic pamiątkowych poświęconych dziarskim „Sokołom”.

We wrześniu 1896 r. kilku Niemców i Żydów zbulwersował widok dwu „Sokołów” w odświętnych strojach organizacyjnych. Mieli na sobie statutowo zatwierdzone mundury z czerwoną wypustką garibaldczyków. To prezes katowickiego gniazda Aleksander Lewandowski i jego bratanek Teodor, wbrew zakazom policyjnym, w galowych uniformach udawali się na jubileuszowe uroczystości swojej organizacji w Bytomiu. Zostali zatrzymani i postawieni przed sądem.

Mimo szykan i restrykcji jeszcze tego samego roku, na narodowy zlot polskiego Sokolstwa w Krakowie, z górnośląskich gniazd pojechało dwudziestu druhów pod wodzą naczelnika Józefa Tucholskiego; w tym trzech umundurowanych śmiałków z Katowic.

### Polacy w Katowicach

Prócz potomków katowickich chłopów ze słowiańskim rodowodem w śródmieściu zaczęli budować domy i wynajmować mieszkania Polacy przybywający z głębi Niemiec, z Kongresówki i Austrii. Katowice osnuwała legenda pruskiego Eldorado. W 1892 roku do ekskluzywnej kamienicy w sąsiedztwie Rynku, przy Poststrasse 3 wprowadził się i otworzył gabinet pierwszy w tym mieście – polski medyk dr Antoni Stanisław Śmierczalski. Był lekarzem ogólnym i pediatrą. Leczył tu przez dwadzieścia jeden lat. Należał do uczynnych i lubianych kolegów przynależnych do polskich stowarzyszeń. Działał w TG „Sokół” i Towarzystwie Przemysłowców Górnośląskich (w Katowicach założonym w 1892 roku), gdzie prym wiedli Wojciech Zajac, właściciel kamienicy przy obecnej Kościuszki 43 oraz Antoni Szymkowiak, mistrz krawiecki prowadzący warsztat przy tej samej ulicy pod numerem 9. Założyli polską bibliotekę, pod koniec stulecia liczącą prawie 200 tomów. Głosili hasła pracy organicznej, promowali założycieli i właścicieli polskich placówek gospodarczo-oświatowych. Byli liderami odbudowującymi polską enklawę w bastionie katowickiej niemieczyny.

W Roźdzeniu, w latach 1894-1897 praktykę lekarską prowadził Ludwik Urbanowicz. W 1897 r. przy dzisiejszej Mariackiej 5 zamieszkał dr Ildefons Miecznikiewicz, pierwszy polski laryngolog. W 1899 roku osiedlił się tutaj, 35 lat liczący dr Andrzej Mielecki, lekarz chorób kobiecych. Miał gabinet na rogu 3 Maja i Stawowej. Przejął praktykę prowadzoną przez dr. J. Oświęcimskiego, który zmarł na serce. Od 1901. w szpitalu Elżbietanek pracował dr Wincenty Styczyński.

Od 1893 r. przy obecnej 3 Maja 5 skład obrazów miał Michał Rzepka, a po sąsiedzku pod numerem 5A – Wojciech Szymkowiak świadczący też usługi sztukatorskie. Ich rodak Stanisław Gawronowski w tym czasie handlował obrazami przy dzisiejszej Kościuszki 51. Klientela tych salonów rekrutowała się głównie spośród drobniomieszczanstwa gustującego w secesyjnych pejzażach, martwych naturach albo scenach rodzajowych o tematyce religijnej często reprodukowanych w postaci niedrogich oleodruków.

Już w 1894 roku w Bogucicach powstaje chór „Lutnia” śpiewający najpierw pod batutą Henryka Ciemięgi a potem Teodora Lewandowskiego. Jest pierwszym i najstarszym na terenie późniejszych Katowic. W 1903 katowickie gniazdo „Sokoła” założyło 30-osobową sekcję śpiewaczą. Jej dyrygentem był Józef Budzyński.

Rok wcześniej, przy dzisiejszej Staromiejskiej 12 w księgarni Antoniego Stoca powstaje pierwsza biblioteka Towarzystwa Czytelni Ludowych – TCL. Jej szefem jest Tomasz Kowalczyk (brat Jana Jakuba), zawodowo prowadzący księgowość mieszczącej się na piętrze, redakcji „Górnoślązaka”.

W tym czasie z Berlina do Katowic przenoszą się pierwsi śląscy socjaliści z polskim rodowodem. Są w dobrych stosunkach z Józefem Piłsudskim. Wydają i kolportują „Gazetę Robotniczą”, drukowaną przez Zygryda Perlisa w podwórzu kamienicy Scheerów, gdzie mieści się redakcja „Górnoślązaka”. Promują działalność TCL. Skupieni wokół Franciszka Morawskiego, Jerzego Haase, Wincentego Ziółkiewicza, Estery Golde i Emila Caspariego gromadzą przyredakcyjną bibliotekę, liczącą ponad 400 tomów. Mieści się najpierw w kamienicy Schalschów przy dzisiejszej Kościuszki 46, a potem przy tej samej ulicy w czynszówce Augusta Badury pod numerem 26.

Powiat katowicki przoduje wśród śląskich okręgów z największą liczbą polskich bibliotek. Kontynuuje tradycję czytelnicze przed ponad dwudziestu laty zainicjowane przez Towarzystwo Oświaty Ludowej i katowickiego księgarza Michała Śniegockiego.

Za kadencji Schneidera w Katowicach i Szopienicach (1903 r.) powstają polskie „Czytelnie dla Kobiet”, otwierają lokale polscy restauratorzy i sklepikarze. W kilku księgarniach Polacy kupują polskie książki, modlitewniki i gazety. Z reguły w peryferyjnych osiedlach or-



Królewska Szkoła Budowlana przy ulicy Wojewódzkiej. W latach 1922-1927 siedziba Sejmu Śląskiego i Urzędu Wojewódzkiego. Obecnie Akademia Muzyczna im. Karola Szymanowskiego.

ganizują na wpół tajne imprezy podczas których przemycają treści patriotyczne. Cenzorzy i prokuratorzy wypatrują oczy, aby w tych programach Polacy nie przemycali aluzji antypaństwowych lub antyniemieckich. Organizatorzy urzędowo zarejestrowanych zebrań publicznych, wydawcy polskich gazet i publikacji regularnie płacą grzywny lub trafiają do kryminału za uchybienia cenzorskim zapisom. Na każdym spotkaniu Polaków jest obecny komisarz policji lub żandarm. Piętrzy się spirala narodowościowej nieufności. Polityczna gra przypomina zabawę w szaloną i okrutną ciuciubabkę, której ofiarami są wyłącznie Polacy. Zdaniem pruskich instygatorów, polskie wystąpienia zagrażają dobrej kondycji „państwa ładu i bojaźni bożej”. Wspólnie z policjantami, cesarskich poddanych usiłują wychować na obywateli bezwzględnie posłusznych i zastraszonych.

Od 1901 Polacy na Górnym Śląsku z wypiekami na twarzy czytają odważne publikacje ukazujące się w „Dzienniku Poznańskim”. Ich autorem jest ks. Aleksander Skowroński, rodowity Górnolązak z Siemianowic. Dla wszystkich staje się oczywistym, że Polakom z germanolubną partią „Centrum” już od dawna jest nie po drodze.

W 1902 roku Wojciech Korfanty w Katowicach, jako redaktor i współwydawca „Górnolązaka” publikuje słynną odezwę „Precz z Centrum”. W tym czasie formuje się Polskie Towarzystwo Wyborcze, a następnie jego nowsza emanacja – Polskie Towarzystwo Ludowe – pierwsza polityczna organizacja Polaków na Górnym Śląsku, realizująca własny program, nie mający już żadnych powiązań z niemieckim „Zentrumpartei”. Jego przywódcą zostaje ks. Aleksander Skowroński. Wiecują w Reichshalle.

### Pierwszy polski bank

**Jan** Skiba, syn sławnego sołtysa Kazimierza, naczelnik jednego z katowickich okręgów miejskich, miał par-

terowy dom z ogrodem przy Holteistrasse 27 (obecnie: Wojewódzka). Był promotorem spółdzielczości. Wspólnie z rodakami parającymi się handlem i rzemiosłem w 1898 roku założył Polski Bank Ludowy. Bronili interesów ekonomicznych ludności polskiej. Jego pierwszym i długoletnim dyrektorem został Waclaw Szyperski. W Radzie Naczelnej PBL zasiadali: adwokat dr Stefan Adamczewski, który miał kancelarię przy obecnej Słowackiego 16, wspomniany już kupiec Aleksander Lewandowski, lekarz chirurg i ginekolog dr Jan Oświęcimski z gabinetem przy dzisiejszej 3 Maja 20 i inni. W 1901 roku Polnische Volksbank zrzeszał 357 członków. Najpierw miał biuro przy ulicy Andrzeja 2 (I piętro), a potem w kamienicy przy dzisiejszej Kościuszki 16. Z powodzeniem rywalizował z podobnym bankiem zrzeszającym i obsługującym klientelę niemiecką. Doskonale prosperował aż do hitlerowskiej inwazji w 1939 roku.

W 1898 r. oprócz istniejącego już niemieckiego Banku Ludowego (Deutsche Volksbank zu Kattowitz) czynnych było w Katowicach pięć podobnych instytucji.

### Najstarsze górnoląskie technikum budowlane

Uczniowie Królewskiej Szkoły Rzemiosł Budowlanych, w lwiej części subsydiowanej z funduszków miejskich, w ciągu pięciu lat nauki zdobywali umiejętności i dyplomy podmajstrzych ze specjalnością cieśli i murarza. Użytkiwali uprawnienia upoważniające do prowadzenia oraz nadzoru robót. Na Górnym Śląsku była pierwszym technikum budowlanym. Jej dyrektorem został Gustaw Meyer, rejencyjny mistrz w tym zawodzie. Dopiero w kwietniu 1901 roku rozpoczęli zajęcia w nowym gmachu przy Holteistrasse (obecnie: Wojewódzkiej).

To był wyjątkowy obiekt ówczesnych, Katowic – pomnikowa budowla osiedla

do niedawna niepodzielnie należącego do polskich włościan. Urbanizowała ich ostatnią enklawę – Rolnicze Przedmieście. Jej detal architektoniczny nie pozwolił wątpić, że jest symbolem pruskiej cywilizacji.

Weześniej, vis a vis domu Skibów przy Holteistrasse 27 rozpoczęła produkcję „Heinrichshütte”, uruchomiona w 1897 r. Specjalizowała się w odlewnictwie metali. Sąsiadowała z nią piękna willa właściciela tej firmy Henryka Gerdesa. Jego dom i warsztaty stały na parcelach odkupionych od Skibów.

Na początku Holteistrasse u zbiegu z obecną Plebiscytową wyrósł wspomniany już Deutsches Haus, przypominający tradycje średniowiecznych zajazdów krzyżackich.

Urbanizowały się tereny rolnicze wokół dzisiejszych ulic Kościuszki i Mikołowskiej. Na południe od linii kolejowej powstawało osiedle o nazwie Nowe Miasto. W październiku 1890 r., ściany narożnych budynków przy skrzyżowaniach, rada miejska poleciła ozdobić niebieskimi, emalowanymi tabliczkami z nazwami ulic. Ich patronami zostali: Mauve, Nottebohm, Viktoria, Sachs, Prinz Heinrich i inni.

W tej części miasta najokazalszą budowlą stał się gmach Królewskiego Sądu Powiatowego i więzienia u zbiegu dzisiejszej Andrzeja i Mikołowskiej oddany do użytku w lipcu 1891 roku.

Tak jak gmach Królewskiej Szkoły Rzemiosł Budowlanych na wschodniej rubieży tej trasy, pełnił funkcję krajobrazowego memento w pobliżu zachodnich rogatki. Obydwa obiekty symbolizowały pruskie władztwo nad Katowicami i Śląskiem.

### Król pianistów i odpust pruski

W Katowicach Ignacy Jan Paderewski wystąpił 27 października 1901 roku. Tego dnia w niedzielę, „o 6 popołudniu”, w „koncert hausie” przy Karlstrasse 2 (obecnie: Filharmonii Śląskiej) zaprezentował recital fortepianowy. „Kattowitzer Zeitung” z 29 października 1901 informowała: „sala była przepelniona”, reporter zauważył „wiele gości zamiejscowych m.in. prezydenta rejencji z Opola”.

Jedną z ostatnich większych uroczystości z udziałem nadburmistrza Schneidera miała miejsce wiosną 1902 r. Wziął udział w poświęceniu rzymskokatolickiego kościoła św. Piotra i Pawła przy ulicy Mikołowskiej. W 11 lat później świątynia pełniła funkcję kościoła garnizonowego dla oficerów i żołnierzy batalionu pruskiej piechoty stacjonującego w budynkach przy obecnej ulicy Koszarowej. Złotymi patronowie, których atrybutami był miecz i klucz cieszyli się sympatią niemieckich sił zbrojnych. Doroczne święto Apostołów Piotra i Pawła, nazywano „odpustem pruskim”. Górnolązacy Polacy z tej okazji pielgrzymowali na Jasną Górę.

– Uniwersytet Śląski wciąż poszerza swoją ofertę edukacyjną o nowe kierunki. Od roku akademickiego 2015/2016 rusza nabór na studia śląskie, których jest pan twórcą. Skąd wziął się pomysł takich studiów?

– Na uniwersytecie przez wielu lat były prowadzone na różnych wydziałach i w obrębie różnych kierunków specjalności regionalne. Jest tak również i dzisiaj, choć dotyczy to głównie studiów podyplomowych. Ponieważ każda z tych specjalności jest zorientowana zasadniczo na jedną dyscyplinę wiedzy, powoduje to rozproszenie myślenia o Górnym Śląsku jako regionie kulturowo ważnym. Studia śląskie są próbą uspołnienienia różnych doświadczeń, a u ich podstaw leży idea interdyscyplinarności, a nawet – transdyscyplinarności.

Choć rzeczywiście jestem pomysłodawcą studiów pod taką nazwą, to jednak nie sam stworzyłem ich programu. Do refleksji nad studiami śląskimi zostali przede mną zaproszeni wybitni uczeni z czterech wydziałów Uniwersytetu Śląskiego – socjologowie, historycy, historycy sztuki, prawnicy, kulturoznawcy, filolodzy, geografowie. Mogę powiedzieć, że kadra naukowa na tych studiach jest pierwszorzędną, oprócz profesorów, autorytetów w swojej dyscyplinie, uczyć będą także adiunkci o wybitnym dorobku naukowym. I choć formalnie studia prowadzone są przez Wydział Filologiczny, to wykładać będą na nich śląskoznawcy również z Wydziału Nauk Społecznych, Wydziału Prawa i Administracji i Wydziału Nauk o Ziemi. Mam nadzieję, że z czasem będą to studia prowadzone przez uczonych ze wszystkich jednostek uczelni.

– Interdyscyplinarnie zorientowane studia śląskie wzbudziły wielkie zainteresowanie...

– Tak, ponieważ odpowiadają one na zgłaszaną wielokrotnie potrzebę tworzenia i przekazywania zintegrowanej wiedzy o regionie. Zainteresowanie historią, kulturą i literaturą Górnego Śląska zasługuje nie tylko na osobną refleksję akademicką, ale też na osobny kierunek studiów, w ramach którego student będzie mógł poznać pełen kulturowy i społeczny obraz Górnego Śląska i zrozumieć skomplikowane procesy historyczne i społeczne kształtujące rzeczywistość regionu. Ważnym elementem studiów śląskich będzie więc popularyzacja i promocja wiedzy o Górnym Śląsku poprzez aktywną współpracę z licznymi interesariuszami zewnętrznymi, zarówno związanymi z samorządem lokalnym, jak też z organizacjami pozarządowymi.

– Na czym polega interdyscyplinarność studiów?

– Stworzyliśmy bardzo interesujący program. Oprócz refleksji nad etnolektem śląskim, literaturą polską, niemiecką i czeską powstałą na Górnym Śląsku, pokażemy swoistość prawa lokalnego, skomplikowaną historię Górnego Śląska, bogatą sztukę i architekturę regionu, a wreszcie odwołamy się do takich zagadnień współczesnej nauki, jak socjologia miasta czy geografia ekonomiczna. Ponieważ to są studia drugiego stopnia – magisterskie – przyjdą

Z prof. zw. dr. hab.  
**MARIANEM KISIELEM**  
prodziekanem  
Wydziału Filologicznego  
Uniwersytetu Śląskiego  
rozmawia TOMASZ PŁOSA



Fot. Anna Maras

## Studia śląskie

na nie licencjaci po różnych kierunkach, a zatem na bazie zdobytej już wiedzy podstawowej uformują swoje kompetencje śląskoznawcze. Na stronie internetowej <http://www.studiaslaskie.us.edu.pl> można znaleźć bardziej szczegółowe informacje na temat programu i toku studiów.

– Czy studia śląskie są adresowane do Ślązaków zainteresowanych swoją małą ojczyzną?

– To są studia i dla Ślązaków, i nie-Ślązaków. Bramy uniwersytetu są otwarte dla wszystkich. Ja bym przestrzegał przed dzieleniem Polaków na grupy etniczne i myśleniem w kategoriach etnicznych, bo nic dobrego z tego nie wyniknie. Takie myślenie jest anachroniczne, usprawiedliwione wyłącznie historycznie. Na studia śląskie zapraszamy tych, którzy pragną poszerzyć swoją wiedzę o Górnym Śląsku jako regionie kulturowym mającym własną historię materialną i duchową, czasami bardzo trudną. Na seminariach „Pogranicza” toczone będą debaty na temat Górnego Śląska z różnymi autorytetami. Będziemy pytać o to, na czym polega „duch śląski” ukryty w etnolekcie i w tekstach pisanych, w kulturze materialnej i duchowej. Rzadko tym kwestiom poświęcamy wystarczającą uwagę, a przecież jest ona zasadnicza. I wreszcie – cel edukacyj-

nie najważniejszy – studia śląskie mają przygotować absolwentów do pracy w instytucjach samorządowych, placówkach kulturalnych regionu i wszelkich urzędach, w których kompetencje regionalne są ważne z punktu widzenia społecznego.

– Jak opisałby pan profil zawodowy absolwenta studiów śląskich?

– Przestrzegaliśmy przede wszystkim przed uproszczeniami, którymi beztropko szafują autorzy opinii i komentarzy w Internecie. Uniwersytet kształci kadry dla instytucji państwowych, samorządowych czy gospodarczych poprzez wyrobienie umiejętności i zwiększenie kompetencji swoich absolwentów. Nie zapewnią zawodu, ponieważ zatrudnienie absolwenta reguluje rynek pracy. Mamy jednak nadzieję, że studia śląskie temu rynkowi zagwarantują znakomitego znawcę społecznych, kulturowych i mentalnych zagadnień Górnego Śląska. Ponieważ są to studia o profilu akademickim, dają możliwość ich kontynuowania również na poziomie trzecim, doktoranckim.

– Czy zainteresowanie Śląskiem to nowy trend?

– Oczywiście, że nie. Śląskiem interesowano się zawsze, choć z różną intensywnością. W dwudziestolecie międzywojennym Gustaw Morcinek pisał do Władysława Orkana, że „Polacy patrzą na nas jak na zamorskie dziwo”, a Zofia Kossak-Szczuka nazywała Śląsk „nieznanym krajem”. Pamiętamy jednak, że mówię tu o czasach, kiedy kończą się zabory i wybucha II Rzeczpospolita. Zainteresowanie Górnym Śląskiem w ostatnim ćwierćwieczu związane jest m.in. z programami politycznymi wysuwanymi przez głośnych przedstawicieli różnych partii i stowarzyszeń, czy z próbą wywalczenia dla języka śląskiego statusu języka regionalnego. Ale wiąże się ono także z odnowieniem naukowej refleksji nad tzw. geopoetyką, czyli zorientowaną wiedzą na temat regionu widzianego w wymiarach antropologii miejsca, dyskursów pamięci, narracji lokalnych. To właśnie tutaj pozostaje do rozstrzygnięcia ważne pytanie, czy regionalna wielogłosowość, w której przywołuje się różne pamięci i słychać różne emocje – ma charakter agonistyczny (wiecznej walki) czy konsyliacyjny i wspólnotowy.

O tym też będą te studia. Deklarującym swoją narodowość Ślązakom wydaje się, że dobrze znają własną historię. Frank Ankersmit, z którym można się naturalnie nie zgadzać, twierdzi, że prywatyzujemy historię, to znaczy nadajemy jej zawsze własny kształt, często nie wolny od emocji. Idąc za tą myślą, powiedziałbym, że nasza wiedza o przeszłości – wszelkiej przeszłości: polskiej i śląskiej – jest często stereotypowa i powierzchowna, opiera się na lokalnych przekazach i mitach. Studia śląskie nie będą podtrzymywały legend czy mitów, nie będą stereotypom nadawać naukowej rangi, ale zgodnie z dostępną nam wiedzą będą pokazywać prawdę, jaka jest pewna. I będą uczyły interpretować znaki kultury, która jest znakiem czasu.

Z byłym dyrektorem  
Gliwickiego Teatru Muzycznego PAWŁEM GABARĄ  
rozmawia MARIA SZTUKA

Fot. z archiwum GTM



# Przerwany sezon

– To miała być rozmowa o spektakularnym sukcesie *Rodziny Addamsów*, o Teatralnej Nagrodzie Muzycznej im. Jana Kiepury, którą musical zdobył aż w dwóch kategoriach... obawiam się jednak, że nasze spotkanie zdominuje pana nieoczekiwana dla publiczności dymisja.

– To są dwie różne sprawy, choć przyznaję, bardzo silnie ze sobą związane. Laury, zbierane przez *Rodzinę Addamsów* to wielka satysfakcja dla całego zespołu, szczególnie oczywiście dla reżysera i autora libretta Jacka Mikolajczyka, scenografa Grzegorza Policińskiego, wszystkich realizatorów, wykonawców, orkiestry. To jest sukces, za który musiałem w pewnym sensie osobiście za-

płacić, mam niezwykle osobiste podejście do tego spektaklu, wydaje mi się, choć mogę się oczywiście mylić, że gdybym w pewnym momencie nie zdecydował się na przyjęcie tej formy odejścia z teatru, to nie doszłoby do tej premiery. Jeżeli jednak w powszechnej opinii spektakl jest wielkim sukcesem, to znaczy, że warto było zapłacić tę cenę.

– Do powodów dymisji jeszcze powrócimy, kierował pan teatrem przez siedemnaście lat. W 1998 r. to była głównie scena operetkowa, zmienił pan nie tylko nazwę teatru ale i jego repertuar.

– Zawsze przedkładałem zasadę ewolucji ponad wszelką rewolucję, opowiadałem się za działaniem rozwojowym a nie

wywrotowym, opór zespołu był jednak bardzo duży. Kulminacją było pojawienie się propozycji polskiej prapremiery musicalu „Chicago”. Pomysł spotkał się z entuzjazmem tylko części zespołu, znaleźli się niestety także jego gorliwi przeciwnicy. W marcu 2000 r. przeddzień premiery pojawiły się na ulicach spreparowane nekrologi, które informowały o śmierci świętej pamięci teatru muzycznego w Gliwicach, o czym z radością powiadamiała „dyrekcja teatru”, uroczystości pogrzebowe miały odbyć się dokładnie w momencie rozpoczęcia premiery. Baliśmy się wówczas nie tyle akcji sabotażowej, choć myśl o przeciętym kablu nie była wtedy odosobniona, ale tego, co było plagą tamtych lat, czyli telefonu o podłożonej bombie, co na pewno spowodowałoby odwołanie premiery. Policja proponowała nam działania prewencyjne, dzięki którym na kilka godzin przed spektaklem ekipa antyterrorystyczna bardzo dokładnie przeszukała cały obiekt. Mieliśmy świadomość, że uczestniczymy w jakimś absurdzie, ponieważ wiedzieliśmy, że nikt z naszych oponentów nie zamierzał podkładać żadnej bomby, ale chcieliśmy uniemożliwić odwołanie premiery na skutek fałszywego alarmu. Wieść o tym, że po teatrze krążą antyterrorystyci rozeszła się po mieście lotem błyskawicy, natychmiast rozdzwoniły się telefony tych, którzy nie potwierdzili wcześniej zaproszenia, groził nam nadkomplet. Premiera odbyła się bez zakłóceń. Byli i tacy, którzy uważali, że wymyśliłem świetną promocję. Odcinam się od tego, to nie była promocja zamierzona, ale wspomnienie tej sympatycznej anegdoty przywołuje atmosferę tamtych dni, kiedy klasyczna operetka stanęła na drodze nowości, jaką był musical.

– Skoro to była taka kość niezgody, dlaczego upierał się pan przy musicalu?

– Moja wieloletnia koncepcja repertuarowa przewidywała plan budowy bardzo rzetelnego kanonu przedstawień operetkowych, wiedzieliśmy jednak, że to nie wystarczy, aby zainteresować teatrem młodą widownię. A jednym z moich podstawowych założeń programowych było przyciągnięcie młodzieży i przyzwyczajenie jej do odwiedzania Nowego Świata. Trzeba więc było szukać takich propozycji, które by ich zainteresowały, jedną z nich było *Footloose* (2002 r.). Ponieważ bohaterami tego musicalu byli licealiści, w naszym spektaklu przygotowanym przez Macieja Korwina i Jarosława Stańka w obsadzie znalazło się wielu nastolatków, którzy wnieśli nową energię. To była prapremiera europejska, trzecie przedstawienie na świecie, wyprzedziliśmy nawet West End. Tak zapoczątkowaliśmy zwrot w historii gliwickiej sceny, wprowadziliśmy na premierze opinie były podzielone, ale już drugi spektakl rozpoczął cykl szaleństw w teatrze i wokół spektaklu zaczęła się tworzyć nadzwyczajna atmosfera. W sensie lokalnym *Footloose* stało się przedstawieniem kultowym, na które młodzi ludzie przycho-



dzili po kilka a nawet kilkanaście razy, nie brakowało także widzów znacznie starszych roczników, rodziców a nawet dziadków. To przedstawienie łączyło pokolenia.

– **Mówię się nawet, że w Gliwicach mieści się polskie centrum hip-hopu.**

– To dzięki rewelacyjnej choreografii Jarosława Stańka, wielokrotnego mistrza Polski breakdance. Hip-hopowa wstawka zawsze była nagradzana burzliwymi oklaskami. Rzeczywiście do Gliwic przyjeżdżało wówczas wielu miłośników hip-hopu nie tylko z Polski.

– **O *High School Musicalu* także było bardzo głośno.**

– Castingi do przedstawienia odbywały się we Wrocławiu, Warszawie, Poznaniu, Krakowie i w Gliwicach, zgłosiło się na nie kilka tysięcy chętnych, to była znakomita promocja nie tylko teatru, ale i miasta. Ten telewizyjny hit wszech czasów przeniesiony na naszą scenę przez reżysera Tomasza Dutkiewicza i choreografkę Sylwii Adamowicz to także niezwykle przykład łączenia pokoleń. Po spektaklu zagranym w Sali Kongresowej w Warszawie – a było to w styczniu 2010 roku – Bogusław Kaczyński, zaproponował, abyśmy wystąpili z tym przedstawieniem na Festiwalu im. Jana Kiepury w Krynicy. Przyznam, że pomysł wydał mi się szokujący. Wbrew rozsądki dyrektora liczyłem po cichu, że na scenie krynickiej będzie to niemożliwe, ale dla naszego kierownika technicznego Adama Prażucha to słowo wręcz nie istnieje. Tak więc po urzekającym mistrzowskim koncercie arii operowych i operetkowych, przed znaczą i niezwykle wymagającą publicznością zagraliśmy *High School*, dla mnie to był kolejny szok i nigdy nie zapomnę tego szczerego entuzjazmu, z którym przyjęto ten, jak się okazało, tylko pozornie nie przystający do konwencji muzycznej festiwalu, musical.

– **Mnie jednak najbardziej w pamięci utkwiała *Carmen* w reżyserii Pawła Szkotaka z udziałem Małgorzaty Walewskiej w magicznej scenerii Teatru Victoria. Posypały się nagrody, zdobycie biletu na spektakl graniczyło z cudem, a jednak pojawili się sceptycy, którym opera nie pasowała do operetkowo-musicalowej sceny GTM.**

– Teatr muzyczny nie ma ograniczeń repertuarowych. Nie porywaliśmy się na niemożliwe, to było nasze koronne przedstawienie, świadczące o dojrzałości zespołu, a nagrody i tytuły, które zebrała *Carmen* tylko to poświadczają. Dlaczego opera? To kolejny krąg widzów, który chcieliśmy pozyskać. Teatr miejski, funkcjonujący w ogromnej aglomeracji powinien służyć w różny sposób całej społeczności, stąd taka różnorodność repertuaru. Uważam, że bilety kupowane za granicą do gliwickiego teatru, to najlepsza odpowiedź, czy osiągnęliśmy oczekiwany efekt.

– **Nie jestem miłośniczką operetki a jednak z wielką przyjemnością obejrzałam chyba wszystkie zrealizowane**

**w GTM, znaleźliście bardzo skuteczny klucz do ich inscenizacji.**

– Takie było nasze założenie. Gliwicki Teatr Muzyczny istnieje wprawdzie dopiero od 2001 roku, ale wyrósł na bogatej tradycji swoich protoplastów: Operetki Śląskiej i Teatru Muzycznego w Gliwicach. Dlatego operetka zawsze znajdowała w repertuarze godne miejsce. Na scenie gościły dzieła mistrzów tego gatunku: Kálmána, Zeller, Straussa, Offenbach, Lehára, Ábraháma... Świadomość, że spektakle te adresujemy do specyficznej, bardzo wyrobionej publiczności zobowiązywała do wyjątkowej dbałości o jak najwyższy poziom artystyczny, z założeniem jednak, że ta forma widowiska muzycznego musi być otwarta na innowacje. W zakresie konwencji operetka jest gatunkiem umarłym, co nie oznacza, że nie może być żywym w kategorii przedstawień. Operetka jest piękna tylko wówczas, kiedy przemawia językiem nowoczesnego aktorstwa, jest perfekcyjnie dopracowana w każdym szczególe a jej inscenizacja odpowiednio urozmaicona. Ten gatunek nie znosi półśrodków, bo wówczas mamy do czynienia z kiczem. Dlatego tak dbaliśmy o jak najlepszą oprawę każdej premiery.

– **Od razu na myśl przychodzi *Noc w Wenecji*.**

– Przedstawienie zdominowała Barbara Ptak, artystka wielka, niezależna, uparta i niezwykle konsekwentna. To ona wymyśliła to przedstawienie przed reżyserem i choreografem. Na pokazie projektów, który urządziła w swoim mieszkaniu zobaczyliśmy karnawał kostiumów i masek, było wiadomo – to one będą dyktować wszystkie karty w tym spektaklu. Mimo że byłem bliski omdlenia, wiedziałem, że nie wolno odrzucać tego arcydzieła. Na pierwszy rzut oka realizacja tych projektów przerażała budżet i pracownie nawet Teatru Wielkiego. A jednak udało się. W Gliwickim Teatrze Muzycznym jest wspaniały zespół techniczny, korzystaliśmy także z pomocy kilku zaprzyjaźnionych teatrów, i ten wielki karnawał kostiumów i masek doszedł do skutku jako wielkie zwycięstwo Barbary Ptak, ale i również teatru, bo dziś mało kto robi już tego typu spektakle. Ale jeśli to miała być Wenecja, to musiała oczarować. Przeżycia w takich momentach dyrektora są straszne. Bolała mnie ręka, kiedy podpisywałem tę setkę kostiumów, każdy z osobna. To było niezwykle doświadczenie, ale bardzo się cieszę, ponieważ to był historyczny spektakl, który stał się także manifestem, który ugruntował też: jeżeli się wystawia operetkę to nie można nią pogardzać, należy traktować ją bardzo poważnie, w tym gatunku nie wolno oszukiwać.

– **Pana dymisja była zaskakująca, pewnie repertuar na następny sezon był już dopracowany. Czego więc nie zobaczymy?**

– Przygotowywałem się powoli do pożegnania z Gliwicami, mój kontrakt miał zakończyć się 31 sierpnia roku 2016 tak więc plan repertuarowy na ostatnie dwa sezony mojej dyrekcji był bardzo precy-

zyjnie dopracowany. Uwieńczeniem drogi musicalowej miało być adresowane do gimnazjalistów przedstawienie pod roboczym tytułem *Dziewczyna*, jego realizację chciałem powierzyć Jakubowi Krofci, to miał być odważny w formie muzycznej spektakl, mocno akcentujący współczesne problemy dorastających nastolatków. *Życie paryskie* Offenbacha, którego premierę planowałem jesienią tego roku miał zamykać kanon operetkowy. Wiele nadziei wiązałem z tym spektaklem, jego akcją przenieśliśmy w realia Paryża lata Anno Domini 2015, tak więc bez sztafetu historycznego ale z całym szacunkiem dla muzyki Offenbacha. Miało to być swoiste zaproszenie w świat abstrakcji, w którym widzowie odnaleźliby świat realny. Dzięki takiej optyce chcieliśmy udowodnić, że wszystko można, bez nuty fałszu, poddać zabiegom liftingu. Bardzo żałuję, że nie dojdzie do realizacji tego przedstawienia. Kolejnym elementem kończącym moją kilkunastoletnią dyrekcję miał być *Czarodziejski flet* W.A. Mozarta. Tę mistrzowską operę chcieliśmy przygotować w dwóch równoległych wersjach: dla dzieci i dla dorosłych. Chodziło mi również o to, aby tak wielkie dzieło, w które zaangażowane są wszystkie moce teatralne, było ukoronowaniem pracy wszystkich zespołów.

Granie Mozarta jest wyzwaniem najwyższej klasy, znając jednak profesjonalizm członków wszystkich zespołów mogliśmy być pewni, że nie tylko sprostają zadaniu, ale, że zrobią to doskonale, mimo tak bardzo nie adekwatnego do ich talentów i wysiłku wynagrodzenia. Najwyższej klasy umiejętności mogliśmy już podziwiać w „Cyruliku sewilskim”, którego realizacja przypadła w szczególnie trudnym okresie, naszpikowanym problemami, zwłaszcza finansowymi, które mogły zaprześcić ostateczny wymiar artystyczny, a było wręcz przeciwnie, granie muzyki Rossiniego dodało im skrzydeł. Wszyscy są bowiem ludźmi ogromnej artystycznej wrażliwości, tak więc zagranie Mozarta miało być także formą uhonorowania ich mozolnej pracy.

– **Znakomite notowania teatru, kilkunastominutowe *standing ovation* po ostatniej premierze, *Rodzinie Addamsów...* może repertuar teatru nie wpisywał się w strategię rozwoju kulturalnego miasta?**

– Gliwice nie posiadają doprecyzowanej strategii polityki kulturalnej, nie mogę więc dyskutować z tym zarzutem, ponieważ nie znam, nie tylko zresztą ja, podstawowych założeń tego programu.

– **Dlaczego więc po tak spektakularnym sukcesie odchodzi pan na rok przed zakończeniem kontraktu, w środku sezonu?**

– Nie wiem...

*Od redakcji z ostatniej chwili:* Paweł Gabara wygrał konkurs na dyrektora naczelnego Teatru Wielkiego w Łodzi.



Spotkanie odbyło się w pałacu w Nakle Śląskim.

# Zjazd rodu Donnersmarcków

RYSZARD  
BEDNARCZYK

## Donnersmarckowie spotykają się na Śląsku

W książce „Skarb Donnersmarcków”, napisanej przez Wilhelma Szewczyka w okresie Polski Ludowej, znalazł się wstrząsający opis konania Gwidona Henckel von Donnersmarcka, za którego życia fortuna tego arystokratycznego śląskiego rodu była w wilhelmińskich Niemczech najpotężniejsza – tuż za majątkiem Alfreda Kruppa. Złowieszczosci tej mocno zbeletryzowanej scenie nadawała odautorska charakterystyka postaci wielkiego przemysłowca. Przedstawiony został jako upiorny krwio pijca pomnażający dobra rodzinne kosztem trudu, potu i wyrzeczeń prostych ludzi. Zatrudnionych w jego hutach i kopalniach mężczyzn, kobiet i dzieci. W kreacji pisarza Gwidonowi w przedśmiertnej malignie – jak nagle obudzone wyrzuty sumienia – ukazały się przerażające zjawy: „górnicy z przeżartymi płucami, pokaleczeni i zmiażdżeni, hutnicy zabici przez prąd, przez kawały żelaza, roztopieni w żarze... każdy milion okupiło tysiące istnień ludzkich”.

Nie dziwny się, w jedynej dostępnej w latach PRL zbeletryzowanej biografii rodu Henckłów, niemieccy posiadacze przemysłu ciężkiego i hektarów pól oraz lasów nie mogli być ukazani inaczej jak ciemiężcy ludu pracy. Zreszc-

zą od pierwszej do ostatniej strony w książce Szewczyka dominował klasowy, marksistowski punkt widzenia. Mimo napiętnowania także pangermanizmu Henckłów opowieść Szewczyka – jakby na ironię losu – wzbudziła wśród czytelników sentyment do pałaców i parków pozostałych po wynaganych po II wojnie światowej z Górnego Śląska arystokratów. Paradoksalnie, przez długie lata fabularyzowana i tendencyjna historia rodu Donnersmarcków spisana przez górnośląskiego prozaika była też jedynym źródłem wiedzy.

## Przenosiny ze Spisza na zamek w Świerkłańcu

Na Górnym Śląsku, do zamku w Świerkłańcu, siedzibę rodu ze Spisza przeniósł w 1629 roku Łazarz II Młodszy Henckel, przejmując za długi i częściowo kupując za 500 tys. guldenów od cesarza austriackiego Ferdynanda II Habsburga ziemie bytomsko-tarnogórską i bohumińską. Ten sam władca w 1636 roku wyniósł Łazarza do godności barona cesarstwa, zaś arcyksiążę Ferdynand Karol Tyrolski mianował go w 1651 roku hrabią cesarstwa. W następnych wiekach potomkowie Łazarza II Młodsze podzieleni się na kilka linii. Bohumińską, która wygasła w 1803 roku, bytomsko-siemianowicką zało-

żoną przez Leona Ferdynanda oraz świerkłańcko-tarnogórską wywodzącą się od Karola Maksymiliana. Artur zapoczątkował karynecką linię rodu w Wolfsbergu.

Spośród Henckłów, posługujących się po uzyskaniu szlachectwa przydomkiem von Donnersmarck, w okresie rewolucji przemysłowej do dużego znaczenia i majątku doszli Hugo I z Siemianowic Śląskich oraz Gwidon, syn Karola Łazarza ze Świerkłańca. Zwłaszcza Gwidon jako przyjaciel kanclerza Ottona Bismarcka miał duże wpływy polityczne a majątkiem ustępował jedynie Alfredowi Kruppowi. W 1901 roku cesarz niemiecki Wilhelm II nadał mu godność pruskiego księcia.

Po objęciu w Niemczech władzy przez Adolfa Hitlera bliskie związki z władzami państwowymi w imieniu całego rodu utrzymywał Kraft Henckel von Donnersmarck, który wsławił się po prowokacji gliwickiej w 1939 roku nazwaniem języka polskiego mową morderców i zapowiadał jej likwidację. Kapitulacja Niemiec w 1945 roku sprawiła, że Donnersmarckowie utracili swoje majątki na terenach włączonych decyzją Wielkiej Trójki do Polski. Śladami wielkości rodu pozostały liczne pałace i parki. Część z nich ocalała, jak w Nakle Śląskim i w Brynku, gdzie założono szkoły rolnicze i leśne. Inne – w Reptach Śląskich i Świerkłańcu – lekko tylko podniszczone po wojnie, jako relikty niemieczyny nakazały zburzyć nowe władze. Żeby zamaskować swoją działalność dewastacyjną, niekiedy w miejscu ruin wnoszono nowe obiekty służące ludziom pracy, jak na przykład w Reptach Śląskich, gdzie z inicjatywy wojewody Jerzego Ziętka postawione zostały budynki Górnośląskiego Centrum Rehabilitacji.

Dopiero po ustrojowej transformacji w 1990 roku dotychczas ukryta jedynie w pamięci osób starszych i niektórych historyków wiedza o dziejach Donnersmarcków wyszła na światło dzienne. Jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać kluby miłośników górnośląskiej szlachty i arystokracji. Ród Donnersmarcków uznano za przyczyniający się do cywilizacyjnego rozwoju Górnego Śląska. Ważniejsze stało się zaangażowanie społeczne w stosunku do robotników – budowa domów, szpitali, kościołów – niż wyzysk. Jednym z bardziej głośnych stał się Klub Donnersmarcków założony w Tarnowskich Górach przez emerytkę Gabrielę Horzelę-Szubińską. Początkowa działalność wielbicieli świetności rodu przejawiała się w organizowaniu w mieście gwarków wieczorków wspomnieniowych, które miały jeden ustalony scenariusz. Gabriela Horzela-Szubińska niczym na seansie spirytystycznym przywoływała postać markizy Blanki, żony Gwidona Henckla von Donnersmarcka, czy też drugiej jego małżonki Katarzyny Słepcow, po czym snuła patetycznym głosem opowieść o losach arystokratek. Głównie

nej prelegentce akompaniowała, przygrywając na pianinie melodie ulubionej kompozytorki Donnersmarcków Tekli Bondarzowskiej, nauczycielka tarnogórskiej szkoły muzycznej, prywatnie córka Gabrieli Horzeli-Szubińskiej. Z tych opowieści powstałych na podstawie historycznych opracowań i wspomnień byłych pałacowych pokojówek i kucharek złożona została książka „Tajemnice Donnersmarcków”. Owe wspominkowe wieczorki choć sceptycznie przyjmowane przez część publicystów przysporzyły Gabrieli Horzeli-Szubińskiej lokalnej sławy i umożliwiły jej spotkania ze współcześnie żyjącymi potomkami rodu. Kiedy ta życiodajna gałąź sentymentalnych wspominek rodziny Hencklów obumarła, twórczyni Klubu Donnersmarcków przekształciła go w charytatywną, działającą do dziś, stowarzyszenie Śląski Dzwon Nadziei.

Zainteresowanie losami dawnych właścicieli górnośląskiego przemysłu sprawiło, że do swoich utraconych włości zaczęli przyjeżdżać w ramach podróży sentymentalnych żyjący za granicą potomkowie. Przyjmowani byli z całą atencją przez władze samorządowe. Zapraszani byli na lokalne obchody rocznic czy dożynki. Andreas Henckel von Donnersmarck gościł w 2004 roku na obchodach 750-lecia Bytomia. Guidotto otrzymał 3 lata później honorowe obywatelstwo Tarnowskich Gór. Nawiązywanie przez samorządy oficjalnych kontaktów z dawnymi panami stanowymi rozwinęło się zwłaszcza po przyjęciu Polski do Unii Europejskiej. W dobrym tonie było podkreślanie związków górnośląskich ziem z zachodnioeuropejskimi rodami szlacheckimi, podkreślanie zasług arystokracji przemysłowej i rolniczej w rozwoju cywilizacyjnym Górnego Śląska.

### Osiemnaścioro Donnersmarcków w swoich włościach

Jednak do prawdziwego zjazdu rodzinnego Henckel von Donnersmarcków w dawnych posiadłościach doszło 15–17 maja 2015 roku. Do pałacu w Nakle Śląskim, gdzie obecnie znajduje się Centrum Kultury Śląskiej prowadzone przez tarnogórskie starostwo, przyjechało 18 potomków rodu, m.in. wnuki i prawnuki. Co sprowadziło aż tylu członków rodu na Górny Śląsk? Przyjechali na oficjalne zaproszenie obchodzącej 105 lat istnienia nakielskiej Ochotniczej Straży Pożarnej, którą wspierał finansowo jeszcze w latach 30. XX wieku Łazarz V, zamieszkujący do 1945 roku pałac w Nakle Śląskim.

– Z dzieciństwa pamiętam, jak strażacy gasili pożar domu obok pałacu – wspomina Winfried Henckel von Donnersmarck urodzony w Nakle Śląskim w 1938 roku, syn Łazarza V.

Innym powodem tak licznej przyjazdu na Górny Śląsk rodziny Donnersmarcków była zbliżająca się w 2017 roku sześćsetna rocznica otrzymania herbu

na soborze w Konstancji od Zygmunta Luksemburskiego.

– To prywatny powód, przyjazd z całą rodziną i chęć przekazania wnukom wiedzy o miejscach, gdzie kiedyś mieszkali pradziadkowie – wyjaśnia Andreas Henckel von Donnersmarck, urodzony już poza Górnym Śląskiem w 1959 roku na zamku w Wolfsbergu w Karyntii.

Na spotkaniu z dziennikarzami w nakielskim pałacu dwaj najstarsi członków rodu wypowiedzieli znamienne słowa.

– Gdy pytają mnie, gdzie jest moja mała ojczyzna, zawsze mówię, że jest nią Górny Śląsk – wyznał Winfried Henckel von Donnersmarck, – W mojej rodzinie narodowość nie odgrywała tak wielkiej roli, jak mogło by się wydawać. Żyłem tu na terenie, który po plebiscycie przyznano Polsce. Ja urodziłem się jako Polak. Do 1945 roku, gdy stalinizm zmusił mnie do wyjazdu – opowiadał ze wzruszeniem Winfried obecnie mieszkający w Szwajcarii.

Jego kuzyn urodzony w okresie międzywojennym w Świerklańcu Guidotto Henckel von Donnersmarck, prawnuk słynnego Gwidona, w imieniu rodziny wyraził życzenie: – Dziś żyjemy rozproszeni, może w przyszłości Śląsk będzie miejscem, gdzie będziemy się spotykali.

Donnersmarckowie uczestniczyli w odsłonięciu – przed końcem – ufundowanym przez ich rodzinę – obelisku z tablicą upamiętniającą zasługi rodu dla rozwoju Nakła Śląskiego. Obejrzeli także wystawę „Śląska szlachta – między Śląskiem a Europą” urządzoną w salach na parterze Centrum Kultury Śląskiej. Na planszach opisane były losy najznamienszych śląskich rodów szlacheckich: Ballestremów, Donnersmarcków, Hochbergów, Hohenlohe, Schafgotschów oraz ich wkład w rozwój rolnictwa, leśnictwa, hutnictwa i górnictwa. Zaprezentowane zostały herby

i drzewa genealogiczne oraz portrety i zdjęcia. Nie zabrakło starodruków i dokumentów z rękopisami hrabiów Jerzego Fryderyka czy Gabriela Donnersmarcków, widokówek z pałacami, zakładami przemysłowymi a także egzemplarzy czasopism z artykułami poświęconym arystokratom.

Kuratorem wystawy, która będzie otwarta do 20 września 2015 roku jest Arkadiusz Kuzio-Podrucki, pracownik CKŚ w Nakle Śląskim. Już jako absolwent historii Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach znalazł się w latach 90. XX wieku w kręgu miłośników górnośląskich arystokratów. To za jego sprawą losy śląskiej szlachty doczekały się poważniejszych opracowań historycznych, wykraczających poza funkcję popularyzatorską. Jedną z książek poświęcił właśnie dziejom fortuny Donnersmarcków. Było to pierwsze dzieło opisujące losy rodu od chwili opublikowania przez Wilhelma Szewczyka „Skarbu Donnersmarcków”. Obecnie Arkadiusz Kuzio-Podrucki jest jednym z nielicznych znawców problematyki śląskiej szlachty, co przejawia się nie tylko w jego publicystyce historycznej ale i działalności popularyzatorskiej. Od 2014 roku organizuje w Centrum Kultury Śląskiej w Nakle Śląskim „Szlacheckie weekendy”.

– Temat szlacheckości śląskiej arystokracji jest oczekiwany przez naszych gości. Na spotkaniu poświęconym Ballestremom przyszło prawie 200 osób – wyjaśnia Arkadiusz Kuzio-Podrucki.

Tegoroczny zjazd rodzinny Henckel von Donnersmarck, której członkowie obfotografowani byli przez fotoreporterów niczym celebryci, był kolejnym dowodem zainteresowania dawną szlachtą śląską, której w zapale idealizacji zapomniano wszelkie popełnione niegodziwości.



Na zdjęciu od lewej Winfried, Andreas, Guidotto Henckel von Donnersmarck z tłumaczką podczas konferencji prasowej w pałacu w Nakle Śląskim – dawnej siedzibie rodu

Fot. Marek Pamiś

# JAN BARON

## Epitalamium

Dzień ślubów i pogrzebów. Samochód oblubieńców zatrzymuje się przy kościele, sprzed którego właśnie odjeżdża karawan. Panna młoda udaje, że go nie dostrzega. Ale ten obraz zostanie na filmie oglądanym w okrągłe rocznice. Godzinę temu wyruszył stąd kondukt z orkiestrą. No to, chopy, trzi a poł – wydał komendę kapelmajster. Z nagle jak surfer na fali dźwięków wychynął ministrant z krzyżem. Szedł, zajęty myślą, że nie wolno mu się roześmiać.

## Wydział wewnętrzny

Ojciec prowadził śledztwa w sprawie zaginionych skarpetek i nożyczek (podbierał mu je syn), kręgów po filizance bez spodka na stole. Poprzednie dochodzenie odeszło w niepamięć. Gdy czuli się bezpiecznie, padało pytanie o niezgaszone światło lub płamę na ścianie. Na podłodze przy szafie mieszczącej koszule, garnitury, krawaty zrobiła się rysa jakby od klucza, który komuś upadł. Ojciec nigdy o nią nie spytał.

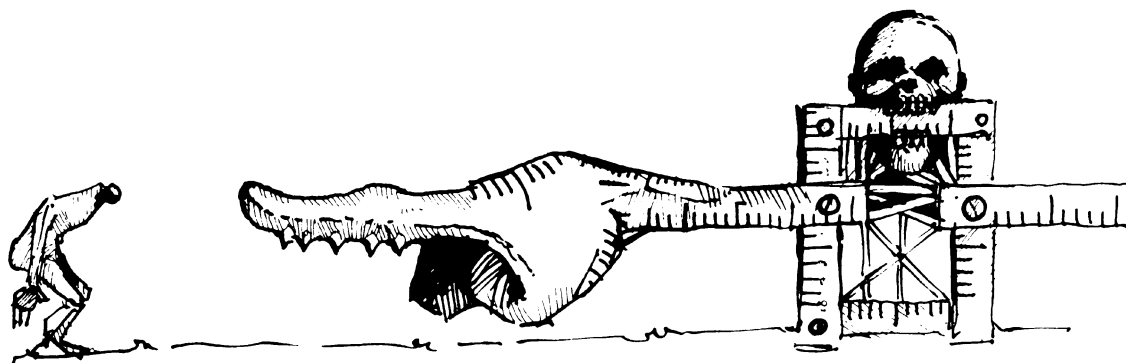
## Galeria Arkadia

Barak – sklecony ze szkła, światła i wiary, że tu znajdzie się wszystko, czego potrzeba, a potrzeba wszystkiego – jest rajem. Chodzą tu za potrzebą damulka na szpilkach ze skóry węża i dziad. To ty, Allenie Ginsbergu? Tadeuszu Peiperze? rezydujesz na Placu Poetów w Silesia City Center, przechadzasz się alejami, podśpiewując et in Arcadia ego. Rozsnuwają się przed tobą świetliste chmury murów, mury chmur. Znajduje cię wyjście z baraku skóry w ciemno.

## Exodus

Ojciec z synem w soboty jeździł w góry. Ciągnie dziecko, dyć ono słabe mo kości – biadała babka. W przeddzień syn śledził prognozę pogody. Będzie padać, uniknie wstawania o piątej, marszu, jazdy koleją. Zdarzało się, że ojciec był w toalecie, a pociąg akurat stawał na stacji. Syn bacznie obserwował peron, na którym, gdy konduktor ogłosi odjazd, mignęła: biała czapka ojca, plecak, jaskrawa flanelka. Syn zostanie wśród obcych, złych ludzi.

Rys. Wojtek Łuka



## Makówki

I.

Rozchodzą się każde do swojej mamy  
po kapustę z grochem i makówki.  
Zapytała: Nie chcesz zostać u rodziców dłużej?  
Pod choinką na placu pełnym biegających ludzi  
krzyczał: Skoro chcesz zostać u rodziców dłużej,  
możemy się spotkać dopiero po świętach.  
Kiedy wykrzyczy złość, wszystko odwoła  
i zechce przytulić.

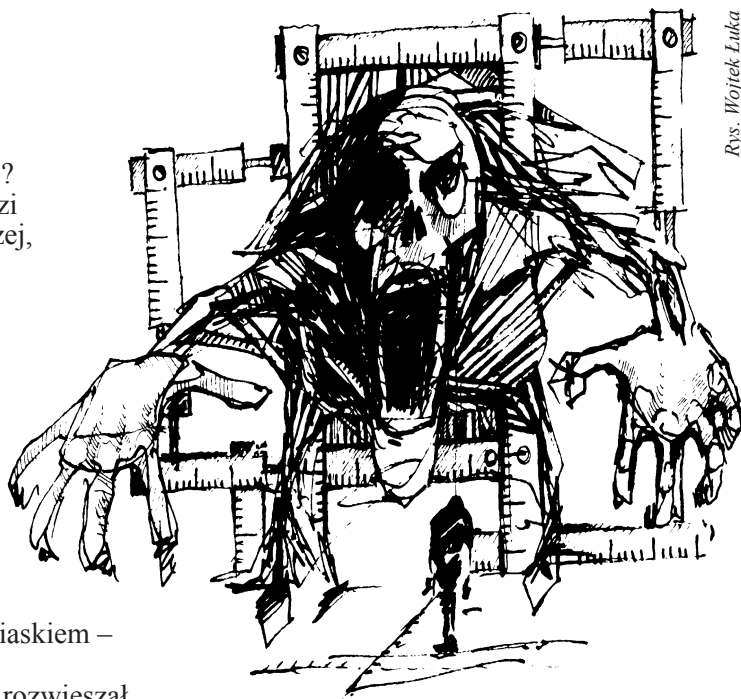
Siedzi w autobusie, jedzie po makówki,  
wspomina, jak ojciec przychodził z instytutu,  
a mama zauważała: O, jesteś wcześniej  
niż zwykle! Odpowiadał pytaniem:  
Czy powinienem się wrócić?

II.

Przy choince – sośnie w wiadrze z węglem i piaskiem –  
w dużym pokoju ojciec wykrzykuje złość.  
Drzewko – na jego gałązkach od kilku godzin rozwieszał  
ozdoby i cukierki w błyszczących papierkach –  
jest już nieważne. Tak samo jak makówki. Matka  
w kolejce do piekarni stała o szóstej, by dać zmielić mak.  
Mieszała z mlekiem, zalewała bułki. W osobnych miskach:  
dla ojca, dla syna. Synowa ani nie tknie makówek,  
ani syn kapusty z grochem od teściowej. Siemieniotka  
i pogańskie krupy. Kapusta i karp. Nieważne  
przez jedną wygasłą pośród stu choinkowych  
gwiazdek. Siedem światów świąt przegrywa  
ze światem żarówki, który się skończył właśnie.

## Rozwiązanie

Znowu nie odłożyłeś tam, gdzie być powinno,  
mówi ojciec. Ma w głowie listę bytów i miejsc:  
w szafce na drugiej półce od dołu ołówki  
równoległe do stosu kartek; prostopadle  
nożyczki; na stojaku płyty ułożone  
alfabetycznie. Wreszcie on. Za zamkniętymi  
drzwiami słucha preludium Chopina. W pokoju  
chyba go nie ma. Jest raczej tam, gdzie wyrównują się  
wszystkie rachunki, a każde twierdzenie znajduje  
dowód lub zostaje obalone na wieki. Jeśli  
istnieje takie miejsce, punkt, pył w przestrzeni,  
ojciec, syn ma pewność, to prosta,  
która go z nim połączy.



# Historia cywilizacji na moim podwórku

MIROSLAW  
ORZECOWSKI

Należę do tego pokolenia, które zachwyciło się skrzynką pełną obrazków, które poczuło się uwolnione od gniazdka zasilania dzięki przenośnemu radiu „Szarotka”, dla którego wielkim odkryciem był magnetofon, szokiem zaś magnetofon kasetowy. Kolejnymi ładami, które odkryliśmy była kolorowa telewizja, wreszcie mikrokomputery, z początku jakby bardziej skomplikowane liczydła, później osiągające status uniwersalnego sprzętu do spędzania z nim wielu godzin dziennie. Dalej przyszły – telefon komórkowy, telewizja satelitarna, CD, DVD, LCT.

Kiedy byłem mały, mogłem położyć się latem na ciepłym bruku ulicy w moim mieście bez obawy, że coś mnie może przejechać, mianowicie, że jakiś samochód tędy przejedzie. Nie ma tam już bruku, ale to rzecz drugorzędna. Nie radziłbym w tych samych miejscach zatrzymać się na dłużej. Nawet w środku nocy.

A samochody? Kiedyś przeciętnego właściciela samochodu można było poznać po czarnych śladach za paznokciami. Nie o to chodzi, żeby dla higienicznego auto było niedostępne. Nie. Tylko właściciel musiał w razie potrzeby umieć go sobie samemu naprawić. Dla dzisiejszej młodzieży nogi wystające spod automobilu, nogi osobnika, którego ręce zmagają się z jego jakże zawodnym układem napędowym, są już najwyższym tematem literackim albo obrazkiem wziętym ze starego filmu. A ile przekleństw można było usłyszeć spod naprawianego samochodu, zdrowych przekleństw, zwykle używanych przez ludzi na co dzień nie stroniących od przemocy fizycznej. Wszak łom, korba i komplet masywnych kluczy to było towarzystwo ówczesnego kierowcy.

Patrząc na te wysiłki, obiecałem sobie, że nigdy żadnego samochodu nie będę chciał, dopóki nie zdarzy się taka sytuacja, że bez obawy będę mógł go oddać do naprawy, kiedy coś się z nim stanie. Bez obawy, to ważne, bo w czasach powszechnego braku wszystkiego, samochodu oddanego do zakładu naprawczego trzeba było pilnować, aby jakaś nowa część nie została w nim wymieniona na starą i wadliwą (...).

Pewnie oglądaliście wiele filmów z lat sześćdziesiątych, filmów o samotnych detektywach, którzy sami musieli się zmagać z uciekającym przestępcą, bowiem, żeby wezwać pomoc, musieliby się zatrzymać i poszukać telefonu, aby wezwać pomoc. A gdyby się zatrzymali, przestępca dawno już by zniknął z ich horyzontu. Śmiałyśmy się z Amerykanów uzależnionych od telefonów, od tych kontaktów na wielkie dystanse, kiedy my, zdrowi, spotykaliśmy się po prostu. Czasem bliżej było do danej osoby, jak do czynnego telefonu. Świat naszych kontaktów uzależniony był od fizycznej odległości. Mieliśmy ustalone miejsca kontaktów, czas i sposób, grupowe i indywidualne, zorganizowane ogólnie i spontaniczne. W pewnym sensie był to nawet kontakt bogatszy, bo stykaliśmy się ze sobą w sposób mniej rzeczowy, za to większym zakresem swojej osobowości. Z drugiej strony, niestety, komunikacja zamykała się przede wszystkim w skali lokalnej. Ale dzięki temu utrzymywane były lokalne odmienności. Kto wtedy myślał o wymianie myśli z kimś, kto mieszka w Australii czy też Nowej Zelandii. Dla nas kraje te niemal nie istniały (...). A tu nagle zmiana. Zdarzyło się, że przez pewien czas utrzymywałem dość intensywny kontakt z pewnym Amerykaninem mieszkającym na stałe w Japonii. I właśnie zauważamy, że *intensywny kontakt, bliski kontakt, zażyłe relacje*, to wszystko zmieniło swój sens. Coraz rzadziej kładziemy teraz nacisk na fizyczną bliskość, coraz częściej na słowo. Ale... jakie słowo? Bo ono też się zmienia.

(...) Jednym z moich głównych zajęć stało się w pewnym momencie pisanie. Nic więc dziwnego, że tymi zmianami, które zapadły mi w pamięć najgłębiej, wydawałoby się drobnymi i niewartymi szczególnej uwagi, było wprowadzanie coraz to nowych środków do zapisywania myśli. Kiedy ponad czterdzieści lat temu uczyłem się pisać, w ławkach, w których siedzieliśmy (...), były otwory na kałamarze. Moczyliśmy stalówki w atramencie, aby wolno wyskrobywać litery, które nam zlecano wyskrobać. Na ulicy można się było bezpiecznie położyć, za ulicą na łące pasły się krowy, w środku miasta się

pasty, a my zagłębiałiśmy stalówki w kałamarzach. To się jakoś ze sobą łączyło. Jak? Poprzez swoje tempo.

I oto w połowie lat sześćdziesiątych od strony Czechosłowacji powiało ku mojemu miastu nowym. Poza magnetofonem firmy „Tesla”, który ważył mniej więcej dziesięć kilogramów, przybyły stamtąd wieczne pióra o pięknej nazwie „Zaczek”. Dzięki temu nowemu wynalazkowi piszący nie był już przywiązany do miejsca, mógł zanotować swą myśl dosłownie wszędzie, na ulicy nawet. I w każdym momencie genialna myśl mogła być przelana na papier. Podejrzane myśli także, ale nie zmienia to faktu, iż radio „Szarotka” i wieczne pióro „Zaczek” były czymś więcej niż dzisiejsze szybkie samochody, które mogą być tylko jeszcze szybsze. „Zaczek” i „Szarotka” pokazały nam nowe rejony świata.

Szkoła była zawsze zachowawcza, w tym tkwiła jej moc. Zachowawczość to wymóg dostosowania się do ustalonych reguł, jakie by one nie były, to wymóg nagięcia się do kogoś innego. Jeśli jest zbyt liberalna, a dzisiaj przecież taka właśnie się staje, pomija ten aspekt uspołecznienia. Uświadomienie sobie konieczności przystosowania się do jakichś reguł jest również motywem do poszukiwania wolności w pewnych ramach (...). Wolność bezgraniczna rodzi często znacznie większą frustrację niż stałe ograniczenie. W każdym razie zagraża naszej orientacji w otaczającej rzeczywistości.

Taka właśnie zachowawcza szkoła pod pretekstem, że wieczne pióro psuje charakter pisma uczniów, zabroniła go używać, ale po domach nowe szybko się zagnieździło. Dlaczego w domach?

Czyżby to sprawił jakiś naturalny pęd do nowoczesności naszych matek? Tak, matek właśnie, bo ojcowie pracowali pod sztandarami dymiących kominów albo przeprowadzali właśnie remonty w mieszkaniach. Z tymi mieszkaniem było trochę tak samo jak z samochodami, bieżące naprawy należało samemu przeprowadzać. Nikt nie mógł w tym zastąpić naszych ojców. Trochę z ekonomicznej konieczności, trochę z uwagi na brak odpowiednich fachowców, ale także z tej przyczyny, że mężczyźni z pokolenia moich rodziców nie wypadało czegoś nie umieć.

Ale wróćmy do wiecznych piór. Cóż się stało? Jeśliś chciał coś stworzyć, nie musiałeś już przygotowywać sobie wystukiego na odpowiedni moment, kiedy zasiądziesz do pulpitu z kałamarzem i obsadką. A jeśli chodzi o szkołę, to uboczną konsekwencją wprowadzenia do użytku wiecznych piór była możliwość odpisania od kogoś zadania domowego w szatni, nie trzeba było tego czynić w klasie. Można powiedzieć, że nowe stało się jedną z przyczyn rozluźnienia dyscypliny (...). Zmiany jeszcze bardziej poszły do przodu w rozprzestrzenieniu się zastosowania długopisu. Tym razem i rodzice nie byli całkiem przekonani, czy ich pociechy winny używać tego wynalazku. Rzecz była nawet zrozumiała, bo wystarczy porównać pismo dokonane przez młodego człowieka przy pomocy pióra i to, do którego użyty został długopis. Tamto powolniejsze i staranniejsze, to szybsze i bardziej nie dbałe. Oczywiście kałamarze poszły w zapomnienie, a my skierowaliśmy się ku szybkości i swobodzie. Ciągłe jednak, aby ułożyć jakiś tekst, trzeba było wysiłku skupienia, ustalenia wcześniejszego porządku, planowania, zapomniane myśli trzeba było wsadzać w środek, później całość przepisać na czysto.

**P**rzypatrzmy się pisaniu listów. Wymagało ono pewnego wysiłku. Podejmowaliśmy go niechętnie, ale podejmowaliśmy. Dostawaliśmy też odpowiedzi na nasze listy (...). Ponieważ w pewnym momencie trzeba było przerwać pracę nad tekstem (list też praca) i musiał on być ostatecznie skończony, jedna z moich ciotek, o której – niech mi wybaczy – rozpuściłem już wiele dykteryjek i drugie tyle mógłbym jeszcze ukuć, gdyż jest ona kopalnią przedziwnych idei, otóż ta właśnie moja ciotka orzekła kiedyś, upominając mnie, że tak rzadko piszę, iż list należy wysłać natychmiast po napisaniu, nie zaglądnąć weń, bowiem gdy przeczytamy go nieopatrznie, trudno będzie nam go wysłać. Czy chodziło w tym przypadku jedynie o język, że niby za mało giętki? A może po prostu o tempo pisania, o próbę przeskoczenia oporu środków

do rejestracji naszej myśli. Zwolnienie tempa sprzyja refleksji. Przeskoczenie momentu „na czysto”, a do tego namawiała mnie moja ciotka, to unikanie problemów. Pospieszne stawianie liter sprawia, że wyraz następuje po wyrazie jakby samodzielnie, zdania nas ciągną za sobą, a nie my je pociągamy za nami. Do dziś się to dzieje młodym poetom, których porywa słowotok i kończą najczęściej utwór zupełnie inny, niż zamierzali napisać.

A potem nadeszła era długopisów jednorazowych. Taki długopis traci jakby swą istotność. Wystarczy wspomnieć, jak dbamy o pióro, (...) a jak o jednorazowy długopis. Jest on prosty, bez pretensji do jakiegokolwiek elegancji, łatwo zastępowalny. Było to w rozpasanych latach siedemdziesiątych. Po ulicach jeździły potworne fiaty 126p, młodzież chodziła po trotuarach w spodniach rozszerzanych ku dołowi od pachwiny samej, z budynków całkiem nowego miasta zaczęły na dobre sypać się tynki. Te wszystkie fakty miały ze sobą coś wspólnego. Przychodziły kolejne przełomy, a jednym z nich było wynalezienie urządzenia do kopiowania. Ono się u nas tak od razu nie przyjęło, bo umożliwiała niekontrolowane rozpowszechnianie wszelkich informacji, co nie do końca było korzystne, bo ludowi się mogło w głowie przewrócić od nadmiaru informacji, ale ostatecznie maszyna kopująca została rozpowszechniona.

Nam potrzebne były powielacze, aby nieprawomyślne idee kolportować. Strasznie to był heroiczny sprzęt i działalność heroiczna. Nie muszę dodawać, że przyszły akurat również i he-

---

### **Wolność bezgraniczna rodzi często znacznie większą frustrację niż stałe ograniczenie. W każdym razie zagraża naszej orientacji w otaczającej rzeczywistości.**

---

roiczne czasy. Najpierw pisało się matrycę na maszynie do pisania, na maszynie, zatem tekst musiał być przygotowany wcześniej, a przepisywał go najczęściej ktoś inny niż twórca. Albo też osobnik posiadający dostęp do powielacza zaczynał tworzyć. Stąd się wzięły tysiące tak zwanych artykułów programowych, które powtarzały stereotypy i nic nie wносиły do naszej wiedzy, a wagi nabierały tylko przez to, że rozpowszechniane były w drugim obiegu. Kto miał dostęp do powielacza, ten miał moc przemawiania, czuł, że tworzy historię. Bo napisanie czegośkolwiek ustawiało go w szeregach opozycjonistów. Później opanowaliśmy inne sposoby powielania, między innymi znacznie doskonalszą technikę sitodruku i tak oto uczestniczyliśmy w wybuchu literatury drugiego obiegu.

Potem maszyna tworząca fotokopie, ale to już zupełnie inne zjawisko (...). Fascynujące. Choć może dzisiaj już nie tak bardzo.

Kiedyś studenci czytali książki i wypisywali z nich najpotrzebniejsze myśli. A teraz można było skserować kilka potrzebnych stron i podkreślić to, co na nich przydatne. Znowu wracamy do tego samego, do przyspieszenia działania. Wypisywanie cudzych idei dawało czas do namysłu, do samodzielnego, skrótowego sformułowania przeczytanej myśli, nasze własne idee miały więcej czasu, aby ułożyć się w całość, mogliśmy się fatalnie lub zbawczo pomylić (...). Kiedyś wszystko trzeba było mieć w pamięci, więc pamięć odgrywała znacznie szerszą rolę, potem ręka, teraz... papier. Rosły stopy papierów. Można korzystać z cudzej notatki. Ale jak, skoro pismo już nie to i tempo pisania już nie to, a notatka to przecież znak czegoś, co poza nią, więc trafiamy w niektórych przypadkach w ślepe zaułki. Skopiowane cudze notatki nie odnoszą się już do wysłuchanego wykładu czy też przeczytanej lektury. Są okrojone, niekompletne. Ale, ogólnie, prędkość przetwarzania informacji rosła, stopy papierów rosły, a wśród nich, jakby samorodki złota w ziemi, ukryte były myśli warte uwagi. I nagle to wszystko zaczęło zniknąć. Pojawił się mikroprocesor, mikrokomputer i mikroskład dla naszej mikro-

twórczości. Początkowo wyglądało to u mnie (...) jak ogromne porządkowanie papierów. Coś niezwykle korzystnego. Ale pisanie na komputerze trzeba się było nauczyć. Dawniej rozkładało się wokół siebie notatki i na wszystkie można było spojrzeć jednocześnie. Teraz musimy sięgać w miejsce, gdzie jest odpowiednia notatka bez możliwości choćby omięcia jej wzrokiem. Czyżby nawrót do pamięci? Inna sprawa, komputer pozwala spojrzeć na tekst wielokrotnie i wzbogacać go w całej jego masie. Gdybyż moja ciotka kiedykolwiek przekonała się do niego, może by mogła spokojnie wysłać swoje listy bez natychmiastowego zaklejania koperty. Albo nie, może właśnie nigdy by swoich listów nie kończyła? (...)

Mówiliśmy o roli edytora tekstu, klawiatury, ale zastanówmy się jeszcze, co dzieje się z pismem ręcznym. Zanika stopniowo problem niewyraźnego pisma. Tak jak my uczyliśmy się kaligrafii, następujące po nas pokolenia muszą się po prostu nauczyć używania klawiatury. Przy tym, najwyraźniej, dokonała się *prywatyzacja* pisma. Jeżeli weźmiemy notatki osób wychowanych już w nowej sytuacji, okazuje się, że w coraz większym stopniu są one czytelne już wyłącznie dla piszącego, co w znacznym stopniu może ograniczyć możliwość komunikowania się tą właśnie drogą. A i my, starsi, nauczani w swoim czasie kaligrafii, nie musimy już nikomu przedstawiać swych myśli używając pisma ręcznego, więc też puszczamy czasem w niepamięć zasady wyraźnego pisania, choć często jeszcze pismo ręczne odczuwamy jako cieplejsze i bardziej przyjazne, czego w coraz mniejszym stopniu doznają młodszy.

Wysiłek pisania ręcznego, a jeszcze bardziej brak dla niego jakiegś rozsądnej alternatywy, niwelował prawdopodobnie pewne nasze niedomogi. Nie sam z siebie oczywiście, ale przez konieczność wyteżonej pracy. Skąd się bowiem bierze, że w obecnym czasie u tylu młodych ludzi postrzega się dysleksję, dysgrafię, dysortografię i inne dysharmonie. Nie mówię, że od urodzenia młodzi wystawieni są na oddziaływanie komputerów, ale to jest ogólna tendencja, która dotyka nas wszystkich, którą przenosimy na najmłodszych, tendencja do ograniczania pisma odręcznego (...). Czy jednak wspomniane defekty nie tracą na znaczeniu, skoro potrafimy sobie wyobrazić, że w stosunkowo niedługim czasie będziemy mogli wszyscy używać edytorów do formułowania potrzebnych nam wypowiedzi? Więcej, całe potrzebne nam sformułowania tematów znajdziemy w Internecie? Więcej nawet, sama klawiatura również może upaść na rzecz słowa mówio-

---

## Ogromną sztuką stało się poszukiwanie czegoś, czego naprawdę szukamy, nie mnóstwa przypadkowo napotkanych danych, ale tego właśnie, czego szukamy.

---

nego, przerabianego automatycznie na tekst pisany? Wtedy i zasady ortografii mogą popaść częściowo w zapomnienie.

Tak, to był ów motyw krzepiący, jak hasła na transparentach w niedysyjszych pochodach pierwszomajowych. Dla równowagi wrzucmy więc coś, co by nam popsulo trochę humory.

Przyjrzyjmy się ułatwieniom w pisaniu listów. To znaczy, jak ktoś jest ciężki w pisaniu, to mu nawet najlepszy sprzęt nie pomoże, ale jeśli już ma pewną sprawność myślenia... Komputer pozwala wycinać dowolne fragmenty tekstów i wklejać je gdziekolwiek. W ten sposób można bardzo łatwo przerobić list do jednej osoby na list do osoby drugiej, trzeciej i tak dalej. Sprawić to może, że odbiorca nie musi być już traktowany indywidualnie, w pewien sposób można go zbyć, nawet pisząc do niego wyczerpujące i częste komunikaty. Wysiłek ręcznego pisania listu był wysiłkiem, który ponosiliśmy dla kogoś osobście i trudno go było traktować inaczej jak personalnie. Dziś możemy pisać do znacznie większej ilości osób, bo też Internet ułatwia zawieranie znajomości, ale jest zagrożenie, że nasza korespondencja może

się stać korespondencją nieautentyczną, seryjną, a emocje wywoływane u odbiorców mogą być nieuprawnione (...). Listonosz pewniejszą nam chyba przynosił rzeczywistość w kopercie zaadresowanej do nas. Być może jest to jeszcze jeden przykład zastosowania reguły mówiącej, że traci na znaczeniu coś, co nie wymaga wysiłku, o co nie musimy zabiegać i to, że nieograniczony dostęp dewaluuje swój przedmiot.

Inne przykłady pism seryjnych. Te nie wymagają już w ogóle żadnego wysiłku. Otrzymujemy je od kogoś z adnotacją, aby przesłać dalej wszystkim znajomym (...). Jest to oczywiście kontynuacja łańcuszków, które znane były od dawna, ale ponieważ przesyłanie ich w obecnym czasie nie nastręcza żadnej trudności, nie wymaga wysiłku i żadnych kosztów, mnożą się one, zapychając często nasze skrzynki pocztowe. Ponieważ twarde dyski naszych komputerów są coraz pojemniejsze, wiele osób pozostawia te przesyłki na nich, ale trudno wracać do setek obrazków utrwalonych na twardego dysku (...), kiedy każdego dnia przychodzi następne. Najczęściej jednak krążą one gdzieś w tak zwanej przestrzeni wirtualnej, tworząc najnowocześniejszą odmianę śmietniska.

Są jednak i takie listy, które skierowane do nas i do nikogo innego, listy informacyjne, listy ujęte w kilka linijek powyżej. Bo cóż poza konkretem można przy ich pomocy przekazać. W listach takich nie chcemy podzielić się sobą z kimś, ale załatwić jakiś interes. To właściwie jakby pisma urzędowe, a kontakt, w który wchodzimy przy ich pomocy, to kontakt rzeczowy. Takie są krótkie maile, takie są również smsy. Rzadko kto jednak dostrzega fakt, że im mniej słów, tym bardziej nieokreślona wypowiedź, tym szerszy zakres możliwych interpretacji. Zatem pisma, które mają za zadanie krótko poinformować, chybają celu, gdy dotyczą spraw bardziej złożonych, bliskich nam, wzajemnych uczuć na przykład (...). Język mówiony posługuje się najczęściej analogicznymi komunikatami szczątkowymi, wrywkowymi. Ale w sytuacji posługiwania się mową i spotykania odbiorcy twarzą w twarz, mamy dodatkowe środki ekspresji, mamy barwę głosu, tempo mówienia, gestykulację, możliwość wskazania jakiegoś obiektu, wreszcie mamy komunikację dwustronną. To wszystko natrafia na poważne bariery w przypadku smsów czy maili. Już mówienie przez telefon jest trudniejsze, chociaż nadal jest to kontakt dwustronny natychmiastowy (...).

Chyba wszyscy reformatorzy marzyli o masowym dostępie do kultury, a tu, dzięki łatwości przesyłania wszystkiego, dzięki łatwości wytwarzania i rozpowszechniania tego, co na uwagę zasługuje i co na uwagę nie zasługuje, wzrasta popularność pewnego rodzaju zabawek wpływających w zadziwiająco silny sposób na bazę kulturową. Wobec powszechności dostępu do tych krążących treści, obniżają one swój ogólny poziom, bowiem krążą jako treści skierowane do *wszystkich*. Są oczywiście również nisze wypełnione treściami istotnymi, ale one giną po jakimś czasie w powodzi nijakości, gdyż docierają do nich osoby niepowołane (...).

Mnóstwo jest w Internecie potrzebnych nam danych. Ogromną sztuką stało się poszukiwanie czegoś, czego naprawdę szukamy, nie mnóstwa przypadkowo napotkanych danych, ale tego właśnie, czego szukamy. Przypuśćmy jednak, że znaleźliśmy. Jakie są to treści? Znowu najłatwiej natrafić na treści typu encyklopedycznego, hasłowego, na te bowiem jest największe zapotrzebowanie owego „masowego internauty”. Prawdą jest, że podnosi to poziom wiedzy tych, którzy jej w ogóle nie posiadają, ale rzadko pogłębia wiedzę tych, którzy cokolwiek już wiedzą na dany temat. Przypuśćmy jednak, że znaleźliśmy informację wystarczającą. Jedno kliknięcie sprawia, że nasze znalezisko zostanie zarejestrowane na dysku. Pisanie samodzielne, z procesem wymyślenia formy zdaniowej, czy też jakiegokolwiek formy przyjętej dla notatki, jest rozciągle w czasie. Nawet przepisywanie trwa na tyle długo, że większa jest szansa internalizacji treści, uaktywnienia się procesów pamięciowych.

W ogóle większa jest możliwość pomyślenia o zagadnieniu, gdy spotkanie z nim trwa jakiś czas. Kliknięcie jest tylko jedną chwilą. Wstępne rozeznanie, najczęściej w oparciu o kilka kluczowych słów w przeskanowanym wzrokiem tekście, nie ma szansy pogłębić się w tym czasie. Takie przyspiesze-



nie tempa działania musi zmienić drastycznie proces myślowy. Od razu też ukute zostało określenie *myślenie klawiszami* czy też *myślenie klawiaturą*. Jaka jest różnica pomiędzy *myśleniem klawiszami* a *myśleniem piórem*? Czy różnice te mają charakter wyłącznie techniczny? A może „gdzie to mam” dominuje „jak to wyrazić”. „Gdzie to mam”, albo innymi słowy: „gdzie ja to już widziałem”. Jeśli tak jest, to styl pisania, ten powszechny, ogólnego zastosowania, miałyby szansę unifikować się, kultura *splaszczalaby się* niejako. Oczywiście tak jak dotąd pozostaną na szczęście osoby genialne i wyjątkowe, ale i na nie tendencja ta będzie musiała wpłynąć.

Człowiek ma zamilowanie do maskarady, do takiego porządkowania świata, aby móc sobie dać w nim radę i żeby móc błyszczeć w jego środku. Przybiera więc różne przebrania dla siebie i dla elementów otaczającej go rzeczywistości. Internet doskonale nadaje się do takich kreacji (...). Wiele jest sposobów na to, aby poznać kogoś tą drogą. Większość portali ma

---

**...poprzez Internet nawiązywany jest często równoległe cały szereg znajomości, gdy w sposób tradycyjny dość powszechne było i w pewnym stopniu do dzisiaj jest, zawężenie ich kręgu. Do czego to może prowadzić? Do ustalenia się tendencji do poznania powierzchownego partnera. To jedno, a drugie – to obniżenie się progu zaniechania.**

---

już teraz odpowiednią usługę. Zdarzyło mi się już znaleźć „randki” na stronie miłośników kotów. Jakże to zmienia sytuację. Nawet jeśli wstąpimy na jakiś bal, możemy tam spotkać kilka wolnych kobiet czy mężczyzn, reszta zaś będzie miała jakieś towarzystwo. Z tych kilku dostępnych osób, przypadną nam do gustu góra dwie-trzy. Nagle w jednym miejscu możemy znaleźć tysiące, a nawet setki tysięcy anonсів osób, które by chciały nawiązać korespondencję, przyjaźń, romans. Wchodząc na taką stronę, wybieramy z długiej listy kogoś na chybił trafił, wysyłamy do niego sygnał i czekamy (...).

**D**otyczas spotykaliśmy się ze sobą w jakimś kontekście, w wybranej przez nas sytuacji, w grupie podobnych do nas osób, w miejscu przeznaczonym dla grupy społecznej, w której jesteśmy zakorzenieni. W podjęciu rozmów odgrywały rolę takie czynniki, jak wygląd zewnętrzny, sposób wypowiedzania się (przejawy statusu i miejsca). Szukając kogoś w Internecie, podejmujemy wstępną decyzję w oparciu o skategoryzowane wypowiedzi wybrane przez tamtą osobę. Wiadomo jednak, jak bardzo taki sposób opisywania samego siebie jest nieadekwatny. Dostrzec można i to, że wybierane są stwierdzenia zaprzeczające sobie nawzajem. Są też wybory narzucające się, na przykład „miły”, „zadbany”, „z poczuciem humoru”. Nie ma takich cech jak wulgarny, kłótlivy, mało inteligentny, nieszczerzy, bo i tak nikt by ich nie wybrał inaczej, jak przez żart. Wśród zainteresowań często występuje „fitness”, „pływanie”, „bieganie”, jakbyśmy byli narodem wybitnie wysportowanym. Toż, gdyby wszyscy zainteresowani pływaniami wskoczyli do naszych basenów, nie pozostałoby tam już miejsca na wodę. Duży jest też procent osób interesujących się operą, operetką. Gdyby obliczyć liczbę widzów tych instytucji i porównać z liczbą takich wyborów, okazałoby się, że nie tylko bywalcy, ale też wszyscy członkowie chórów, baletów i orkiestr szukają życiowych partnerów w Internecie. No dobrze, wiem, trochę przesadziłem, można kochać balet i nigdy nie widzieć go na żywo, niemniej upierać się będę, że mamy tu do czynienia z dowolnością, a wręcz losowością wyborów. Zatem faktycznie niewiele wiemy o wybranej osobie. Nie mamy możliwości przyjrzenia jej się w czasie, zanim zostanie przez nas wyróżniona. Znamy wyłącznie wykreowaną przez naszego interlokutora „postać” (...).

Jest jeszcze jeden próg, próg wzajemnego rozumienia, bardzo ważny wobec w gruncie rzeczy słabej naszej umiejętności celnego formułowania myśli, wobec operowania ogólnikami, skrótami, schematami. Zawsze w takich przypadkach przychodzi mi na myśl sytuacje, w których młodzi ludzie opowiadają sobie filmy. Wygląda to mniej więcej tak: „Wiecie, wtedy ten z tą tam poszedł i były niezłe jaja, jak się zjawił tamten, żeby się za to wszystko, rozumiecie...”. Jeżeli oglądaliście wcześniej film, potraficie sobie odtworzyć mniej więcej fabułę, jeżeli nie, nie dane wam będzie zorientować się, o czym mowa. W innych grupach społecznych naturalną formą rozmowy jest obracanie kilkoma wyrazami z dodaniem przedrostków i przyrostków, co z powodzeniem, jak się wydaje, wystarcza do koniecznego opisu rzeczywistości. Nie będę tutaj przytaczał wspomnianych wyrazów, bo nie tylko ja, ale i czcionka możemy się zaczerwienić ze wstydu.

W tym momencie grupy mieszają się, a każda ma swoje pojęcia podstawiane pod ogólniki, którymi się operuje w rozmowach pisanych. To jest taka sytuacja jak w przypadku „solidarności”. Słowo niby jednoznaczne, możliwe do zdefiniowania. W pewnym momencie porwało wiele milionów. Ale był to moment, w którym nie zastanawialiśmy się wszyscy nad nim. Brzmiało dobrze. A kiedy każdy się zaczął zastanawiać, wielomilionowy związek zawodowy stopniał do wielkości jakiejś marginesowej organizacji.

Kolejnym utrudnieniem jest konieczność używania klawiatury. Użytkownik musi na dłuższe momenty oderwać uwagę od rozmówcy, aby zając się zapisywaniem swych wypowiedzi. Wypowiedzi obu stron nie są formułowane naprzemiennie, ale w tempie od siebie zależnym tylko w pewnym, ograniczonym stopniu (...). My piszemy, w tym czasie rozmówca pisze swoje zdanie. Krótko mówiąc, zanim zdążymy usłyszeć cudze pytanie, zadajemy już własne. Gdy nasza myśl jest nieco dłuższa, ciągniemy ją równoległe do naszego rozmówcy, który kontynuuje przekazywanie nam swych własnych idei. Zdarza się nawet tak, że prowadzimy dwa odrębne ciągi myślowe z niewielkimi odniesieniami pomiędzy nimi.

Konieczność szybkiego pisania zmusza nas do upraszczania języka, wymusza skróty, opuszczanie wielkich liter, interpunkcji, znaków idiograficznych. Być może w tym kierunku będzie zmierzał nasz język, wobec coraz powszechniejszej komunikacji internetowej. Ale te pominięcia jakże często zaciemniają samą myśl.

Są jeszcze inne odmienności (...). Pierwsza, o dość ważnych konsekwencjach, to ta, że poprzez Internet nawiązywany jest często równoległe cały szereg znajomości, gdy w sposób tradycyjny dość powszechne było i w pewnym stopniu do dzisiaj jest, zawężenie ich kręgu. Do czego to może prowadzić? Do ustalenia się tendencji do poznania powierzchownego partnera. To jedno, a drugie – to obniżenie się progu zaniechania. Jeszcze funkcjonuje w kulturze ta myśl, że miłość to nie chwilowe uniesienie, ale jakiś związek, w którym bywają momenty lepsze i gorsze, w którym można się nie zgadzać ze sobą i spierać. To wszystko nie oznacza od razu wyczerpania się podstaw związku emocjonalnego, a wręcz pokonanie takich trudności jeszcze bardziej potrafi partnerów przybliżyć. Inaczej jest w znajomościach internetowych. Jedne znajomości zarzucane są tu często dla innych. Problemy z partnerem relacji pokonywane są najczęściej nie przez próbę zrozumienia i rozwiązania, ale przez zarzucenie. Partner znaczy mniej, bowiem czeka na nas lista kilkuset tysięcy innych dostępnych. Ale inni czynią dokładnie to samo z nami. Stajemy się nagle produktami, które trzeba umieć zarekomendować, osobnikami pięknymi, bezkonfliktowymi, supermężczyznami, nadkobietami o boskich ciałach i wszelkich pożądanych zaletach. Pokazywanie swoich masek nie jest niczym zdrożnym, na co dzień to czynimy, ale ta nasza nowa maska nabiera cech bohaterów najgorszych mydlanych oper (...).

**MIROSLAW ORZECZOWSKI** – Filozof, malarz, prozaik, esaista, twórca Lekkiego Teatru Przenośnego działającego przy Chorzowskim Centrum Kultury, autor scenariuszy dla tegoż teatru.



# Kanałami po Śląsku

JAKUB  
LOGINOW

**K**anał Odra – Dunaj, Kanał Śląski, magistrala Wisła – San – Dniestr... Te trzy kanały mają wspólną cechę: nigdy nie powstały, choć na ich temat napisano już całe tomy książek i jeszcze więcej publikacji prasowych. Historia tych niezrealizowanych inwestycji sięga XIX wieku, kiedy to Austro-Węgry, przy współudziale Niemiec, planowały stworzyć sieć autostrad wodnych oplatających Europę Środkową. Odpowiednią ustawę, ustanawiającą dwudziestoletni program inwestycyjny, austro-węgierski parlament przyjął w 1901 roku, a wkrótce potem rozpoczęły się pierwsze prace przygotowawcze. Nie wyszło – realizację tych ambitnych planów przerwał wybuch wielkiej wojny. Dziś, po ponad stu latach od tych wydarzeń, dawne projekty znów mają szansę na realizację: tym razem dzięki Unii Europej-

skiej, która mocno stawia na rozwój żeglugi.

## Historyczne autostrady

**W** dawnych czasach to właśnie rzeki były najważniejszymi szlakami transportowymi, umożliwiającymi rozwój handlu i rzemiosła. To między innymi dlatego większość średniowiecznych miast i osad była lokowana nad rzeką, która spełniała różnorakie funkcje: zapewniała dostęp wody pitnej i gospodarczej, chroniła przed wrogami i umożliwiała łączność ze światem. W Polsce najważniejszą arterią była oczywiście Wisła, nad którą zlokalizowane były kluczowe dla Rzeczypospolitej ośrodki: Kraków, Sandomierz, Warszawa, Płock, Toruń i oczywiście Gdańsk.

Ten ostatni, choć przez długie lata był wolnym miastem lub znajdował się pod panowaniem niemieckim,

odegrał ogromną rolę w rozwoju staropolskiej gospodarki. To w gdańskim porcie odbywał się przeladunek najważniejszych towarów eksportowych dawnej Rzeczypospolitej: zboża, soli z wielkich kopalni, a w czasach nowożytnych – śląskiego węgla. Gdyby nie magistrala transportowa w postaci rzeki Wisły, Rzeczpospolita nigdy nie osiągnęłaby takiej potęgi, jaką była w czasach Jagiellonów – konne powozy nie byłyby w stanie zastąpić wiślanych galarów, a bez wymiany handlowej nasza gospodarka upadłaby na długo przed rozbiorami.

Revolucja przemysłowa oznaczała z jednej strony dodatkowy wzrost znaczenia transportu wodnego, a z drugiej – konieczność konkurowania z błyskawicznie rozwijającą się koleją. Wraz z rozwojem miast i przemysłu niezbędne było usprawnienie transportu, dlatego też wiek XIX oznaczał rozkwit budownictwa hydrotechnicz-

nego. Przy czym pierwsze ambitne projekty dróg wodnych pojawiały się już w wieku XVIII, również w naszej części Europy. Sieć kanałów na Mazurach, Kanał Augustowski, Kanał Królewski łączący Dniepr z Bugiem, wreszcie kanały leżące na terenie Śląska – to wszystko efekt tamtych, przyjaznych dla żeglugi czasów.

Dziś wiele ze zbudowanych w XIX wieku kanałów jest zbyt wąskich i płytkich, by mogły służyć żegludze towarowej. Zmieniły się czasy i realia – wzrosły rozmiary statków i barek rzecznych, wzrosło też znaczenie szybkości przewozu. Tym niemniej, zabytkowe kanały, które sto kilkadziesiąt lat temu służyły transportowi towarów, zyskują dziś drugie życie – stają się atrakcją turystyczną, służą rekreacji i sportom wodnym.

### Żegluga powraca

Pod drugiej wojnie światowej przyszedł okres zachłyśnięcia się motoryzacją, początkowo bez oglądania się na środowisko naturalne. Priorytetem były autostrady i wielu osobom wydawało się, że żegluga śródlądowa to przeżytek. W wielu krajach, w tym w Polsce, transport rzeczny praktycznie zamarł. Co prawda w czasach PRL żegluga po Wiśle, Odrze i kilku innych drogach wodnych była wykorzystywana, ale praktycznie nie inwestowano w utrzymanie i rozwój infrastruktury hydrotechnicznej, nie odnawiano floty statków rzecznych. Efekt: warunki nawigacyjne na rzekach i kanałach stawały się coraz gorsze, Wisła uległa wtórnemu zdziczeniu, pojawiły się przy tym ładnie wyglądające, ale niebezpieczne dla żeglugi płycizny, wyspy i zarosła. Podobnie z portami rzecznyymi: pozabawione inwestycji, stopniowo zaczęły przypominać obiekty żywcem wzięte z filmów apokaliptycznych. To samo można powiedzieć o kompletnie wyeksploatowanych barkach i holownikach – te, które jeszcze pływają po polskich rzekach, liczą sobie po kilkadziesiąt lat i trudno je nazwać inaczej, niż kupą złomu.

To wszystko sprawia, że obraz społeczny żeglugi śródlądowej kojarzy się w Polsce ze wszystkim, tylko nie z nowoczesnością i ekologią. Zupełnie inaczej jest na Zachodzie, gdzie powojenne władze mimo początkowego zachłyśnięcia się autostradami, nie zaprzestały inwestycji w drogi wodne. Wręcz przeciwnie: w krajach ówczesnego EWG szybko dostrzeżono, że nadmierny rozwój motoryzacji prowadzi donikąd, a budowa nowych autostrad i zabetonowanie każdego ka-

walka przestrzeni parkingami wcale nie zmniejsza korków. Stąd też, wraz z pojawieniem się ruchów ekologicznych, nastąpiło dążenie do zmniejszenia znaczenia transportu samochodowego poprzez rozwój bardziej przyjaznej środowisku kolei i żeglugi.

Decydujące znaczenie ma fakt, że jeden statek rzeczny może przewieźć tyle ładunku, co kilkadziesiąt ciężarówek – stąd też rozwój żeglugi znacząco zmniejsza zatłoczenie naszych dróg, a tym samym poprawia bezpieczeństwo i komfort jazdy kierowców. Mniejsza ilość TIR-ów oznacza też większą żywotność dróg – a więc mniejsze nakłady na ich remonty i modernizację (infrastruktura hydrotechniczna jest droga w budowie, ale zużywa się dużo wolniej, niż drogi kołowe i kolej). Nie mniej ważne są kwestie klimatyczne: przewiezienie tony ładunku statkiem oznacza aż pięciokrotnie mniejszą emisję dwutlenku węgla i spalin, niż w przypadku transportu drogowego.

### Biała plama

Jeśli spojrzeć na europejską mapę dróg wodnych, od razu rzuci się w oczy dość okazałych rozmiarów biała plama, gdzie żeglownych szlaków praktycznie nie ma. Ta biała plama – to Polska. Nasz kraj jako jedyny w tej części Europy nie podpisał kluczowego dokumentu, który reguluje kwestie żeglugi śródlądowej – konwencji AGN. Konwencja ustanawia sieć międzynarodowych dróg wodnych europejskiego znaczenia (obecnych i postulowanych), spośród których cztery przebiegają przez nasz kraj: E30 (Odra wraz z planowanym kanałem Odra – Dunaj), E40 (Bałtyk – Wisła – Dniepr – Morze Czarne), E70 (z Niemiec, przez Odrę, Wartę, do Wisły i Zalewu Wiślanego) oraz E89 (Odra – Wag – Dunaj).

Wymienione połączenia są kluczowe dla spójności europejskiego systemu dróg wodnych. Rozwinięta sieć żeglownych rzek i kanałów znajduje się nie tylko na zachód od nas, ale także u naszych południowych i wschodnich sąsiadów. Polska jest natomiast brakującym łącznikiem między nimi – mowa tu zwłaszcza o kanałach Odra – Dunaj (w obu wariantach: czeskim i słowackim) oraz o połączeniu Wisła – Bug – Dniepr.

Spśród postulowanych przez specjalistów inwestycji, dość spore znaczenie mają kanały leżące w całości lub części na terytorium Śląska. Mowa o Kanale Śląskim, łączącym Odrę z Wisłą w rejonie Oświęcimia oraz o kanałach Odra – Morawa – Dunaj

i Odra – Wag – Dunaj, ze wspólnym odcinkiem na terytorium polskiego i czeskiego Śląska.

### Kanał Odra – Dunaj

Opóźnieniu Odry z Dunajem bardzo poważnie mówiło się już w czasach Franciszka Józefa, a na początku XX wieku projekt ten zaczęto nawet realizować. Stało się tak dzięki wspomnianej na wstępie sławetnej ustawie Austro-Węgier o budowie sieci dróg wodnych cesarstwa, przyjętej w 1901 roku między innymi dzięki lobbingowi polskich posłów do wiedeńskiego parlamentu. Program inwestycyjny był przewidziany na lata 1901-1921 i gdyby nie wybuch wojny i rozpad państwa Habsburgów, dziś moglibyśmy popłynąć sobie do Wiednia wygodnym statkiem turystycznym lub jachtem motorowym.

Namacalnym efektem wspomnianej ustawy jest kilkukilometrowy odcinek kanału na wschodnich przedmieściach Wiednia. Na planie miasta widnieje on właśnie pod nazwą Donau-Oder Kanal, chociaż tak naprawdę prowadzi donikąd i korzystają z niego wyłącznie kajakerze.

Do idei połączenia Odry z Dunajem, ale w innym wariantcie niż to proponowali Habsburgowie, na początku lat 90. powróciła niepodległa Słowacja. Przyjęto wówczas obowiązującą do dziś strategię rozwoju transportu, obejmującą projekt inwestycyjny o nazwie „Użeglowienie drogi wodnej Wagu wraz z dalszym połączeniem z Odrą”. Zadanie może się wydawać nierealnym i zbyt megalomańskim, ale tak naprawdę większość prac inwestycyjnych wykonano już wcześniej – w czasach przedwojennej Czechosłowacji, a następnie w ramach hitlerowskiego państwa słowackiego oraz w czasach komunistycznych. W ciągu tych kilku dziesięcioleci (od lat 30. po lata 70.) stworzono Kaskadę Wagu, w skład której wchodzi kilkanaście stopni wodnych i sztucznych jezior, wraz z infrastrukturą hydrotechniczną. Inwestycje te były jednak realizowane głównie z myślą o energetyce wodnej i zaopatrzeniu w wodę, stąd też obecnie konieczne jest zbudowanie śluz, przebudowa mostów tak aby zmieściły się pod nimi statki oraz poszerzenie i pogłębienie w niektórych miejscach koryta rzeki.

Obecnie Wag jest żeglowny od jego ujścia do Dunaju w Komarnie (gdzie znajduje się dość spory port rzeczny) aż do miejscowości Sered w środkowym biegu rzeki. Według obowiązującego harmonogramu (który jednak jest realizowany z kilkuletn-

nim opóźnieniem), do 2020 roku statki mają dopływać do Żyliny, która dzięki temu stanie się ważnym centrum logistycznym, obsługującym wymianę handlową m.in. z Polską – a zwłaszcza ze znajdującym się nieopodal Śląskiem. I wreszcie, w latach 2025 – 35 ma być zbudowany najtrudniejszy, stukilometrowy odcinek kanału między Żyliną a czeskim Bohuminem, przebiegający przez obszar Beskidów. Wymagać on będzie pokonania dość sporej różnicy wysokości, stąd też zaplanowano zbudowanie dość ciekawej inwestycji hydrotechnicznej – tunelu żeglugowego pod Przełęczą Jabłonkowską.

Niezależnie od tego, od kilku lat swój wariant połączenia Odry z Dunajem chcą zrealizować Czesi. Czeski projekt niemal wprost nawiązuje do starych habsburskich planów i jest mniej skomplikowany technicznie. W odróżnieniu od wariantu słowackiego, nie ma tu potrzeby pokonania aż tak dużych różnic wysokości, planowany kanał przebiega przez tereny nizinne i niewielkie wyżyny na Morawach. Projekt, znany jako DOL (Dunaj – Odra – Łaba) nabrał przyspieszenia w zeszłym roku, wraz z objęciem posady przez prezydenta Miloša Zemana, który jest jego gorącym zwolennikiem. Oba warianty kanału łączą się ze sobą w rejonie Bohumina, a dalsza trasa tej magistrali prowadzi polskim odcinkiem Odry aż do portów morskich w Szczecinie i Świnoujściu.

### Kanał Śląski

Nie mniej ważnym projektem jest Kanał Śląski, którego realizację planowano już w czasach Edwarda Gierka. Kanał ma połączyć górną Odrę z górną Wisłą i według wykonanych dotychczas projektów ma przebiegać na południe od aglomeracji górnośląskiej. W czasach PRL projekt ten wraz z Centralnym Portem Węglowym w Tychach miał być kolejną ze sztandarowych gierkowskich inwestycji. Nie wyszło – wykonano co prawda prace projektowe, ale zanim doszło do realizacji, nastał Stan Wojenny, a wraz z nim – smutne, kryzysowe lata 80.

Dziś projekt Kanału Śląskiego bardzo aktywnie lansują małopolscy żegludowcy. Wiąże się to z faktem, iż Górna Wisła między Oświęcimiem a Nową Hutą już dziś jest żeglowną drogą wodną – jedną z niewielu w Polsce. Ale co z tego, skoro jest to droga ślepa, nie połączona ze światem. Takim brakującym łącznikiem jest właśnie planowany Kanał Śląski, który dziś ma szansę na realizację za sprawą środków unijnych.

Co prawda parametry nawigacyjne Odry również pozostawiają wiele do życzenia, ale tym niemniej już dziś jest to żeglowna rzeka, którą można dostać się do Niemiec, a stamtąd – do całej Europy Zachodniej. A jeśli wraz z Kanałem Śląskim powstałby opisany wcześniej kanał Odra – Dunaj (w słowackim lub czeskim wariantcie), Śląsk stałby się ważnym europejskim węzłem żegludowym z dostępem do portów trzech mórz: Bałtyckiego, Północnego i Czarnego. A przy okazji, żegludowe okno na świat zyskałby też Kraków.

### Statkiem na pivo do Krakowa

Przeciętnemu Polakowi trudno jest dostrzec namacalne korzyści, które mógłby on odczuć dzięki powstaniu opisanych wyżej dróg wodnych. I nic dziwnego: z nowoczesnych autostrad czy szybkiej kolei może skorzystać każdy przysłowiowy Kowalski, ale już transport towarów statkiem wydaje się być pewną abstrakcją.

Korzyści z istnienia sprawnej żeglugi śródlądowej i morskiej mają charakter pośredni: przede wszystkim oznaczają one lepsze perspektywy dla inwestorów (a więc miejsca pracy), czystsze powietrze (statki emitują znacznie mniej spalin przy przewozie tej samej ilości towarów, niż ciężarówki) oraz niższe ceny w sklepach. Dzieje się tak dlatego, że przewóz towarów wodą jest bardzo tani – przy zastrzeżeniu, że jednorazowo trzeba przewieźć dość sporą ilość ładunków, a czas transportu jest większy, niż w przypadku ciężarówek. Z tego względu żegluga śródlądowa jest opłacalna wtedy, gdy da się w ten sposób przewozić towary na dłuższe odległości, najlepiej powyżej 300 km. Gęsta, rozwinięta sieć żeglownych rzek i kanałów sprawia, że koszty transportu znacząco spadają i to właśnie przekłada się na niższe ceny towarów w sklepach oraz większą atrakcyjność danego obszaru (w naszym przypadku Śląska i okolic) dla inwestorów.

Mało kto wie, że to właśnie sąsiedztwo żeglownej drogi wodnej Wagu przesądziło w latach 2000-2006 o tym, że międzynarodowe koncerny (głównie samochodowe) wybierały słowackie Poważe na miejsce swoich inwestycji. Warto przypomnieć, że ten słowacki region konkurował wówczas o inwestorów m.in. ze Śląskiem, a także z lokalizacjami z Czech i Węgier. Warunki oferowane inwestorom przez wszystkie kraje wyszehradzkie były podobne, ale tylko Słowacja mogła zapewnić, że inwestorzy będą mogli korzystać z taniego transportu

surowców i gotowych wyrobów drogą wodną. A to okazało się na tyle istotnym elementem w kalkulacji kosztów i przychodów planowanej inwestycji, że ostatecznie przeważało o wyborze słowackiej lokalizacji.

Ale żegluga śródlądowa to nie tylko przewóz towarów. O tym, że statki pasażerskie mogą być nie tylko atrakcją turystyczną, ale także normalnym środkiem komunikacji publicznej, świadczy przykład wodolotów kursujących między Bratysławą a Wiedniem. Statki pokonują 60-kilometrowy odcinek między obiema stolicami w ciągu półtorej godziny, a więc tylko o pół godziny dłużej, niż wynosi czas przejazdu pociągiem lub autobusem. W praktyce jednak statek wygrywa, gdyż porty pasażerskie znajdują się w samym centrum Bratysławy i Wiednia, podczas gdy do obu dworców kolejowych i autobusowych trzeba dojechać kilka kilometrów, co zajmuje dodatkowo 15-20 minut. Nic dziwnego, że oprócz turystów, na statkach tych spotkamy także biznesmenów w garniturach i z laptopami, którzy docierają tym środkiem transportu do pracy czy na spotkanie biznesowe w sąsiedniej stolicy.

Projekt Kanału Śląskiego ma dość spore poparcie wśród samorządowców obu Sejmików: Śląskiego i Małopolskiego. Czas na realizację takiej inwestycji jest wręcz idealny: to ostatni moment, by aplikować o środki unijne na ten cel. Jeśli się uda, być może za dziesięć lat wodoloty takie jak te na Dunaju pojawią się na Kanałe Śląskim i Górnej Wiśle, stanowiąc atrakcyjną konkurencję dla przejazdów samochodem lub pociągiem. Po drodze statkiem ze Śląska do Krakowa w ciągu dwóch godzin, z przystankiem końcowym pod samym Wawelem – kto wie, może za kilkanaście lat taka perspektywa stanie się naszą codziennością. ■

**Jakub Łoginow** – z wykształcenia magister inżynier towaroznawstwa, z zawodu i zamiłowania dziennikarz. Od 2010 roku stały współpracownik miesięcznika „Kraków”, od 2006 roku – polski korespondent kijowskiego tygodnika „Dzierkało Tyżnia”. Prowadzi portal [www.porteurop.eu](http://www.porteurop.eu) poświęcony krajom Europy Środkowej (Ukraina, Słowacja, Czechy, Austria, Białoruś, Węgry). Zainteresowania dziennikarskie – relacje polsko-ukraińskie i polsko-słowackie, polityka, kultura i języki krajów środkowoeuropejskich, ochrona środowiska, gospodarka morska i żegluga śródlądowa. Urodzony w 1981 we Wrocławiu, mieszka w Krakowie.

## • Oblicza kryzysu i kryzysowa narzeczona

Od wielu dekad jednym z kluczowych pojęć publicznej debaty stał się termin „kryzys”. Zjawisko i jednocześnie proces o uniwersalnym, powszechnym, charakterze. Mówimy bowiem o kryzysach finansowych czy szerzej ekonomicznych, politycznych, ekologicznych, społecznych, związanych w ekspansją niektórych chorób, zagrożeniem epidemią czy nawet pandemią. Gorączka krwotoczna i ekspansja wirusa Ebola w Afryce Zachodniej jest tutaj dobrym tego przykładem. Kryzys notowany jest w społecznościach lokalnych, zbiorowościach regionalnych, w skali poszczególnych kontynentów i wreszcie w wymiarze globalnym. Kryzysem dotknięte są tak fundamentalne grupy i instytucje takie jak rodzina czy małżeństwo. Nie omija on także instytucji i poszczególnych dyscyplin naukowych, by tylko wspomnieć o kryzysie socjologii czy nauk humanistycznych. Kryzys nas wszechogarnia chociaż towarzyszą mu niemal zawsze przeciwdziałania społeczne, samorządne, żywiołowe czy w końcu zorganizowane i lepiej lub gorzej zaplanowane. Warto przy okazji przypomnieć, że o kryzysowej narzeczonej śpiewa od ponad trzydziestu lat zespół Lady Pank.

## • Reminiscencje wielkiego kryzysu

Można zatem bez cienia przesady stwierdzić, że żyjemy w społeczeństwach ciągłego kryzysu, który modyfikuje ich funkcjonowanie i rzadko, na szczęście, je unicestwia. Kryzys społecznie został oswojony choć niektóre jego konsekwencje pozostaną na stałe w zbiorowej pamięci. Z całą pewnością na kartach wszystkich podręczników historii zagościł największy w minionym stuleciu kryzys gospodarczy zainicjowany krachem na giełdzie nowojorskiej w październiku 1929 roku. Objął on swoim zasięgiem nie tylko Stany Zjednoczone, ale wszystkie niemal państwa świata, międzywojennej Polski nie omijając. Kilka, czy nawet kilkanaście, lat trwała odbudowa rynków pracy, zaufania do instytucji finansowych, w tym banków i giełdy, odnowienie dobrych praktyk w państwowych i prywatnych przedsiębiorstwach.



MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Notatnik  
spóźnionego przybysza

# Kryzys w świecie i świat w kryzysie

## • Frankowicze i kryzys

Wielu badaczy i analityków dostrzeka się daleko idących, strukturalnych, podobieństw między kryzysem z 1929 roku, a tymi zjawiskami i procesami mającymi początkowo miejsce w Stanach Zjednoczonych niemal osiemdziesiąt lat później. Symbolicznym i poruszającym aktem tego nowego kryzysu globalnego był upadek czwartego co do wielkości banku inwestycyjnego USA – Lehman Brothers. Skutki kryzysu miały globalny charakter i dotknęły również kredyto-biorców w RP, zwłaszcza tych, którzy zaciągnęli kredyty hipoteczne w walutach obcych, głównie we frankach szwajcarskich. Od wielu lat komentowany jest również kryzys w Unii Europejskiej z ważną deklaracją premiera Wielkiej Brytanii Davida Camerona, że jego kraj opuści UE jeśli ta organizacja nie przeprowadzi radykal-

nych reform instytucjonalnych, finansowych czy prawnych.

## • Kryzys i państwo islamskie

Poruszający jest kryzys syryjski, wyniszczający kraj, stwarzający jednocześnie możliwości ekspansji radykalnych działaczy i bojowników islamskich, usiłujących budować nowe struktury państwowe na terytorium Syrii i Iraku. Od lat głębokie zainteresowanie budzi kryzys koreański i zdumiewa bezkarność rządzącej na północy półwyspu dynastii Kimów i wojskowej kamaryli. Również w transformacyjnej Polsce kryzys w służbie zdrowia czy – *toutes proportions gardées* – kryzys smoleński są przedmiotem wielu politycznych sporów, pikiet i marszów. Jak więc widać kryzysy mają wielowymiarowy charakter i zasięg. Jedne z nich wpływają na losy systemu światowego, inne mają regionalny czy lokalny charakter, a jeszcze inne – dokonują się na dalekich marginesach systemu. Wszak kryzys, immanentnie wpisany w system światowy i wszystkie jego elementy strukturalne, może mieć nie tylko wielowymiarowe oblicze, ale odegrać korzystną rolę. Wielki kryzys naftowy z 1974 roku zmusił wiele państw i instytucji do poszukiwania alternatywnych źródeł energii, wymusił dystans wobec niektórych państw OPEC i uzmysłowił niebezpieczeństwa uzależnienia energetycznego.

## • Katharsis i wyrób czekoladopodobny

Kryzysy pełnią też rolę katarską i kompensacyjną, prowadząc czasami do działań o pojednawczym i koncyliacyjnym charakterze. Okrążył Stół w Polsce, jego dynamika i aktoży, przy wszelkich zastrzeżeniach, pokazują jak akt trudnej rozmowy budować może nową jakość polityczną oraz społeczną w państwie pogrążonym przez lata w kryzysie. Cały czas mam też w pamięci kryzysowe lata osiemdziesiąte minionego stulecia. W jednym ze sklepów w Tychach pojawiły się w sprzedaży czekolady, rarytas co się wtenczas zowie. Stałem karnie w monstrualnej kolejce i po blisko dwóch godzinach miałem w ręku dwie tabliczki. Moją uwagę przykuły zapisy na opakowaniu. Pierwszy, głosił że mam przed sobą „wyrób czekoladopodobny”, a drugi, podnosił konsumenckie morale. *I w kryzysie nie damy się* – tak brzmiała ta niezwykła in skrypcja.

## 25. Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej

Zdjęcia: z archiwum autorki



Koncert inauguracyjny w Bazylice Jasnogórskiej z udziałem honorowego gościa Festiwalu profesora Arvo Pärta (pierwszy z lewej)

# Święta łączności

ELŻBIETA  
PISARCZYK

„O jesteś znowu święta łączności, muzyko, melodio, muzyko” – te słowa Wielkiego Polaka Jana Pawła II uzmysławiają nam jak wielką rolę pełni kultura, która jest jednym z najważniejszych obszarów rozwoju każdego narodu.

(z listu Małgorzaty Omilanowskiej,  
minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego)



Koncert finałowy na Jasnej Górze

Tegoroczna edycja Festiwalu „Gaude Mater” rozpoczęła się w Warszawie 30 kwietnia utworem „Misterium Stabat Mater” Włodka Pawlika, a zakończyła w Gdańsku 8 maja koncertem Polskiego Chóru Kameralnego z okazji 70. rocznicy zakończenia II wojny światowej. Międzynarodowy, ale z organizacyjnym i koncertowym centrum w Częstochowie. Festiwal otworzył abp Wacław Depo, metropolita częstochowski, który powiedział m.in. – „Bardzo się cieszę, że w roku św. Jana Pawła II, świętując wprost jego 1. rocznicę kanonizacji, spotykamy się tutaj w pięknej Bazylice Jasnogórskiej i w to jej piękno wpisujemy po raz kolejny, już 25., piękno muzyki sakralnej i śpiewu. Dlatego bardzo serdecznie dziękuję wszystkim za to trwanie i wierność. (...) Wydaje mi się, że trzy słowa streszczają również naszą dzisiaj obecność i to, co odnosi się do przyszłości, to jest radość, wdzięczność i nadzieja. I niech one trwają w Częstochowie, w całej Polsce i w Europie, i w świecie”. Wyjątkowy charakter tegorocznej edycji podkreśliła też Małgorzata Zuzanna Nowak, dyrektor Festiwalu.

„25. Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej rozpoczynamy na Jasnej Górze, w miejscu szczególnym, gdzie muzyka rozbrzmiewa od wieków – mówiła witając zebranych pani dyrektor. – Jak przystało na jubileusz do tegorocznej edycji Festiwalu zaprosiliśmy wykonawców z najwyższej światowej półki, ale przede wszystkim zaprosiliśmy wykonawców i twórców dla których zarówno kompozytorska twórczość, jak i artystyczna aktywność w muzyce sakralnej stanowi ważną część ich działalności. Bo poprzez ich twórczość, poprzez ich artystyczne wykonania możemy obcować z pięknem. Dzisiejszy koncert inauguracyjny ma też wyjątkowego bohatera, bowiem jego muzyka nie tylko zbliża nas do piękna, ale też do majestatu Boga. Pragnę serdecznie przywitać naszego honorowego gościa Festiwalu profesora Arvo Pärta”. Wyjątkową okazją do zaproszenia wybitnego estońskiego kompozytora oraz dedykowania mu koncertu inauguracyjnego, który odbył się 1 maja, był jubileusz 80. lecia jego urodzin. W koncercie, z udziałem dostojnego jubilata, obok utworów mistrza takich jak „Magnificat”, „Salve Regina” czy „Vater unser”, melomani usłyszeli także utwory Vivaldiego.

Srebrny jubileusz „Gaude Mater” był doskonałą okazją do tego, by podsumować dotychczasowe działania. Przyznano nagrody i wyróżnienia. Otrzymały je wybrane instytucje i osoby zasłużone dla promocji kultury. Złotą Odznakę Honorową za Zasługi dla Województwa Śląskiego otrzymała Jasna Góra i Tygodnik Katolicki „Niedziela”. Odznaki Honorowe „Zasłużony dla Kultury Polskiej” przyznano członkom Rady Programowo-Artystycznej Festiwalu: o. Nikodemowi Kilnarowi, paulinowi oraz Łukaszowi Urbaniakowi. Natomiast Srebrny Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” otrzymał Tadeusz Szyma.

Do tegorocznej edycji zostali zaproszeni artyści, którzy już na festiwalu gościli i których koncerty były największymi wydarzeniami jego poprzednich odsłon. 1 maja w Bazylice Jasnogórskiej po raz kolejny przed festiwalową publicznością zaprezentował się Andreas Scholl, który śpiewał już w 2011 r. na wałach jasnogórskich podczas koncertu z okazji beatyfikacji Jana Pawła II. Ponownie do Częstochowy przyjechał zespół „The King’s Singers”

i hiszpański wirtuoz gitary flamenco Paco Pea (5 maja zabrzmiało jego „Requiem dla Ziemi”). Po raz kolejny na festiwalu gościły także dwa znakomite polskie chóry: „Schola Cantorum Gedanensis” i „Camerata Silesia”. Natomiast 6 maja w Bazylice Jasnogórskiej w koncercie z udziałem Orkiestry Symfonicznej i Chóru Filharmonii Częstochowskiej po raz kolejny wystąpiła izraelska sopranistka Anna Mikołajczyk-Niewiedział.

„Gaude Mater” to również wydarzenia nie związane z muzyką. Przed koncertem inauguracyjnym na Jasnej Górze otwarto wystawę „Droga, która leczy” Agaty Padoł-Ciechanowskiej, 2 maja w sali widowiskowej parafii św. Zygmunta w Częstochowie odbyło się spotkanie z twórcą tegorocznego plakatu Festiwalu – Leszkiem Mądziakiem. Wspominano również twórcę „Gaude Mater” – śp. Krzysztofa Pośpiecha. – Gdy w 1990 r. przyszli do mnie Krzysztof Pośpiech i ksiądz Lucjan Nowakowski

z pomysłem Festiwalu Muzyki Sakralnej „Gaude Mater” – wspomina ówczesny prezydent Częstochowy Tadeusz Wrona – wiedziałem, że to wyjątkowa inicjatywa, która jest miastu potrzebna. Spotkanie zaowocowało wsparciem I edycji Festiwalu i utworzeniem ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater”. Chcieliśmy w ten sposób zbudować instytucjonalny fundament pod Festiwal i pod promocję kultury miasta. Pierwszym dyrektorem ośrodka mianowałem Krzysztofa Pośpiecha. Funkcję tę pełnił do 1995 r.”

Koncert finałowy „Gaude Mater” zabrzmiał w środę, 6 maja, w Bazylice na Jasnej Górze. Smutnym akcentem rozpoczął się ostatni koncert. „Dzisiejszym koncertem zamykamy 25. Jubileuszowy Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej „Gaude Mater” – jubileuszowy, ale prawdopodobnie ostatni w Częstochowie – mówiła Małgorzata Nowak zanim zabrzmiały ostatnie utwory.

Patronat nad 25. Międzynarodowym Festiwalem Muzyki Sakralnej „Gaude Mater” objęli: prof. Małgorzata Omilanowska – minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Wojciech Saługa – marszałek województwa śląskiego, abp Stanisław Gądecki – przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski oraz abp Wacław Depo – metropolita częstochowski. Głównym organizatorem Festiwalu jest Stowarzyszenie Przyjaciół Gaude Mater. Współorganizatorami – Kuria Metropolitalna w Częstochowie, Klasztor oo. Paulinów na Jasnej Górze, Stowarzyszenie *Musica Sacra* w Warszawie, Stowarzyszenie *Kapela Jasnogórska*, Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk”, Filharmonia Częstochowska im. B. Hubermana, Polski Chór Kameralny w Gdańsku, Poznański Chór Kameralny, Miejski Dom Kultury w Radomsku, Ośrodek Promocji Kultury Gaude Mater w Częstochowie, Parafia św. Zygmunta w Częstochowie oraz Freundeskreis Abtei Brauweiler (Niemcy).

## Rozmowa z MAŁGORZATĄ Z. NOWAK – dyrektorką Festiwalu

### – Z czyjej inicjatywy powstało to dzieło?

– Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej „Gaude Mater” powstał z inicjatywy Krzysztofa Pośpiecha – zmarłego we wrześniu 2011 r. muzyka i animatora kultury, pierwszego dyrektora zarówno Festiwalu jak i powstałego na potrzeby Festiwalu Ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater”. Pierwszy festiwal odbył się w maju 1991 r. Biuro Festiwalu mieściło się wtedy w strukturach Państwowej Filharmonii w Częstochowie. Po zakończeniu pierwszej edycji Krzysztof Pośpiech podjął starania o powołanie pierwszej samorządowej instytucji kultury, której głównym zadaniem miał być właśnie Festiwal „Gaude Mater”. W grudniu 1991 r. Rada Miasta Częstochowy podjęła uchwałę o utworzeniu Ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater”, jako zabezpieczenie dla już istniejącego festiwalu o tej samej nazwie.

### – Dlaczego w Częstochowie?

– Bo to miasto z Jasną Górą – Sanktuarium Matki Boskiej, gdzie muzyka sakralna rozbrzmiewa od wieków. Nazwa „Gaude Mater” – ciesz się Matko, raduj się Matko – ma więc częstochowskie korzenie. Trudno wyobrazić sobie znalezienie lepszego miejsca na organizację festiwalu muzyki religijnej, niż Częstochowa, duchowa stolica Polski.

### – Jak przebiegał Festiwal: najważniejsze na przestrzeni 25. lat wydarzenia, osoby, artysty.

– Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej „Gaude Mater” świętował w tym roku 25-lecie. Tegoroczna edycja podsumowała i ugruntowała dotychczasowe działania, pokazując różne odsłony muzycznego „sacrum” – od chorału gregoriańskiego, motetów Palestriny i kontemplacyjnej muzyki Arvo Pärta, po jazzowe *Misterium Stabat Mater* Włodka Pawlika i *Requiem o ziemi* z elementami flamenco Paco Penii.

Festiwal przez te lata dorobił się 280 premier, prawie stu twórców. W tym roku kolejne prawykonywania powiększyły ten bogaty już zbiór kompozycji sakralnych – zarówno koncertowych, jak i liturgicznych. 25-letnia historia „Gaude Mater” to również praca Rady Artystyczno-Programowej, w skład której wchodzi m.in. kompozytorzy: Juliusz Łuciuk, Marian Borkowski, Paweł Łukaszewski, Krzesimir Dębski, Paweł Sydor, Łukasz

Urbanik. Niestety niektórych członków Rady, i to tych, którzy byli przy narodzinach imprezy wśród nas już nie ma: Andrzeja Koszewskiego, Marka Jasińskiego, Józefa Świdra, Wiesławy Krodkiwskiej, Władysława Balickiego, ks. prof. Jerzego Pikulika i twórcy festiwalu – Krzysztofa Pośpiecha.

Warto przypomnieć najciekawsze festiwalowe koncerty 25-lecia. Prawdziwe tłumy przyciągnął do Częstochowy koncert Jana Garbarka z Hilliard Ensemble, Bobb’ego McFerrina z Morphing Chamber Orchestra – był to zresztą pierwszy w Polsce koncert tego artysty z zespołem orkiestrowym – czy też koncert Mnichów Tybetańskich z Klasztoru Gjutto i tureckich wirujących Derwiszy. Na „Gaude Mater” koncertowali artyści niemal ze wszystkich kontynentów – przez 25 lat to prawie 18 tysięcy wykonawców.

### – Pani refleksje jubileuszowe...

– 25 lat Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Sakralnej „Gaude Mater” to niezaprzeczalny sukces. Pomimo tylu zagrożeń i zawirowań, niechęci do Festiwalu lewicowych władz miasta, trudności w pozyskaniu środków finansowych, ten Festiwal przetrwał ćwierćwiecze. I na dodatek się rozwinął, wychodząc daleko poza Częstochowę. To dowód na to, że prawdziwe wydarzenia same się obronią. Mam satysfakcję, że choć Festiwal wychodzi przede wszystkim naprzeciw oczekiwaniom odbiorcy tzw. „kultury wysokiej” – stawia bowiem przed nim spore wymagania intelektualne – to dzięki wieloletniemu, konsekwentnemu wysiłkowi impreza może się poszczycić bardzo dużą grupą dobrze wyedukowanych odbiorców, którzy utożsamiają się z wydarzeniem i chętnie korzystają z festiwalowej oferty. Dziś Festiwal „Gaude Mater” to marka – wśród polskich projektów prezentujących muzykę sakralną – z pewnością najlepsza.

### – Dlaczego – nawiązując do pani słów podczas koncertu finałowego – była to ostatnia edycja w Częstochowie. Czy są przeciwnicy?

– Najpierw trzeba przypomnieć fakty sprzed trzech lat, które doprowadziły do zaistniałej sytuacji. W 2012 r. lewicowy prezydent Krzysztof Matyjaszczyk podjął decyzję o przekazaniu organizacji Festiwalu Filharmonii Częstochowskiej, planując tym

samym reorganizację Ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater” – dotychczasowego organizatora imprezy. Za sprzeciw wobec tej niefortunnej i moim zdaniem szkodliwej decyzji, musiałam ponieść konsekwencje w postaci odwołania ze stanowiska. Do przekazania Festiwalu Filharmonii jednak nie doszło, bo Prezor Jasnej Góry, Metropolita Częstochowski i Rada Artystyczna Festiwalu nie udzielili wsparcia tej inicjatywie. Ratusz Festiwal, jego organizację przejął wtedy Stowarzyszenie Przyjaciół Gaude Mater. Z perspektywy czasu widąc, że było to najlepsze rozwiązanie – udało się utrzymać dotychczasowy poziom artystyczny przez trzy kolejne lata – i dotrzeć aż do jubileuszu 25-lecia. Mieliśmy nadzieję, że miasto doceni wysiłki nowego organizatora i utrzyma dotację – jak w latach ubiegłych – na poziomie 30% budżetu imprezy. Tak się jednak nie stało. Częstochowski samorząd hojnie dotuje imprezy rozrywkowe, zaś Festiwalowi przyznaje wsparcie na poziomie 10% budżetu wydarzenia.

Jako organizatorzy, zastanawiamy się czy miasto (jego władze) chce w Częstochowie koncertów Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Sakralnej „Gaude Mater”, skoro go nie promuje i finansowo nie wspiera. Od trzech lat przegrywamy wyścig o dotacje z festiwalem Kultury Alternatywnej „Frytka OFF” i lokalną imprezą plenerową „Aleje tu się dzieje”, a przecież daleko obu tym projektom do ugruntowanej w Polsce pozycji festiwalu „Gaude Mater”.

Dziś trudno jest udzielić jednoznacznej odpowiedzi czy Festiwal „Gaude Mater” odbył się w tym roku po raz ostatni w Częstochowie, ale jest zagrożenie, że z powodu braku środków finansowych nie zdołamy przygotować przyszłorocznego programu imprezy.

I na koniec jeszcze konkluzja. Dziś nacelnik Wydziału Kultury częstochowskiego magistratu – Aleksander Wierny, ten sam, który w 2012 r. chciał odebrać Ośrodkowi Promocji Kultury „Gaude Mater” Festiwal, chce ponownie przekazać Festiwal tej instytucji, gdyby Stowarzyszenie w przyszłym roku nie podjęło się tego zadania. Zachodzi zatem pytanie – czemu miały służyć posunięcia sprzed trzech lat i kto poniesie konsekwencje za te nieudolne decyzje?

– Dziękuję za rozmowę.

## Od 1 stycznia 2015 Mons w Belgii i Pilzno w Czechach są w roku 2015 Europejskimi Stolicami Kultury

Fot. Jan Grulich



Nowy Teatr (Nove Divadlo)

# Pilzno teatralne

MARIA  
DĘBICZ

### 1.

W czeskim Pilźnie bywam od ponad dwudziestu lat, od kiedy zaczęły się tam odbywać międzynarodowe festiwale teatralne. To dla mnie miasto teatralne, siedziba ważnego festiwalu środkowoeuropejskiego. Gdy uczestniczy się w dużej imprezie kulturalnej, dobrze widać, jak zmienia się miasto i jego życie kulturalne.

To ponad 160-tysięczne miasto, największe w zachodnich Czechach. Jego historia sięga XIII wieku. Franciszkanie – kronikarze miasta piszą, że ich klasztor został założony w 1295 roku, jak miasto, razem z miastem przeżywał dobre i złe czasy. Po wojnach husyckich (1419-34), i po wojnie trzydziestoletniej (1618-48) upadał i podnosił się ruin. Teraz z pietyzmem odrestaurowany, odsłonił niezwykle freski i galerię średniowiecznej rzeźby.

Nad miastem góruje 103-metrowa wieża późnogotyckiej katedry św.

Bartłomieja, najwyższa w Czechach. W ubiegłym roku zawieszono w niej nowy dzwon. Wokół katedry wymieniono nawierzchnię. Cały rynek pokryto granitową kostką. Renesansowy ratusz i otaczające rynek kamienice przeszły renowację.

Jedna z kamieniczek kryje bajkowe muzeum. Na dwóch piętrach zgromadzono kolekcję lalek, rekwizytów i dekoracji z teatrów lalkowych. W Pilźnie już w XIX wieku pojawił się pierwszy stały teatr lalkowy, a jego ojciec Franciszek Skupa ma nawet kawiarnię swego imienia. Na otaczającej stare miasto parkowej alei stoją dwie najszlachetniejsze postacie z bajki Skupy: Spejbl i Hurwinek.

I wszystkie dzieci się z nimi fotografują.

U Czechów żart i melancholia łączą się harmonijnie z chwilami patosu. Po 1989 roku mieszkańcy Pilzna zaczęli opowiadać i dokumentować przemilczaną powojenną historię miasta. Jednym z jej bohaterów jest ge-

nerał George Patton, dowódca 3. armii amerykańskiej. Wchodząca w jej skład 16 dywizja pancerna, wspomagana przez belgijskich fizylierów, 6 maja 1945 roku wyzwoliła Pilzno. Dwa dni później skończyła się wojna. Z pobytu Amerykanów zachowało się wiele pamiątek. Przechowywane przez dziesiątki lat w domach, uzupełniane przez odwiedzających po 1989 roku Pilzno amerykańskich weteranów, złożyły się na liczącą ponad 1500 eksponatów, unikalną kolekcję Patton Memorial Pilsen. I choć nazwa brzmi okazale, jest to raczej serdeczna Izba Pamięci, zajmująca kilka pomieszczeń w domu kultury. Jedną z głównych arterii miasta otrzymała nazwę Americka [Amerykańska], tuż obok stoi granitowy pomnik z napisem „Dziękujemy Ci, Ameryko”. Co roku odbywa się tam uroczystość w rocznicę wyzwolenia miasta. A w 2005 na 50-lecie wolności na skwerze w centrum ustawiono szklaną piramidę 16. Dywizji Pattona. Czuwa nad nią CNB – Czeski Bank Narodowy, który w biurowcu obok ma swoją siedzibę.

### 2.

Z Pragi do Pilzna jest 90 kilometrów. Odległość ma znaczenie. Organizatorami Festiwalu Divadlo są ministerstwo kultury i władze miasta. Ministerstwo ma fundusze na kulturę regionalną. Miasto ma własne środki, hojnych sponsorów i dobrych partnerów, w tym media. W ostatnich dwu latach doszły fundusze europejskie dla stolicy kultury. To przyspieszyło wcześniejsze już plany wybudowania nowego budynku teatralnego.

W 2012 roku podczas 20. Festiwalu, dyrektor Jan Burian pokazywał wielki wykop pod planowany budynek, kreśląc w powietrzu zarysy wnętrza przyszłego teatru: sceny, widownie, sale prób, pracownię, magazyny dekoracji.

A 10 września 2014 do nowego gmachu weszła publiczność. *Jak otwiera się nowy teatr, to znaczy, że nastaly dobre czasy* – powiedział minister kultury Daniel Herman, podczas uroczystej inauguracji 22. Międzynarodowego Festiwalu Divadlo. I przypomniał, że stały teatr był tu już w 1865 roku, drugi po Pradze, tyle że przez cztery dziesięciolecia przedstawienia grano w budynku, wzniesionym przez Niemców.

Teraz w nowoczesnym teatralnym centrum można będzie zrealizować śmiało, czasem trudne technicznie, artystyczne projekty. I nie umniejszajmy roli od dawna istniejących teatrów. A najdłuższą tradycję ma Divadlo im. Jana K.



Tyla, mieszczące się w pięknym, otoczonym zielenią, neorenesansowym budynku przy alei Smetanowe Sady.

Teatr otwarto we wrześniu 1902 roku premierą opery Bedrziacha Smetany *Libusa*. Stał się siedzibą dramatu, opery i baletu. Patron teatru Jan Kajetan Tyl, pisarz i dramaturg żył w pierwszej połowie XIX wieku, jego sztuki chętnie grały czeskie teatry, jest także współautorem hymnu Czech. Nagrobek Tyla można dziś odnaleźć na starym cmentarzu w Pilźnie.

Do tradycji opery w teatrze dramatycznym, nawiązuje od początku Festiwal Divadlo. W programie jest zwykle jeden spektakl operowy. W tym roku zastąpiony spektaklem plastycznym – muzycznym. Ale w nowo otwartym teatrze w repertuarze pierwszego sezonu pojawiła się *Sprzedana narzeczona* Smetany. Nie tylko tablica pamiątkowa powinna przypominać, że rodzina wybitnego kompozytora mieszkała przez pewien czas w Pilźnie, a on sam chodził tu do gimnazjum.

W dziejach miasta zapisało się nazwisko Emila Skody (1839-1900). Urodzony w Pilźnie inżynier i przemysłowiec, właściciel huty żelaza, miał wielki wkład w przemysł metalurgiczny. Z jego nazwiskiem związane jest powstanie zakładów zbrojeniowych, a potem zakładów samochodowych marki Skoda, które stały się także mecenasem kultury.

Nazwa Pilzno kojarzy się jednak częściej ze sławną marką piwa Pilsner Urquell. Piwo wazono w Pilźnie już w XVII wieku. Browar Prazdroj, powstał w 1842 roku z połączenia 26 browarów. Teraz to już szacowny zabytek, cel licznych wycieczek. Od lat nie tylko dotuje festiwale, ale też organizuje spotkania dla ludzi kultury w zabytkowej gospodzie-piwiarni.

Pamiętam spotkanie i ucztę dla uczestników 2. Festiwalu w listopadzie 1994 roku. Wtedy przy wielkim stole w Prazdroju zasiedli dramaturdzy – goście prezydenta Havla. W Pradze odbywał się w tym czasie 61. Światowy Kongres PEN Clubu. Havel zaprosił obecnych na Kongresie pisarzy na „teatralny aneks” do Pilzna. Najpierw w teatrze, podczas panelu dyskusyjnego, który prowadził Havel, dyskutowali: Arthur Miller, Ronald Harwood i Tom Stoppard. Harwood, popularny jako autor sztuki *Gardrobiana*, znany także jako scenarzysta filmowy, był wówczas szefem PEN Clubu. Tom Stoppard, urodzony w Zilinie na Morawach, dramaturg teatralny i scenarzysta filmowy, jako dziecko w 1939, na początku wojny opuścił Czechy, kiedy słynna firma obuwnicza Bata, gdzie pracowali je-



Logo ESK (2015 Plzeň)

go rodzice, została przeniesiona do Singapuru. Jednak największe zainteresowanie wzbudziła obecność Arthura Millera, autora *Czarownicy z Salem* i *Śmierci komiwojżera*, granych wtedy w teatrach czeskich. Rozmowie dramaturgów nadał kierunek Havel, przypominając niedawną przeszłość: – *staraliśmy się chronić tradycje europejskie, gdy teatr zastępował milczący naród*. Arthur Miller (1915-2005) powiedział, że ze względu na to, co przeżył: upadek faszyzmu i powojenny amerykański maccartyzm, uważa się za człowieka politycznego. *Pisanie o społecznych mechanizmach, staje się polityczne* – zauważył Havel i przypomniał, że wszystko, co w czeskim teatrze było dobre, stawało się politycznie niebezpieczne. *Teatr staje się siłą polityczną, jeśli bezpośrednio reaguje na współczesność*. Miller był sceptyczny co do wpływu teatru na społeczeństwo. – *W Ameryce bilety do teatru są drogie, a telewizja jest we wszystkich domach*. Stoppard i Harwood apelowali, by nie ulegać amerykańskiej, a sięgać do tradycji środkowoeuropejskiej. Festiwale powinny zachęcać do szukania repertuaru w krajach regionu. Taką tezę zakończyła się wtedy dyskusja.

Odtwarzam ją teraz, zaglądając do notatek sprzed dwudziestu lat. Pamiętam ujmujące zachowanie prezydenta Havla, który poprosił ochroniarzy, żeby mieli na względzie fakt, że znajduje się wśród teatralnych przyjaciół. A jego sztuki grają na festiwalu.

### 3.

**W** Pilźnie pamiętano idee z ówczesnej dyskusji. Na festiwalach pojawiały się wszystkie liczące się teatry i najwybitniejsi twórcy europej-

skiego teatru. Edmundas Nekrosius z Wilna, Alvis Hermanis z Rygi, Krystian Lupa z Krakowa, Deelan Donnellan z Londynu, Jurij Lubimow z Moskwy, Frank Castorf z Berlina. Kroniki odnotowały obecność 150. teatrów z 20. krajów. Najczęściej grano Czechowa i Szekspira. To stwarzało okazje do porównań, jak Szekspira grają Brytyjczycy, Czechowa Rosjanie, Ibsena Norwegowie. Z czasem mistrzowie – dramaturdzy i reżyserzy: Tankred Dorst, Ronald Harwood, Edmundas Nekrosius, Frank Castorf, Krystian Lupa weszli do Honorowej Rady Festiwalu.

Na festiwalach zaczęli się pojawiać twórcy młodszej generacji. Inaczej odczytują klasykę, częściej realizują własne scenariusze.

Najciekawszą osobowością ostatniego festiwalu był Jiří Havelka [ur. 1980]. Jest absolwentem wydziału sztuk alternatywnych i lalkowych sławnej praskiej szkoły teatralnej DAMU, teraz jej wykładowcą. Ze studentami DAMU zrealizował dyplomowe przedstawienie *Regulating Intimacy*, które zadziwiło pomysłowością, klarownym scenariuszem i poziomem gry aktorskiej.

W Teatrze Młodego Widza ALFA pokazał z aktorami Teatru DARK w Hradec Kralove *Ostatni trick Georgesa Meliesa*, przedstawienie „o znikaniu”, jak najkrócej można by je opisać. O tym, jak stary francuski reżyser, pionier kina, wraca pod koniec życia do wspomnień o swoich filmach. W programie jako motto spektaklu wydrukowano wiersz Tadeusza Różewicza *Melies*.

W Centrum Kultury JAS Havelka zaprezentował przedstawienie *Dechovka o wydarzeniach w pewnym małym miasteczku*, gdzie zatrzymał się czas. Choć zdarzenia miały miejsce tuż po wojnie, pamięć o nich tkwi



Uczestnicy panelu na festiwalu w 1994 roku. Od lewej: Arthur Miller, Vaclav Havel, Ronald Harwood, Tom Stoppard.

w mieszkańcach do dziś, i pytania o granicę między dobrem i złem w człowieku.

Ta teatralna psychodrama była grana w sali, która miała przypominać gospodę. Widzowie, siedząc przy stołach, częstowani przez aktorów piwem, stawali się mimowolnymi uczestnikami przedstawianych zdarzeń.

Spektakle Hawelki są gorące, angażujące, mają precyzyjnie zbudowane scenariusze i wysoki poziom gry zespołowej. To składa się na rozpoznawalny już styl młodego reżysera.

Ale czescy krytycy narzekają na zbyt nikłą obecność ich teatru w Europie. Dlatego w Pilźnie jest zawsze szeroka reprezentacja teatrów czeskich wszystkich rodzajów – od tak charakterystycznych, jak *laterna magica*, po dramat i musical. To jedna z dróg prowadzących do budowania kontaktów między twórcami i teatrami z różnych krajów. Do Pilzna zapraszane są też teatry z Polski, choć nie co roku. Na ostatnim festiwalu był spektakl polskiego reżysera Jana Klaty, *Hamlet*, ale wystawiony w niemieckim teatrze w Bochum.

Z każdego z minionych dwudziestu dwóch festiwali zostaje pamięć o jakimś przedstawieniu. *Mewa* Czechowa w reżyserii niezapomnianego

Petera Lebla, który zmarł tragicznie. Londyńskie *Jak wam się podoba* Szekspira w reżyserii Declana Donnellana, Puszkina *Mozart i Salieri* z Wilna, *Prezydentki* Schwaba z Wiednia, *Dzika kaczka* Ibsena z Oslo, czy multimedialny spektakl *Sunken Red* flamandzkiego reżysera Guy Casiersa, pokazany w 2012, a rok później na Biennale w Wenecji.

Może z ostatniego festiwalu zostanie, poza przedstawieniami Hawelki, kameralne *Saadam Hussajn- Misterium* Yonatana Levy'ego teatru HaZaira z Jerozolimy. A może *1914*, spektakl światowej sławy reżysera Roberta Wilsona, zrealizowany w Stanowskim Divadle w Pradze w związku ze 100-leciem I wojny światowej, zagrany jako przed- premiera 22. Festiwalu w 2014 roku.

Festiwalowa machina kręci się bez zgrzytów. Od pierwszego festiwalu czuwa nad nią Rużena Benyrová – szefowa Biura Organizacyjnego i teem, z Janą Willową i Jarmilą Kasparovą.

Rużena na co dzień pracuje w teatrze Alfa. Pewno przyłożyła rękę, aby włączyć do festiwalu przedstawienia dla dzieci i młodzieży. Grane przed południem i chętnie oglądane przez festiwalową publiczność. Kilka lat temu do ekipy dołączyła córka

Rużeny – Katerina Benyrová. Pracuje, jak mama.

Tradycyjnie przedstawienia grane są także poza siedzibami teatrów. W starej zajezdni tramwajowej na przedmieściu, na dworcu kolejowym, w dawnym klubie sportowym Sokół – w sali, gdzie przed wojną grano w siatkówkę, w domu kultury JAS, w plenerze. To dla gości festiwalu atrakcja, szansa poznania miasta, dla organizatorów czasem „ból głowy”. Martin Baxa – prezydent Pilzna – jest chyba teatromanem. Często widać go na przedstawieniach, i wcale nie w pierwszych rzędach.

Logo ESK 2015 zawiera piątkę z kostki do gry. Znak, że Pilzno o tytuł walczyło... i wygrało.

Od Pilzna tytuł europejskiej stolicy kultury przejmie Wrocław. W herbie miasta Pilzno w lewym zielonym polu znajduje się wielbłąd. Zwierzę było nagrodą od polskiego króla Władysława Jagiełły za udział rycerzy czeskich w bitwie pod Grunwaldem. Nie bez przygód przyprowadzili je do Pilzna.

W herbie Wrocławia w lewym czerwonym polu jest lew, pamiątka po czasach, gdy miasto należało do Czech.

Joanna Starkowska – poetka urodzona w Bytomiu w 1987 roku. Miłośniczka kopalń, hut i innych obiektów industrialnych. Z wykształcenia matematyk. Związana z Grupą Literacyjną „Na Krechę”, bytomską „Obok Sceny”, chorzowskim Portem Poetyckim oraz Dąbrowską Brygadą Poetycką. Autorka debiutanckiego tomu poetyckiego *Balada o wyrzynarce*.

Waldemar Kazubek (1979) – mikołowianin. Finalista III i VI OKP im. Janusza Różewicza. Otrzymał: III miejsce w IV OKP „Refleksy”, wyróżnienie w IX OKP „O Strzałę Erosa”, I miejsce w konkursie „Poznaję Świat”, II nagrodę w kategorii Poezja w XXVIII OKP im. J.I. Kraszewskiego, wyróżnienie w Ogólnopolskim Konkursie XXI „Tyskie Lato Poetyckie”, II miejsce w V OKP „O Granitową Strzałę”. Ponadto nagradzany w turniejach jednego wiersza: Mikołów, Strzelin, Tychy, Głogów. Publikował w „Arkadii”, „Pograniczach” oraz almanachach i antologiach.

Sabina: Dwoje twórców o pozornie zupełnie innej wrażliwości i poetyce spotkało się 28 maja w katowickiej Bistro & Bar ĆMA, na wspólnym spotkaniu autorskim. Wieczór poświęcony poezji Joanny Starkowskiej i Waldemara Kazubka otworzył cykl spotkań w podziemiach Sceny Kameralnej Teatru Śląskiego. W kolejnych miesiącach zagospodzą tu poeci i pisarze. Rozmowy z zaproszonymi twórcami łączyć się będą z czytaniem fragmentów poezji bądź prozy, a także z promocją książek.

Podczas spotkania Joanna Starkowska prezentowała swój debiutancki tomik *Balada o wyrzynarce* – wydany przez Zaulek Wydawniczy „Pomyłka”, o którym Karol Samsel w posłowniu napisał: „Wyklarowana została poezja perswazyjna, będąca rodzajem przekonującego, prostego daru dla czytelnika, a zarazem – teksty zawierające jedną z najbardziej frapujących bohaterek lirycznych ostatnich lat”.

Autorka opowiadała również o tym, w jaki sposób śląskość kształtuje jej poezję. Bo właśnie Śląska w *Baladzie o wyrzynarce* jest najważniejszą. To poezja industrialna, wdzierająca się do wnętrza kopalń i hut, zrywająca plomby, zaglądająca do samego serca maszynierii.

„Dzisiaj jestem jak wymarła huta.

Wchodzą we mnie artyści, podziwiają  
ruiny.  
Zostawiają ślady, wiersze,  
prezerwatywy.  
Mówią do mnie „piękna”, gładzą  
tynki.  
Do nagiej cegły”  
(Joanna Starkowska, fragment  
z *Piosenki Industrialnej*)

Autorka mówiła również o brutalnym, wręcz masochistycznym dojrzeniu, jakie opisuje w swoich wierszach. Opowiadała o wyrzynaniu się, rozpruwaniu.



Fot. Bogdan Prejs

Spotkanie poetyckie w Ćmie.

# Dobry wieczór. Tu Ćma

„Rozrywamy kręgosłup. Rozrywamy  
szwy”  
(Joanna Starkowska, fragment  
z *Wylinka*).

Ewa: Gościliśmy tego wieczoru  
w ĆMIE. Wiersze wybrzmiały. Zapadanie  
w pamięć to trudna rzecz. Za-  
tem:

„Uważaj, z kim stawiasz dom”  
(Joanna Starkowska).

„Chodź, zamkniemy się razem  
w wersalce,  
bardzo wątpię, że ktoś tam zagląda”  
(Waldemar Kazubek).

Dlaczego warto oddać głos wierszom?  
Nie wiem. Wydaje mi się, że to sedno. Głos  
poezji jest istotniejszy od naszego postrze-  
gania. Nasza racja nie jest *mojsza*. Nie o to  
tu chodzi. Poezja i poeci są samo-swoi. I do-  
brze! Nie stronić od opinii (ba!), pytamy –  
co o nich myślicie? Ale ostrożnie. Bo  
można dostać w twarz? Niekoniecznie.

Poezja Waldemara Kazubka?  
„Podoba mi się jego kombinowanie.  
Wiersze z ADHD” (Miroslawa Szy-  
chowiak). „Ubiera zbroję” (Bogdan  
Prejs). „Znajduję w jego wierszach coś  
ze swego pisania” (Genowefa Jakubowska-  
Fijałkowska). „Jego poezja  
momentami jest osobista” (Bartłomiej  
Dyduch).

Waldemar Kazubek tworzy klimaty.  
Osiąga je nie tylko dzięki traszkom, *An-  
nie Kareninie*, *Komendantowi Filo Zoo-  
fero*. Nie wolno tu wyciąć Ernesta Hemin-  
gwaya, Toma Waitsa, Quentina Tarantino,  
Stanisława Staszewskiego, Michała Au-  
gustyniaka. A już – broń was Panie Bo-

że – by nie zauważyć czołgu czy cegieł-  
ni! Waldemar Kazubek jest swój. Nasz.  
Bawmy się! Bez czepiania, że lepiej to by-  
śmy napisali. Tak? To napiszcie:

*Grafomanom*

„Nie lubię żadnych wierszy  
poza tymi które sam napisałem

na pocieszenie powiem ci tylko że  
czesław miłosz pociał się  
dokładnie tak samo”  
(Waldemar Kazubek, fragment  
z *Ja wiem że cierpisz*).

Uczestnicy spotkania mieli możliwość  
wysłuchania wierszy obojga gości oraz  
włączenia się w rozmowę o poezji i nie  
tylko.

Kulminacją wieczoru był turniej jedne-  
go wiersza. Zwycięzcą został Sławomir  
Matusz.

„po czym poznać, że to Polska  
po rozbitych butelkach  
wałających się na trawnikach  
pułapkach dla dziecięcych stóp  
i psich łap po puszkach  
wyspanych do ostatniej kropli”  
(Sławomir Matusz, fragment  
z *po czym poznać, że to Polska*).

Rozmowę z poetami prowadziły: Sa-  
bina Waszut (Chorzów) i Ewa Olejarsz  
(Zabrze).

Współorganizatorem cyklu spotkań  
jest chorzowski Port Poetycki.

SABINA WASZUT  
EWA OLEJARZ

Z PIOTREM ZALEWSKIM, dyrektorem  
Ośrodka Kultury „Andaluzja” w Piekarach Śląskich  
rozmawia MAŁGORZATA CULAK



– Mamy budżet dzielnicowego domu kultury: 600–660 tys. zł, którego wysokość nie zmieniła się od 2006 r., a swoją ofertą moglibyśmy obdarzyć trzy centra kultury. Rocznie mam do rozdyponowania tyle, ile Chorzowskie Centrum Kultury wydaje na miesiąc. Nie możemy z nim konkurować ani pod względem zaplecza technicznego, ani komfortowej sali dla publiczności, ale koncertów na poziomie kultury wyższej wcale nie robimy mniej. Szczycimy się również tym, że sami je produkujemy, bo rzecz nie polega przecież na tym, by wynajmować salę agencjom, które sprzedają swój produkt, czy na lansowaniu wyłącznie muzyki plebejskiej, którą najłatwiej sprzedać. Moją ambicją jest by jak największej fanów przychodziło na imprezy wysokiej rangi i mam nadzieję, że tak będzie jeśli drgnie w końcu gospodarka i ludzie będą mieli pieniądze, które przeznaczą na kulturę, bo dzisiaj brakuje im na podstawowe potrzeby. Wierzę, że nastaną lepsze czasy i będziemy mogli sprowadzać jeszcze większe gwiazdy, jak: Iron Butterfly, Fish, Cactus, Vernon Reid, Galahad, Ten Years After, Billy Cobham, co miało miejsce kilka lat temu, gdy koncerty wyprzedzały się przed wywieszeniem afiszy. W sezonie robiliśmy ich nawet dwanaście, co dwa tygodnie jeden. Radiowa Trójka w 2008 r. transmitowała z „Andaluzji” na żywo koncert The Electric Jazz Headz, przyjeżdżały telewizje, pisały o nas magazyny muzyczne, parokrotnie gościliśmy w Teleexpressie. Fenomenem jest to, że tak mała placówka sprowadza artystów światowego formatu.

– **Gdyby nie pana muzyczne przyjaźnie oraz prywatne kontakty z menadżerami i agentami, „Andaluzji” nie byłoby stać na topowych muzyków, ale co najwyżej na parę koncertów rocznie.**

– Od lat współpracuję z agencjami, które w swoim portfolio mają gwiazdy z kręgu bluesa, rocka i jazzu. Jeśli sprowadzałbym je za oficjalne stawki z cennika, wystarczyłoby na dwa koncerty w ciągu roku. Nie ukrywam, że procentują prywatne relacje, dzięki którym udaje się wynegocjować przystępniejszą cenę. Zaprzyjaźnionym menadżerom czy klubom, w których artyści dobrze się czują, lubią grać i gdzie chcą wracać są skłonni zaoferować spore rabaty. Nie dyktują sztywnych cen, dlatego udaje się zwabić do Piekar legendy, mimo że *gros* z nich gra tylko w dużych europejskich miastach. Niektórzy występowali w „Andaluzji” już po kilka razy. Wynegocjowanie dostępnego dla nas kontraktu z Wishbone Ash pod wodzą Andy Powella zajęło aż 4 lata, ale ten koncert był jednorazowym, niepowtarzalnym wydarzeniem, druga taka okazja może się nie zdarzyć. To drogi zespół i zbyt droga produkcja, by ryzykować przedsięwzięcie po raz kolejny. Czasem pojawiają się również oferty *last*

# Udaje nam się to, o czym marzą inni

– Na małej scenie prowincjonalnego domu kultury, gdzie nie ma wyściełanych pluszem foteli, akustyki ani nagłośnienia na miarę XXI wieku grają muzycy światowego formatu. Przyjeżdżają by dać jedyny lub co najwyżej jeden z kilku koncertów w Polsce. Jak pan tego dokonuje?

– Dla człowieka z pasją nie ma barier: idzie do przodu jak czołg. Jeśli wykonuje pracę, która go fascynuje zwykle skutkuje to osiągnięciami i przynosi sukcesy. Oczywiście jest i przyziemna strona tych pasji, kiedy w sierniężnych realiach ekonomicznych coraz trudniej o sponsorów czy mecenasów sztuki i trzeba łątać budżet, by bilans wyszedł przynajmniej na zero. Słynie z muzyki bluesowej, jazzowej, rockowej i to nie tylko w skali województwa. Robimy koncerty o których mogą pomarzyć renomowane kluby muzyczne w Katowicach, Wrocławiu, Poznaniu, na które przyjeżdżają fani z połowy Polski. Stawiam na jakość, dlatego zapraszam gwiazdy z najwyższej półki. W ubiegłym roku gościliśmy Wishbone Ash. Ten brytyjski zespół przez ponad 30 lat był uznawany za jeden z najlepszych, jakie kiedykolwiek pojawiły się na scenie. Wydał więcej płyt niż Pink Floyd. Gi-

tarzyści Wishbone Ash: Andy Powell i Ted Turner zostali wpisani przez Rolling Stone Magazine na listę 20 najlepszych w swojej profesji. Trudno o lepszą rekomendację. Grali u nas również: progresywny RPWL, który dał w Piekarach jeden z czterech swoich koncertów w Polsce i który *nota bene* wróci do nas we wrześniu tego roku, Hundred Seventy Split, Pat McManus z Irlandii, niesamowity gitarzysta i skrzypek, który zgotował taki popis, że zdaniem fanów był to najlepszy koncert w „Andaluzji” od 3 lat. W marcu tego roku wystąpił Andy Egert, gitarzysta ze Szwajcarii, który w latach 2005–2007 grał już u nas dwukrotnie. Z kolei w kwietniu odwiedziła Piekary Jennifer Batten, gitarzystka Michaela Jacksona, którą znamy z jego koncertów i teledysków, bo zawsze grała na pierwszym planie. Raz w roku sprowadzam gwiazdę, ale taką żeby przez pozostałą jego część było o czym mówić. To artyści z encyklopedii rocka, którzy na stałe zapisali się w historii muzyki rozrywkowej.

– **Te gwiazdy kosztują. Jak to możliwe, by przy skromnym budżecie udawało się to, na co mogą sobie pozwolić duże, znane i nieporównywalnie zasobniejsze instytucje kultury?**

*minute*, nieplanowana przerwa w trasie artysty, kiedy można zaplanować dodatkowy koncert. Oczywiście niektóre kontrakty są nie do przejścia, obwarowane warunkami, jakich spełnić nie możemy. „Andaluzja” jest znana zagranicą jako miejsce z duszą, gdzie warto zboczyć z trasy i zagrać fajny koncert. Wyrobiliśmy sobie markę, poza tym promujemy Piekary i dbamy o nasze gwiazdy, podejmując je na przykład tradycyjną śląską kuchnią. Artyści są zachwyceni. Ale ile wysiłku, rozmów i nieprzespanych nocy kosztuje to, żeby wszystko się udało, wiem tylko ja i moi współpracownicy. Szkoda, że topowe polskie grupy niejednokrotnie żądają honorariów wyższych od swoich zagranicznych odpowiedników. Jeśli rodzima diwa za minutę występu życzy sobie 1 tys. zł, to mamy odpowiedź na pytanie: dlaczego w „Andaluzji” jest więcej koncertów zagranicznych.

**– Jakie niespodzianki szykuje pan w kalendarzu imprez na najbliższe miesiące? Uda się utrzymać poprzeczkę tak wysoko?**

– Myślę, że tak. Imprezy kulturalne muszą wносить jakąś wartość, refleksję, wrażenia, otwierając horyzonty, pobudzając wrażliwość. Oczywiście nie unikniemy komercji, zarabiamy na niej, by dopłacić do zajęć organizowanych dla dzieci, młodzieży czy kosztów utrzymania budynku, ale zadaniem instytucji kultury jest przede wszystkim dbać o poziom. Już dziś zapraszam na wrzesień z Budką Suflera i pierwszą edycję festiwalu muzyki tego zespołu, która odbędzie się 12 września. Pokażemy różne wcielenia Budki, zespoły amatorskie zaprezentują własne interpretacje i *cover*y jej przebojów. Występy oceni jury, do którego ściągamy znane nazwiska, by nadać rangę imprezie. Chcemy by koncert uświetnił Tomasz Zeliszewski, były perkusista Budki Suflera, współtwórca zespołu Wieko, w którym grają m. in. Robert Chojnacki i Ryszard Sygitowicz oraz spektakl teatralny do mu-

zyki Budki, którego fabuła będzie protestem wobec używania narkotyków i dopalaczy. Premiera spektaklu nastąpi podczas festiwalu, potem będzie on prezentowany na innych piekarskich scenach. Graficznie wydarzenie oprawimy wystawą plakatów i pamiątek związanych z Budką, urządzimy też zlot *fan clubu* zespołu. To wszystko w jeden dzień. Z kolei kilka dni później, 18 września, zobaczymy w „Andaluzji” zespół RPWL w repertuarze Pink Floyd. Chciałbym w tym roku zaprezentować również zespół Klan z lat 70., który wznowił niedawno działalność wydając nową płytę, wyszły też wznowienia wcześniejszych z niepublikowanymi utworami. Ich muzyka była często wykorzystywana w kronikach filmowych do ilustracji materiałów dokumentalnych. Dla fanów rocka lat 70. będzie to wielkie przeżycie. Przy okazji apeluję do ciekawych zespołów i twórców: drzwi „Andaluzji” są dla was otwarte. Warto do nas zajrzeć, może wyniknie z tego coś fajnego.

**– A cóż odkryćczego można jeszcze pokazać w muzyce rockowej skoro ta najlepsze lata ma za sobą? Wszystko już było, trudno wymyślić coś nowego.**

– Najlepsze i najbogatsze w dziejach tej muzyki były lata 70., kiedy rozwijała się ona w kierunku jazz rocka, hard rocka, popu. Wtedy narodziła się era Black Sabbath, Led Zeppelin, The Animals, Deep Purple, fantastycznych wykonawców białego bluesa z Johnem Mayalem na czele, genialnych Beatlesów, na których twórczości studenci artystycznych uczelni w Ameryce uczą się kompozycji, melodyki i aranżacji. Chcę pokazywać zespoły z klasyki rocka lat 70., których słuchają dziś 40- i 60-latkowie, ale także 20- i 30-latkowie. Dobra, współczesna muzyka jest odtwórcza, bazuje na tym co było. To, co dzieje się obecnie w muzyce klasycznej, a Polska jest potęgą w tej dziedzinie, jest tak udziwnione i trudne do wykonania, że cierpią na tym nawet instrumenty. Jazz-

meni twierdzą, że wdzięcznie buduje się improwizacje na melodiach Chopina, w sztuce funkcjonuje określenie post, mówimy o postrocku, postmalarstwie, szuka się rzeczy alternatywnych i niszowych, które nie trafiają do masowego odbiorcy.

**– Do was trafia skandal i celebrycki *high life*, a za kulisami dzieje się to, co najbardziej interesuje wszystkich: fanaberie i ekstrawagancje artystów albo wręcz przeciwnie zaskakująca normalność. Możemy odsłonić arkana kontraktów?**

– Menadżerowie wypisują w umowach niestworzone rzeczy, o czym artyści często nie mają pojęcia. Ci wieley to profesjonalisci, dżentelmeni i skromni, przystępni ludzie. Potrafią dać popis wirtuozerii za kieszonkowe, dla własnej przyjemności. Polscy artyści, którzy są dodatkiem do gwiazd, nazbyt często eskalują swoje ego, pozując na geniuszy i suto zakrapiając swój kunszt.

**– W tym roku przypada 10-lecie pana pracy w „Andaluzji”. Nie zmalał przez ten czas pana zapal, nie ubył inwencji?**

– Miłość do muzyki noszę w sobie nadal i jest to uczucie trwałe. Mam też pomysły, ale nie mam pieniędzy. W życiu tak bywa. Życzyłbym sobie zasobniejszego budżetu dla „Andaluzji”, bo od 10. lat jest najbardziej niedofinansowaną placówką w okolicy. Mamy wydatki rzędu 1 mln zł rocznie i od lat do każdej złotówki dotacji dorabiamy 50 gr, co powinno być nagrodzone, a stało się przekleństwem, bo wiadomo, że jesteśmy zaradni i sobie poradzimy. Jaka to motywacja dla moich pracowników, gdy widzą, że dotacje otrzymują mniej operatywne instytucje? Nie twierdzą, że w kulturze jest za mało pieniędzy tylko że powinny być lepiej rozdzielane. Patrząc z perspektywy lat jedno mi nie wyszło. Miałem okazję zrobić koncert Tadeusza Nalepy. Był już bardzo chory, jeździł na występy z zapleczem medycznym do dializ. Miał z nim zagrać holenderski zespół Livin’ Blues, który Nalepa sprowadził kiedyś do Polski. Livin’ Blues przyjechał, ale Tadeusz zmarł i spotkanie, na które tak się cieszył nie doszło do skutku. Od tamtego czasu Holendrzy zegrali u nas już trzy razy. Mam satysfakcję z tego, że o małym domu kultury gdzieś na Śląsku napisało Jazz Forum, że robimy coś niestandardowego, co jest oczywiście zasługą całej mojej załogi, że promujemy miasto, które nie powinno mieć kompleksów, mimo że bardziej kojarzy się z krupniokowym disco polo niż kulturą przez duże k. Przyjeżdżają do nas fani z Łodzi, Bielska, Wrocławia, Krakowa, Sopotu, Czech, Niemiec, Słowacji, Ukrainy czy Holandii, bo w Piekarach udaje się to, co nie udaje się w dużych centrach kultury. Wierzę, że ktoś to w końcu doceni.

**– Dziękuję za rozmowę.**

Fot. z archiwum „Andaluzji”



Fish – były wokalista „Marillion” zaśpiewał w Andaluzji w kwietniu 2011 r. Koncert sprzedano na pniu na podstawie marketingu szeptanego i informacji na stronie internetowej.

**T**ym razem nieco statystyki, a także porównań trochę historycznych, a trochę współczesnych. Moja myśl statystyczno porównawcza bierze swój początek w znakomitym dziele brytyjskiego historyka Nialla Fergusona „Imperium”. Otóż autor w rozdziale poświęconym okresowi zwanemu „Raj”<sup>(1)</sup>, czyli czasom brytyjskiego panowanie w Indiach przedstawia szereg danych statystycznych, które nie mogą nie szokować. Otóż po zlikwidowaniu Kompanii Wschodnioindyjskiej, kiedy rządy nad brytyjską częścią subkontynentu powierzono administracji rządowej, Jej Królewską Mość reprezentowało ok. 1000 do 1400 urzędników różnego szczebla, z wicekrólem Indii na czele. I to wszystko. A brytyjskie kolonie liczyły pod koniec XIX w. około 400 milionów mieszkańców, która to liczba miała tendencje zdecydowanie wzrostowe. Oznacza to, iż każdy z tych urzędników Indian Civil Service zarządzał losem około 3 milionów ludzi. Dodam jeszcze, iż te posady nie były rewelacyjnie płatne, ale stanowiły przedsięwzięcie do dalszej kariery administracyjnej lub politycznej. Dlatego też chętnych nie brakowało. Rekrutowali się spośród absolwentów najlepszych uczelni. Jednak sam dyplom nie wystarczał. Należało jeszcze zdać egzamin, który był trudny i także dziś, jak sadzę, okazałby się pełen zasadzek. Oto jedno z pytań z dziedziny filozofii i etyki:

„1. Opisz różne okoliczności sytuacji, w których rodzi się przyjemne poczucie władzy.”<sup>(2)</sup>

„Jeśli kiedykolwiek zadano rzeczywiście podchwytliwe pytanie, to brzmiało ono właśnie tak (przypuszczalnie każdy kandydat, który przyznał, że władza wywołuje przyjemne uczucie, odpadł).”<sup>(3)</sup>

Były czasy, kiedy większość tych urzędniczych stanowisk łączyła w sobie funkcje administracyjne, podatkowe, sądownicze i policyjne. „Tacy ludzie byli po prostu szeregowymi żołnierzami – pokarmem dla febrzy – do spółki z hinduskim chłopem, wołem pociągowym harującym dla honoru bycia cokołem, na którym opiera się Państwo”.<sup>(4)</sup> A partner do łatwych nie należał i zachwyty brytyjskimi rządami nie należało się raczej spodziewać.

A teraz przenieśmy się do współczesności, do Polski. Zarządza naszym losem ponad 443 tys. urzędników wszystkich możliwych szczebli,<sup>(5)</sup> nie licząc pracowników sfery budżetowej, którzy co prawda niczym nie zarządzają, ale utrzymują się z naszych podatków. Wynika z tego, iż na jednego

Z moich Górek

WITOLD TURANT

## Z okna na plac, czyli brzytwa Ockhama

urzędnika przypada niecałych osiemdziesięciu sześciu statystycznych Polaków. Nawet jeśli od tej kwoty odjąć 6,3 tys. urzędników samorządowych, to otrzymamy mniej więcej o jednego statystycznego Polaka dodatkowo. Dla pewności użyłem dwukrotnie kalkulatora, ale słowa dotrymałem: obiecałem szok, i jest szok. Pora byłaby teraz na wnioski, bo wiadomo – statystyka bez wniosków to jałowa zabawa liczbami.

Tylko jakie miałyby być te wnioski? Że jesteśmy bardziej niesfornym narodem od dziewiętnastowiecznych Hindusów? Że nasze życie stało się tak wielopłaszczyznowe, a każda z tych płaszczyzn wymaga prowadzenia za rączkę? Że ta armia ludzi nie spełnia należycie swoich funkcji? Że jest to forma walki z bezrobociem, której koszty ponosimy wszyscy, a skutki odczuwać będziemy przez lata? Być może są jeszcze inne odpowiedzi i wytłumaczenia mniej absurdalne, choć wątpliwe. Nie można jednak zaprzeczyć, że proporcje są porażające.

Jednym wytłumaczeń owego agloindyjskiego fenomenu jest coś, co znalazłem w ulubionym serialu mojego wnuka „Tomek i przyjaciele”. Jego bazą jest książeczka napisana w pierwszej połowie ubiegłego stulecia przez pewnego pastora, zapewne wyznawcę, jak wielu Brytyjczyków, bożka utylitaryzmu. Tytułowy Tomek

to parowozik, a jego przyjaciele – z tej samej, że tak powiem parafii, ogarnięci są obsesją bycia użytecznym. Nie użyteczni wędrują na złom, a decyduje Zawiadowca, nieco surowy, ale sprawiedliwy. Urzędnik nie parowóz, na złom wysłać go nie można, ale jeśli sobie nie radzi można dać mu kogoś do tzw. pomocy. Ale nie tam, tylko tutaj, na koszt, rzecz jasna podatnika.

Powróćmy z krainy parowozów i wielkiego świata do moich Górek. Tu losem mieszkańców zarządza 46 urzędników, jak mnie poinformowano w Urzędzie Gminy Brenna. Gmina liczy ponad 10 tys. mieszkańców, a więc jesteśmy znacznie powyżej średniej krajowej, bo na jednego urzędnika przypada 222 mieszkańców z kawalkiem. Czy są użyteczni? To kwestia indywidualnych doświadczeń, ale nie mam powodu narzekać. W Cieszynie (powiat) jednak już nie jest sielankowo, o czym przekonałem się gromadząc dokumentację potrzebną do budowy domu. Wykresy zbędnych kilometrów, stopni, korytarzy i niepotrzebnie zużytej benzyny ukryję za zasłoną miłosierdzia.

A na zakończenie jeszcze kilka liczb: dziś Indie liczą ok. 1.252 mln mieszkańców. Ok. 10 mln z nich, o ile moje dane są prawidłowe, to urzędnicy.<sup>(6)</sup> Tylko!? Aż trudno uwierzyć. Jeśli to prawda, to jak my wyglądamy? Obawiam się, że jak z okna na plac, jak mawiała moja mama. Ktoś powie, że to wszystko trudno porównywać, bo i trudno, ale ostatecznie każdemu wolno zastanawiać się nad tym, co się wyrabia w kraju za jego pieniądze. Możliwe, że liczby w rękę humanisty to brzytwa dana małpie, ale oby to była brzytwa Ockhama. Że jest konieczna, widać choćby z tempa w jakim urzędy zasiedlają kolejne budynki w Katowicach. Nie zastosowanie owej brzytwy w porę skutkować będzie urzędniczym węzłem gordyjskim. Tylko Aleksandra jakoś nie widać.

<sup>(1)</sup> Należy wymawiać [radż] i Raj nie miał wiele wspólnego z rajem, co Ferguson, piszący bardzo krytycznie o czasach Imperium niejednokrotnie podkreśla.

<sup>(2)</sup> Niall Ferguson: Imperium. Przełożyła Beata Wilga. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2013.

<sup>(3)</sup> Op. Cit.

<sup>(4)</sup> Op. Cit. Opinię tę wyraził R. Kipling w swej książce „The Education of Otis Yeere”.

<sup>(5)</sup> Dane GUS za rok 2014.

<sup>(6)</sup> Dane z różnych dziwnych źródeł.

Jest grafikiem, rysownikiem, architektem, malarzem, scenografem, autorem książek, laureatem ponad 40 krajowych i zagranicznych nagród artystycznych. Jego prace można oglądać w wielu muzeach i galeriach na świecie. Od ponad trzydziestu lat mieszka w Nowym Jorku. Stale współpracuje z czołową najbardziej wpływowych magazynów: „The New York Times”, „The Wall Street Journal”, „The Washington Post”, a w Polsce z „Rzeczpospolitą”. W 1985 roku odkrył jedenastościenną figurę geometryczną, której nadał nazwę K-dron. Kilka miesięcy temu zespół pod jego kierunkiem wygrał konkurs na projekt pomnika Pamięci Ofiar Komunizmu w Ottawie.

Z Januszem Kapustą spotykamy się w Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach.



Zdjęcia: MAKASZA

# JANUSZ KAPUSTA.

DAGMARA  
DRZAZGA

## Metafizyka geometrii

– Otwieram twój katalog i czytam: „Trójwymiarowy kształt wylonil się nagle z rysunków zglębających naturę nieskończoności”. Oczywiście, piszesz tu o K-dronie. Zastanawiam się, czy to nie jest zbyt zuchwały pomysł próbować rozrysować nieskończoność?

– Całe nasze życie polega na zadawaniu pytań i stawaniu wobec różnych przeszkód. Zastanawianie się nad nie-

skończonością jest niczym wobec faktu, że ktoś pierwszy doznał olśnienia, że ona istnieje! Rozwój człowieka polegał na tym, że poszerzał on zakres naszej wiedzy na obszary niewiedzy. Zaczynamy od siebie, od jakiegoś punktu i coraz bardziej staramy się zrozumieć to, co jest dla nas tajemnicą. Mówiło się kiedyś o Bogu, że jest okręgiem, którego centrum jest wszędzie, a obwód nigdzie. W tym sensie odwrot-

ność nieskończoności, czyli zero i nic – coś są zawsze, i w każdym miejscu.

– Kiedy rozwinęła się twoja fascynacja geometrią, kształtem, przestrzenią?

– Wyniknęła, czy wynikała z różnych kolei życia. W szkole miałem piątkę zarówno z tego, że jest Pan Bóg, jak i z tego, że go nie ma. Nie jest trudno dostać piątkę – powtarzasz jedynie to, co usłyszałeś. Moi rodzice byli wie-

rzący, więc chodziłem na religię, a szkoła – wiadomo – socjalistyczna. Byłem bardzo dobrym uczniem, miałem piątki zarówno z katechezy, jak i na lekcjach biologii. Dramat wydarzył się, kiedy wylądowałem na studiach i pozwoliłem sobie na własną zadumę nad światem. Wówczas on mi się zupełnie rozsywał. Może nie tyle świat, ale jego obraz w mojej głowie.

– **Dlatego, że zacząłeś szukać?**

– Nagle zrozumiałem, że nic mi się nie zgadza. Przeżyłem depresję. Przesłał mnie interesować świat istniejący według ludzkich zasad, wszystko wydało mi się bez sensu. Kiedy po jakimś czasie wróciłem do normalności pomyślałem: „jeśli nie znalazłem odpowiedzi na nurtujące mnie pytania ani w przeszłości, ani w teraźniejszości, to jedyną nadzieją pozostaje przyszłość”. Pamięć jest odpowiedzialna za przeszłość, zmysły za teraźniejszość, więc to, co odpowiada za przyszłość nazywam wyobraźnią i postanowiłem ją ćwiczyć tak, jak mięśnie. Wymyśliłem własne techniki rozwoju wyobraźni. Pragnąłem skonstruować sobie ten świat na nowo. Jeśli jednak chciałem to zrobić, musiałem mieć przyglądając się wszystkiemu, co mnie otacza.

– **I ta ciekawość popchnęła cię w stronę filozofii?**

– Po skończeniu architektury poszedłem na historię filozofii na Akademii Teologii Katolickiej i byłem tam jakiś czas – aż do wyjazdu do Stanów Zjednoczonych. Chciałem zrozumieć, w jaki sposób ludzie na przestrzeni dziejów próbowali szukać odpowiedzi na nurtujące ich pytania. To filozofia popchnęła mnie w stronę matematyki.

– **Czy geometria przybliżyła cię w jakiś sposób do świata, absolutu, Boga?**

– Geometria jest faktem. Przed wejściem do Akademii Platońskiej wisiał napis: „Ci, którzy nie znają geometrii niech tu nie wchodzi”. Nie ma nic poza geometrią, ona istniała zanim powstał świat. Jest wszędzie, w każdym, w nieskończoności, nicości. Kwadrat czy koło były zawsze. Miałem takie „szaleństwo”, można to nazwać natchnieniem, że przez cztery lata siedziałem non stop przed komputerem. Zrobiłem wówczas jakieś 15 tysięcy rysunków geometrycznych. Niektórych już sam dzisiaj nie rozumiem (*śmiech*).

– **Twoje myślenie o geometrii doprowadziło cię do K-dronu?**

– Raczej pewna uważność, ale także to moje młodzieńcze zmartwienie i poszukiwanie. Czy można narysować nieskończoność? – niby nie można, ale byłem ciekaw do czego doprowadzą takie próby? A potem znalazłem u Mikołaja z Kuzy spostrzeżenie, że jeśli nie umiemy czegoś narysować, to nie wiemy o czym mówimy, nie rozumiemy, czym to jest.

– **Czym zatem jest K-dron?**

– Nowym kształtem, który mi się przytrafił. To taki kosmiczny podarunek. Ja go nie wynalazłem, ja go odkryłem, co oznacza, że on już istniał. To dokładnie tak, jak z grawitacją: czy Newton ją wymyślił? Nie! Ona przecież była. Gdyby nie on, ktoś inny by na to wpadł. Zanim K-dron się pojawił, wierzyłem, że gdzieś jest. Zajęło mi osiem lat, żeby znaleźć jego miejsce w kosmosie.

– **No i gdzie jest?**

– Wszędzie tam, gdzie jest sześcian, kwadrat, trójkąt, linia i punkt. On zawsze był! To jest szokujące!

– **Czy moment odkrycia był olśnieniem?**

– To był wstrząs, ale poczułem też pewien rodzaj błogości i spokoju. Byłem szalonym artystą, który chciał przekonać wszystkich, że odkrył nową geometryczną bryłę. Słowo „odkrycie” wydaje mi się zresztą ważniejsze, niż „wynalezienie”. Jest bardziej pierwotne. Czulem, że uczestniczę w czymś ważnym. Czasem myślę, że to nie ja odnalazłem K-dron, ale że to on wybrał mnie. A świat jest bogatszy o nowy kształt!

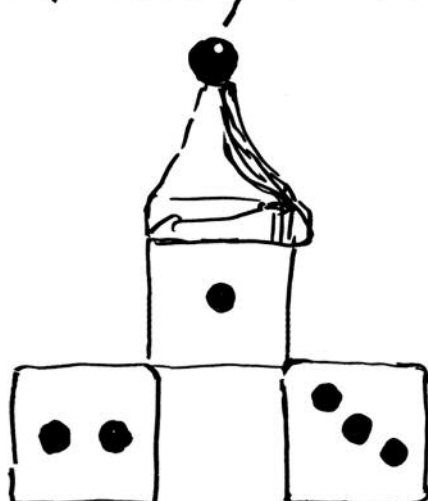
– **W 1981 roku wyemigrowałeś do Stanów Zjednoczonych. Mieszkaś w Nowym Jorku. Czy to miejsce w jakiś sposób zainspirowało twoje poszukiwania?**

– Pojechałem tam na trzy miesiące na zaproszenie pisarza Andrzeja Pastuszka. Chciałem zobaczyć z czego ci Amerykanie tak się cieszą i skąd biorą pieniądze (*śmiech*). No, ale w Polsce został wprowadzony stan wojenny i nie było szans powrotu. Potem życie potoczyło się dalej. Ciągłe jednak powtarzam, że nie ma znaczenia, gdzie się ląduje, tylko to, co człowiek myśli, jak reaguje na świat. Czas jest dla mnie ważniejszy, niż miejsce, w którym jestem. Po prostu zostałem wyrzucony z siebie, żeby się przyglądać światu z innego punktu.

– **Zajmujesz się wieloma dziedzinami: rysunkiem, malarstwem, architekturą, geometrią. Mówisz też o sobie, że jesteś scenografem jednego reżysera...**

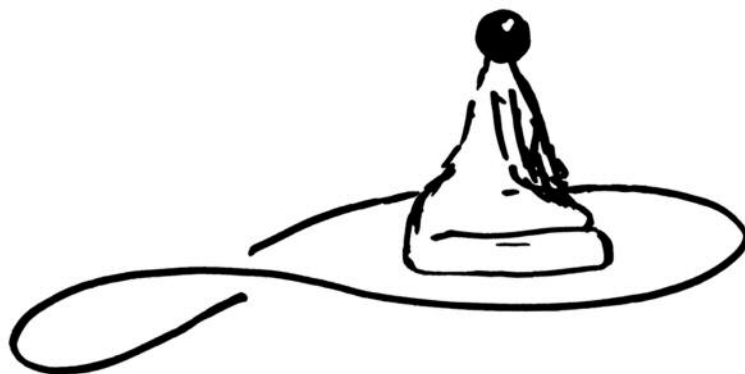
– Lech [Majewski – *przyp. D.D.*] jest niezwykle ważną postacią w moim życiu. Z nim odbyłem najgłębsze rozmowy, jakie człowiek może prowadzić z człowiekiem. Tak to już jest, że w zasadzie jesteśmy samotni, wstydzimy się wielu swoich myśli i pomysłów. Nam przytrafił się taki szczególny ty-

PRZYPADKOWO MOŻNA ZOSTAĆ  
BOGATYM, ALE NIE MĄDRYM





# RODZIMY SIĘ NA CHWILĘ UMIERAMY NA WIECZNOŚĆ



Rys. Janusz Kapusta

dzień w Londynie w 1988 roku, kiedy Lech robił dokrętki do *Więznia Rio*, a ja po odkryciu K-dronu, dostałem na niego patent i też nakręciłem o nim film. Każdej nocy kupowaliśmy jakąś wódkę albo scotch, szliśmy na taras i „pilnowaliśmy księżycza” – jak mówią Indianie. Gadaliśmy do rana. Lech to wyjątkowy człowiek, jeden z najpiękniej widzących. Jego oko nie ma konkurencji, a obrazy, które kreuje są wstrząsające!

– **Zrobiliście potem kilka oper.**

– Pierwszą scenografię zaprojektowałem do spektaklu „Czarny jeździec” Roberta Wilsona w reżyserii Lecha w 1994 roku w Heilbronn w Niemczech. Oprócz scenografii robiłem też kostiumy. Na początku miałem obawy – musiałem zrozumieć całą maszynę teatralną, przestrzeń, scenę. Powiodło się i to był świetny spektakl. Potem pracowaliśmy jeszcze razem przy „Carmen” w Teatrze Wielkim w Warszawie i Operze Narodowej w Wilnie oraz komedii Szekspira „Sen nocy letniej”.

– **Odkryłeś nieznanne wcześniej zasady złotego podziału. Czy mógłbyś to wyjaśnić?**

– Johannes Kepler powiedział, że „złoty podział to bezpośredni wgląd w umysł Pana Boga”. Byłem zaszokowany, że tak mądry człowiek twierdzi coś takiego, a ja nie bardzo pamiętam o czym mówi! Właśnie przez Keplera zainteresowałem się złotym podziałem. Zacząłem robić obliczenia, rysunki i znalazłem sieć niezwykle połączonych w geometrii. Odkryłem nowe, fundamentalne zasady, które ujawniają, że złoty podział jest o wiele ważniejszy, niż przypuszczaliśmy. Przeprowadziłem dowód, że to jest rze-

czywiście boska proporcja i że ona istnieje bez względu na to, czy ktoś o tym wie, czy nie. Badałem, na przykład, obrazy Nikifora, który przecież w ogóle nie miał pojęcia o złotym podziale, a on u niego występuje! To jest związane z wrażliwością. Złoty podział jest naszą wewnętrzną strukturą, takim archetypem jungowskim, który w sobie nosimy. Jako pierwszy w historii znalazłem konstrukcję łączącą złoty podział ze srebrnym i z całą siecią podobnych „srebrnych” proporcji zmierzającą do nieskończoności. Do tej pory złoty podział był wyspą na oceanie – ja tylko odessałem wodę i pokazałem, że to stały ląd. Jako jedyny nie-matematyk zostałem zaproszony przez Jay Kappraffa – światowej sławy profesora New Jersey Institute of Technologies do napisania o tym artykułu do japońskiego pisma „Forma”. W tej chwili piszę o tym książkę.

– **Co cię inspiruje?**

– Wszystko! Zwracam uwagę na potykającą się kobietę, dziecko, kamień, który gdzieś leży przypadkiem, śmieć. Ktoś rzucił pogiętą butelkę – a ile trzeba było sił kosmosu, żeby ona znalazła się dokładnie w tym miejscu! Inspirują mnie spotkania z ludźmi, pytania, bo trzeba na nie szukać odpowiedzi.

– **Masz mistrzów, do których nawiązujesz?**

– Może najbardziej wzruszył mnie – poprzez swoje szaleństwo i szerokość myślenia – Leonardo da Vinci. W pewnym stopniu inspirowało mnie wielu: od filozofów, po naukowców, pisarzy, artystów. Pamiętam w jakimś okresie życia był Dostojewski, potem Pascal – bardzo ważny dla mnie, św. Augustyn, Kirkegaard...

Gdybym jednak miał wybrać jednego, to wskazałbym na Leonarda.

– **Czasem żartujesz, że odniosłeś sukces lokalny, światowy i kosmiczny?**

– (*śmiech*) No, bo jako mieszkaniec Nowego Jorku odniosłem sukces mając najwięcej rysunków w „lokalnej” gazecie, czyli w „The New York Times”. Jestem też jedynym rysownikiem w historii, któremu wydali książkę z tymi pracami. Sukces światowy polega na tym, że odkryłem nowy kształt i dostałem na niego patenty od Japonii, przez Europę, po Kanadę. Kosmiczny zaś dotyczy złotego podziału. W tym sensie nazywam go kosmicznym, bo złoty podział jest i był wszędzie, i o każdej porze. Był zawsze.

– **Co jest dla ciebie ważne?**

– Jestem człowiekiem, który poszukuje, który nie ucieka od siebie. Właściwie całe moje życie polega na tym, że ja – Janusz Kapusta, dorosły gentelman chce napisać książkę dla tego Janusza Kapusty, który jej nie znalazł i czeka na nią przerażony mając 20 lat.

– **Niedawno ukazała się twoja nowa książka „Plus minus. Przewodnik do myślenia”. To zbiór rysunków do czytania, jak widzę?**

– Ona wyszła „po drodze”. Jest zbiorem rysunków, które od ponad 10 lat ukazują się w „Rzeczpospolitej”. To moje zapiski różnych spostrzeżeń. Są tak mądre, jak mądry są oglądający je ludzie. Te rysunki uruchamiają w nich obszar zadumy nad światem i sobą.

– **Na tych rysunkach przedstawiasz siebie, jako małą figurkę szachową w pozycji Buddy. Czego ona nadal poszukuje?**

– A czego szukał Budda? Uspokojenia! Był księciem i dobrze mu się powodziło. Ten świat mu się rozpadł, kiedy pierwszy raz zobaczył umarłego, chorego, starego. Zostawił wszystko i odszedł, by odnaleźć ład i prawdę, zrozumieć na czym polega bezradność naszego istnienia.

– **Bywasz w Polsce, obserwujesz zmiany?**

– Oczywiście, Polska bardzo się zmieniła od czasu mojego wyjazdu. Oczekiwałem jednak czegoś więcej. Mam znacznie wyższe aspiracje wobec Polski, niż to, że dawniej było brzydko, a teraz jest ładniej. Mam wrażenie jakby ludzie zmarnieli, biegają nie w tym kierunku. Jak, na przykład, widzę programy telewizyjne, to wszystko, co było złego w Ameryce już tu przyszło. Ludzie za dużo podpatrują, są mało oryginalni.

– **Na Śląsku masz swoją wystawę, cykl wykładów, masę spotkań. Jak odbierasz nasz region?**

– To jedna z moich najciekawszych wystaw, jakie powstały [Muzeum Miejskie w Zabrze, wystawa czynna do 30.08.2015 – *przyp. D.D.*], bardzo dobrze rozplanowana w przestrzeni. Udało się tam pokazać wszystkie 38.416 kombinacji wzorów utworzonych z czterech K-dronów białych i czterech czarnych. Żeby codziennie zmienić jeden układ, trzeba by było żyć 105 lat, czego wszystkim życzę! Je-

śli pytasz o Śląsk – przed chwilą oglądałem nowy budynek Akademii Sztuk Pięknych, byliśmy też w NOSPR. To jest niezwykle! Przykład ogromnej ludzkiej energii i pracy!

– **Małą próbkę twoich prac możemy oglądać na lamach naszego miesięcznika. I to już zaczynając od okładki. Bardzo dziękujemy!**

– To rysunki będące moją dokumentacją poszerzania wyobraźni. Pochodzą ze wspomnianej już książki „Plus minus. Przewodnik do myślenia”. Do tego kilka obrazów pokazujących – wciąż wzruszające dla mnie – bogactwo K-dronu. Na jednym ze zdjęć widać K-dron na Piątej Alei w Nowym Jorku podczas Parady Pułaskiego, gdzie Polacy prezentują siebie. Nie tylko zatem są polskie kielbaski i *Polish jokes*, ale mamy też nowy, tajemniczy kształt.

– **Chciałbyś jeszcze dodać coś na zakończenie naszej rozmowy?**

– Na moich studiach filozoficznych zetknąłem się z myślą Józefa Marii Hone-Wrońskiego. To od niego zaczął się polski mesjanizm. Potem jego filozofię przejęli Cieszkowski, Towiański i Mickiewicz, którzy zresztą te idee trochę zniekształcili. Wroński doznał olśnienia 15 sierpnia 1803 roku. Twierdził, że rozwój świata zaczął się na Dalekim Wschodzie – Indie, Chiny, potem Bliski Wschód, Palestyna, Grecja, Francja, Niemcy. Jeśli połączy się te punkty po-

wstanie spirala. Jej następnym ogniwem jest Polska, są Słowianie. Kiedy się o tym dowiedziałem – a byłem wówczas młody – poczułem, że jako artysta powinienem stworzyć coś nowego. My – Polacy musimy dać coś światu, wymyślić rzeczy, o których nikt nie wie! Pragnę tutaj jakiegoś szaleństwa, wybuchu! Tak jak Włosi, kiedy postanowili: „Budujemy Wenecję”! I zbudowali – na palach, na wodzie! Wszyscy tam oszaleli! I ten, który miał na to pieniądze, i ten który był rzeźbiarzem, i ten który dowodził!

– **A więc powinniśmy oszaleć?**

– Jeżeli przez szaleństwo będziemy rozumieć stworzenie nieistniejącego – to powinniśmy oszaleć! Tylko wtedy będziemy atrakcyjni dla świata i przed wszystkim dla siebie. Inaczej ciągle będziemy narodem niespełnionym.

– **Ale przecież oszaleliśmy! Obaliliśmy komunizm!**

– Tak, ale świat już trochę o tym zapomniał, a i my sami już o tym nie pamiętamy. Remisujemy się na własne życzenie. Jak się pojawi ktoś mądry, to zaraz drugi mówi: „nie taki on znowu mądry!” Energia powstaje, kiedy ludzie wiedzą, w którym kierunku iść.

– **Zatem tego szaleństwa nam życzysz?**

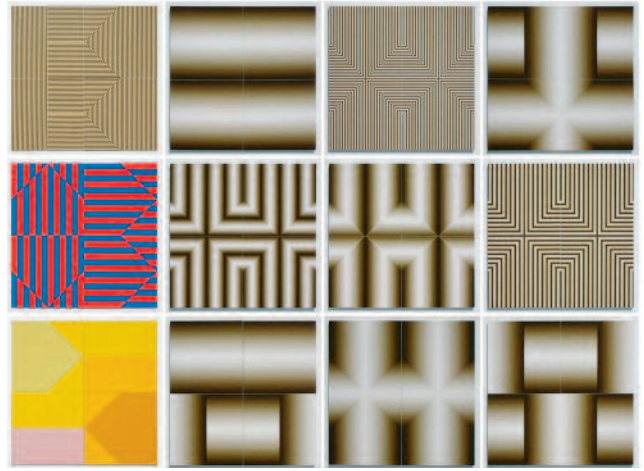
– Wam i sobie. Jestem Polakiem. Polska to suma nas. ■



K-dron na Piątej Alei w Nowym Jorku podczas Parady Pułaskiego.



*K-dron 1*



*K-dron 2*

Janusz KAPUSTA



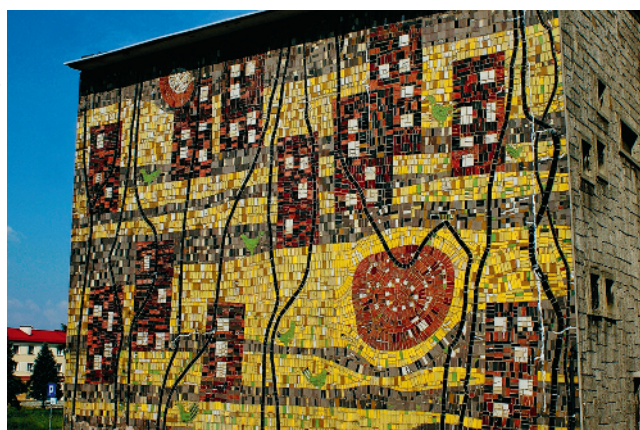
*K-dron 5*



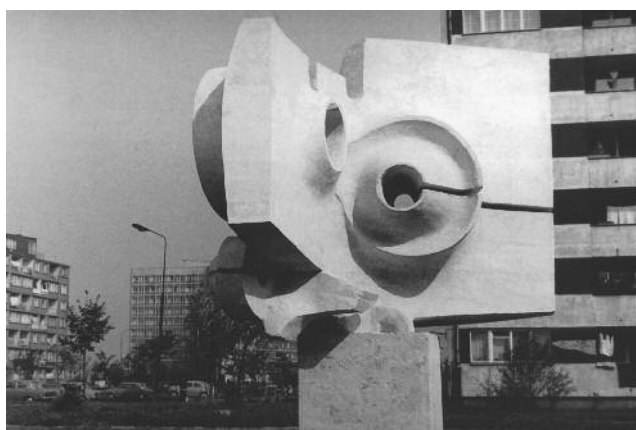
Stanisław Marcinów, rzeźba przedstawiająca przodownicę pracy, tzw. murarkę, 1955.



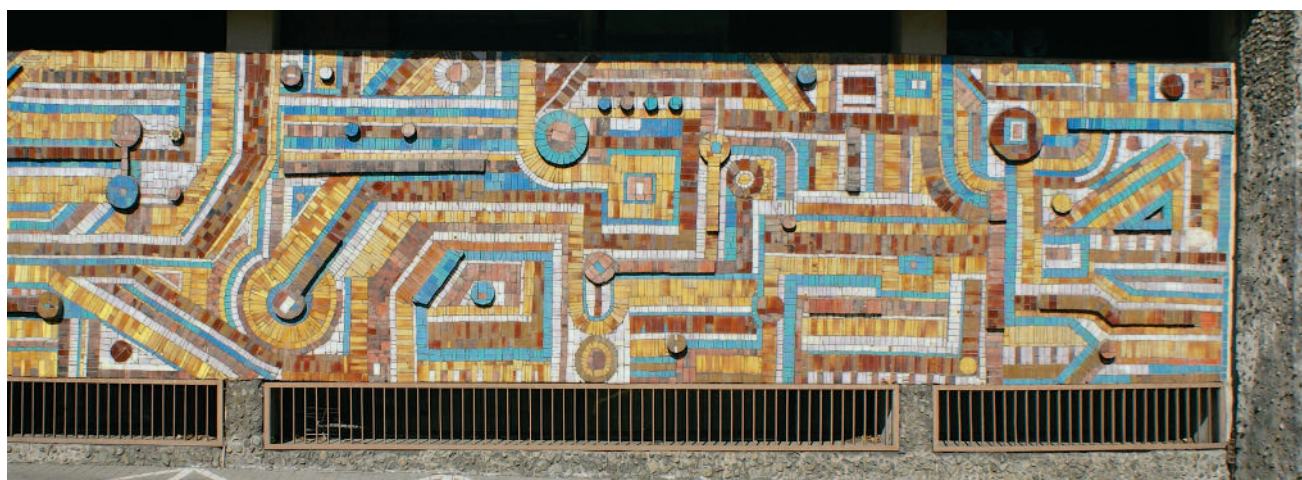
Tomasz Wenklar, *Karolinka*, 2014.



Mozaika na bocznej elewacji Teatru Małego. Projekt: Janusz Włodarczyk, realizacja: Janusz Włodarczyk i Franciszek Wyleżuch, 1964.



Stefan Borzęcki, rzeźba plenerowa *Kosmosonda* na osiedlu D, 1975.



Franciszek Wyleżuch, mozaika na budynku dawnego Zakładu Elektroniki Górniczej, ok. 1969.

W obiegowej i znacznie uproszczonej opinii Tychy funkcjonują jako miasto nowe, w którym niewiele jest do oglądania. Jako wyjątek mający potwierdzić regułę przywoływany bywa kościół pw. Ducha Świętego ozdobiony polichromiami autorstwa Jerzego Nowosielskiego. Jednak rozglądając się uważnie podczas wizyty w mieście, można szybko zmienić zdanie. Barwne mozaiki, plenerowe rzeźby z brązu i sztucznego kamienia, interesujące obiekty małej architektury – wszystko to niemal czeka na odkrycie na placach i w zakamarkach osiedli, na skwerach, w parkach i na elewacjach budynków.

Założone w 2004 roku tyskie Muzeum Miejskie za jeden ze swoich misyjnych celów przyjęło dokumentowanie i badanie współczesnej kultury miasta, w tym architektury i sztuki. Powstały publikacje Marii Lipok-Bierwiaczonek na temat socrealistycznego osiedla A oraz tyskich mozaik. Zagadnienia te pojawiały się również w ramach przygotowywanych przez muzeum wystaw. W 2011 roku z inspiracji placówki został utworzony szlak miejski *Od socrealizmu do postmodernizmu. Unikatowe NOWE Tychy*, który zwrócił uwagę nie tylko na architekturę, ale także dzieła sztuk plastycznych.

Ostatni rok upłynął na pilnym uzupełnianiu białych plam na artystycznej mapie Tychów. Nadszedł czas na podsumowanie. 15 maja w Muzeum Miejskim w Tychach została otwarta wystawa *Tychy. Sztuka w przestrzeni miasta*. Ekspozycja prezentuje dzieła z zakresu rzeźby, malarstwa monumentalnego oraz małej architektury, które zaistniały w przestrzeni publicznej Tychów w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat. Ekspozycja zwraca uwagę na proces powstawania dzieła – fazę krystalizowania się koncepcji artystycznej w formie projektu oraz ostateczny efekt w postaci wkomponowanego w konkretną przestrzeń publiczną obiektu, który na wystawie został ukazany poprzez dokumentację fotograficzną. Zagadnienia przedstawione na wystawie posiadają pełne rozwinięcie w wydanej przez Muzeum Miejskie książce pod identycznym tytułem co wystawa – *Tychy. Sztuka w przestrzeni miasta*.

Wzbogacanie przestrzeni Tychów w obiekty sztuki przechodziło różnorodnie etapy.

Proces ten, zapoczątkowany w okresie dwudziestolecia międzywojennego, stawał się z czasem coraz bardziej złożony i wielowątkowy. Podejmowane w przestrzeni publicznej działania artystyczne z oczywistych względów miały charakter oficjalny. Ich częstotliwość, intensywność oraz specyfika były zależne od uwarunkowań natury artystycznej i pozaartystycznej. Rolę nadrzędną odgrywała sytuacja polityczna oraz gospodarcza w kraju. To ona kreowała warunki pracy twórców. Podejmowane przez nich przedsięwzięcia zależały od aktualnych perspektyw finansowych oraz polityki kulturalnej. Powstające dzieła odzwierciedlały kierunki i tendencje pojawiające się w sztuce światowej, w tym oczywiście polskiej, które niosły ze



Augustyn Dyrda, grupa rzeźbiarska *Niedźwiadki*, 1962. Fot. z początku lat 70.

# Tychy. Sztuka w przestrzeni miasta

PATRYK  
OCZKO

sobą konkretne konwencje formalne. W różnym stopniu znajdowały one przełożenie na język dzieł, tworzonych z myślą o przestrzeniach publicznych. Akcenty plastyczne w założeniu miały współgrać z kreowaną aktualnie rzeczywistością – tak w sensie estetycznym, jak i społecznym. Dzieło miało stanowić integralną część przestrzeni urbanistycznej lub obiektu architektonicznego. Jednocześnie, ze względu na odbiór społeczny, forma tegoż dzieła była ograniczana przez postulat komunikatywności.

Charakter nasycenia Tychów obiektami sztuki koresponduje ze specyfiką powstawania miasta – jego planową, wieloletnią budową od obrzeży do centrum (które ostatecznie nie zostało zrealizowane). Akcenty plastyczne pojawiały się stopniowo, co w efekcie zaowocowało ich znacznym rozproszeniem i zróżnicowanym zagęszczeniem. Całościowe zestawienie dzieł cechuje duża różnorodność, jednak w ramach kolejno powstających części miasta zespoły są zazwyczaj stylistycznie zwarte. Odstępstwa od takiego stanu rzeczy to efekt procesu „dogęszczania” akcentów plastycznych, który rozpo-

czął się w zasadzie po zatrzymaniu się wielkiej budowy miasta. Ten kierunek działania jest obecnie dominujący.

Dwudziestolecie międzywojenne (o charakterze świeckim) w przestrzeni publicznej Tychów. Miejscowość była wówczas gminą wiejską, a od 1934 roku gminą wiejską z częściowymi prawami miejskimi. Dorobek tego okresu to zaledwie dwa pomniki, które silnie wpisywały się we współczesny im kontekst społeczno-polityczny. Oba zostały zniszczone w 1939 roku. Osadzenie monumentów w ramach miejscowej społeczności było jednak na tyle silne, że ich idea odradzała się w kolejno następujących po sobie realiach politycznych. W dostosowaniu do nich ulegała przemianom forma artystyczna, pozostając jednak niezmiennie formą bardzo czytelną.

Wraz z rozpoczęciem budowy nowego miasta nastąpiło znaczne ożywienie w zakresie działań artystycznych. Początkowo było ono nierozłącznie związane z panującym w sztuce socrealizmem. Założenia tego kierunku znalazły pełne od-

zwierciedlenie w przestrzeni osiedla A. Zgodnie z przyjętą konwencją położono tam duży nacisk na integrację architektury i plastyki, przy czym dominującym środkiem wyrazu artystycznego była w tym kontekście rzeźba. Inwencja twórców działających w obrębie osiedla w dużej mierze służyła realizacji wytycznych nowej doktryny. Artyści posługiwali się tradycyjnym zasobem form i tematów, przyswojonym w toku edukacji i pracy twórczej. Na tę swoistą bazę nakładali nowe, „jedynie słuszne” treści ideowe. Święta Jadwiga Śląska stała się więc murarką, Matka z Dzieciątkiem zwyczajną matką z dzieckiem, klasyczne figury w układzie kontrapostu przybrały postaci górnika i hutnika. Nie była to żadna próba przemycania niemile widzianych wówczas treści, lecz dążenie do uzyskania adekwatnego dla epoki wyrazu artystycznego.

Powstały w efekcie dzieła socrealistyczne w dość kameralnym wydaniu, szczególnie gdy zestawimy je z wykonanymi w tym samym czasie akcentami plastycznymi Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej w Warszawie. Tyskie realizacje, mimo obciążenia socjalistycznym ładunkiem ideowym, zostały w większości zaakceptowane i oswojone przez miejscową społeczność. Stało się tak dzięki uniwersalizmowi wykorzystanych treści i form.

Począwszy od drugiej połowy lat pięćdziesiątych rzeźba jako element wzbogacający krajobraz Tychów traciła na znaczeniu. W kolejnych latach powstały dzieła nieliczne, rozrzucone w przestrzeni rozrastającego się miasta. Wiele projektów nie zostało zrealizowanych, głównie ze względów finansowych. Miejscowi artyści szukali wówczas przyjaznej do działań przestrzeni poza Tychami. Dziś trzeba stwierdzić, iż z wielką szkodą dla krajobrazu miasta. Bogactwo tendencji rzeźbiarskich lat sześćdziesiątych było ogromne i żal, że parku Miejskiego lub któregoś z tyjskich osiedli nie wzbogacają realizacje w konwencji tych prezentowanych np. w chorzowskiej Galerii Rzeźby Śląskiej.

Równocześnie nastąpił bujny rozkwit malarstwa monumentalnego, a w jego zakresie przede wszystkim mozaik. Powyższy trend pojawił się w Polsce tuż po połowie lat pięćdziesiątych, w Tychach zaś około roku 1960 (wpierw we wnętrzach budynków). Stanowił on część szerokiej tendencji, która zapanowała w tamtym okresie w państwach dawnego bloku wschodniego. Technika mozaiki trafiła w Polsce na bardzo podatny grunt. Jej naturalne walory formalne, wynikające z charakteru tworzywa, znakomicie współgrały z socjodemokratyczną architekturą. Była to w owym czasie również jedna z niewielu możliwości operowania tak szeroką gamą barw na zewnątrz budynków – sposób na przełamanie naturalnej szarości dostępnych materiałów budowlanych. Istotne znaczenie miały też, szczególnie w latach sześćdziesiątych, stosunkowo niewielkie koszty realizacji. „Złoty okres” mozaik trwał nieprzerwanie do końca następnej dekady. W tym czasie następowały zmiany w zakresie stylistyki kom-

pozycji, w oczywisty sposób związane z aktualnie panującymi kierunkami w tradycyjnym malarstwie oraz grafice. Co istotne, mozaiki dawały artystom dużą swobodę w indywidualnej kreacji, nawet w przypadku elewacji budynków będących np. siedzibami władz. Zasadniczo nadrzędną rolę wobec treści dzieła odgrywały barwa i forma. Popularne, szczególnie w latach siedemdziesiątych, były kompozycje czysto abstrakcyjne. Znaczenie później, bo u schyłku tej dekady, w przestrzeni miasta pojawiły się prace *stricte* malarskie. Wiązało się to z dostępem do nowych, bardziej odpornych na warunki atmosferyczne farb. W przestrzeni Tychów dekoracje malarskie były jednak realizowane sporadycznie.

Druga połowa lat siedemdziesiątych to okres znacznego wzbogacania przestrzeni miasta przez dzieła rzeźbiarskie. W 1975 roku powstał pomnik Walki i Pracy – najbardziej monumentalny i zarazem kontrowersyjny akcent plastyczny w Tychach. W tym samym roku rozpoczęli w mieście działania artyści z Wydziału Rzeźby krakowskiej ASP. Ich realizacje stanowią zwarty stylistycznie, wysokiej klasy zespół, który zupełnie niesłusznie został nieco zapomniany i do dnia dzisiejszego nie doczekał się w pełni zasłużonej rehabilitacji.

Podsumowując powyższe ustalenia, dekada lat siedemdziesiątych, a szczególnie druga jej połowa, była okresem, w którym kształtowanie wizerunku Tychów przez realizacje artystyczne przybrało formę najpełniejszą i najbardziej wszechstronną. Malarstwo monumentalne, rzeźby oraz interesujące formy małej architektury wprowadzano w przestrzeń miasta w sposób planowy, przemysłowy i w zrównoważonych ilościach. Co bardzo istotne, w działania artystyczne włączono wówczas plastików spoza środowiska tyskiego, a nawet śląskiego. Zaowocowało to nowym spojrzeniem na dzieło sztuki jako element kreujący krajobraz miasta.

Od początku lat osiemdziesiątych, wraz z kryzysem, działania artystów w przestrzeni Tychów stały się sporadyczne. Przemiany ustrojowe nie zmieniły tej sytuacji. Wręcz przeciwnie – następna dekada była najuboższa w realizacji plastyczne. W dodatku nastąpiła wówczas negacja dokonanych poprzednich dziesięcioleci.

Zmiany nastąpiły dopiero po roku 2000. Obecnie mamy do czynienia ze znacznym wzrostem liczby przedsięwzięć artystycznych. Wśród nowych realizacji przeważają przedstawienia figuratywne, często realistyczne. Jedynie w przypadku pomników twórcy posługują się symbolem. W zakresie rzeźby brak jest obiektów abstrakcyjnych. Nie powstają również dzieła współczesnego malarstwa monumentalnego (choć murale w ostatnich latach przeżywają w Polsce swoisty renesans). Obficie reprezentowana jest natomiast mała architektura, szczególnie w przestrzeniach rewitalizowanych placów.

Stosunkowo dobra sytuacja w zakresie wzbogacania przestrzeni miejskiej akcentami plastycznymi wiąże się z przy-

jętą w 2009 roku *Strategią rozwoju kultury w Tychach na lata 2009–2015*. Dokument ten wytyczył kierunki działań i dał argumenty na rzecz realizacji zaplanowanych przedsięwzięć. W ramach priorytetu „Tworzenie przestrzeni kultury” znalazło się m.in. zadanie „upamiętnienia osób związanych z historią miasta i miejsc historycznych poprzez realizację rzeźb plenerowych i tablic pamiątkowych”<sup>1</sup>.

Coraz bardziej nagłą potrzebą jest podjęcie zdecydowanych działań na rzecz ochrony dzieł powstałych w dziesięcioleciach minionych. Wiele z nich wymaga pilnej interwencji konserwatorskiej. Szczególnie dotyczy to mozaik, będących integralną częścią obiektów architektonicznych, nieustannie ulegających różnorodnym przekształceniom. Podczas przebudów i termomodernizacji budynków liczba tych popularnych niegdyś dekoracji stopniowo maleje. Od groźby zniszczenia nie są wolne również trwalsze pozornie rzeźby, nawet te wykonane ze sztucznego kamienia czy brązu. Upływający czas oraz przejawy bezmyślnego wandalizmu to nieustępliwi wrogowie wszystkich obiektów sztuki.

Od kilku lat wzrasta liczba działań mających na celu ochronę dziedzictwa kulturowego. Przykładem do naśladowania są m.in. prace konserwatorskie prowadzone na terenie osiedla A, które ma szansę stać się w niedalekiej przyszłości istotną atrakcją turystyczną miasta. W przestrzeni Tychów jest jednak znacznie więcej obiektów o znaczącym w tym zakresie potencjale, jak choćby cały zespół rzeźb zrealizowany przez artystów z krakowskiej ASP. Poprawę stanu zachowania oraz bezpieczeństwa akcentów plastycznych na terenie miasta może zapewnić przygotowywany obecnie *Program opieki nad zabytkami miasta Tychy na lata 2015-2018*.

Kondycja dzieł wzbogacających krajobraz Tychów jest zależna również w dużej mierze od nas samych. Świadomość posiadanego dziedzictwa, jego poszanowanie i chęć nieustannego wzbogacania – wszystko to kreuje naszą teraźniejszość. Sztuka w przestrzeni miasta jest dziś tym, co łączy Tychy Stare i Tychy Nowe. Tworzy niepodzielną wartość dla przyszłości.

Powyższy tekst wykorzystuje fragmenty książki *Tychy. Sztuka w przestrzeni miasta* autorstwa Patryka Oczuki.

<sup>1</sup> *Strategia rozwoju kultury w Tychach na lata 2009-2015*. Oprac. E. Iwanciów, T. Kordon, M. Lipok-Bierwiazczonek, D. Łukasiewicz-Zagała, D. Szczepańska, W. Wiczorek. Tychy 2009.

Wystawa *Tychy. Sztuka w przestrzeni miasta* jest prezentowana w Muzeum Miejskim w Tychach do 1 sierpnia. „Śląsk” objął patronat nad wystawą.



Winowno, pow. Myszków

# Tropem Kolberga w Zagłębiu Dąbrowskim

W roku 2015 Regionalny Ośrodek Kultury w Katowicach przy współpracy Muzeum Zagłębia w Będzinie oraz Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie w ramach Programu Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego „Kolberg 2014 – Promesa” zrealizował projekt „Tropem Kolberga – etnograficzne badania terenowe Zagłębia Dąbrowskiego”.

Projekt był zadaniem wielowarstwowym, mającym na celu udokumentowanie zwyczajów i obrzędów dorocznych oraz rodzinnych mieszkańców Zagłębia Dąbrowskiego, utrwalenie tradycyjnej architektury, a także współcześnie praktykowanych zwyczajów. Etnograficzne badania terenowe prowadzone były w 24 wsiach i miejscowościach leżących na terenie zagłębiowskich gmin i parafii (Żeliszawice, Koziegłowy, Niegowa, Niegowonice, Tuczawa, Targoszyce, Toporowice, Siemonia, Bobrowniki, Psary, Ogrodzieniec). Etnografowie zebrali 100 wywiadów, niejednokrotnie uzyskując ciekawe informacje pozwalające zaplanować i wykonać dokumentację fotograficzną lub filmową uroczystości

kościelnej bądź rodzinnej. W ramach dokumentacji wykonano cykl fotografii obrzędów kościelnych, zachowań ludycznych oraz uroczystości rodzinnych, a także fotografie przedstawiające tradycyjne budownictwo. Ponadto dokonano rejestracji filmowej zwyczajów związanych z rokiem obrzędowym: „Misie” z gminy Niegowa, „Turki” z Koziegłówek i Winowna, święcenie pokarmów w parafii w Sączowie oraz procesję w dniu Wniebowzięcia NMP w Niegowonicach.

Efektom projektu jest zgromadzony materiał etnograficzny, płyta DVD i strona internetowa z materiałami z badań ([www.tropemkolberga.pl](http://www.tropemkolberga.pl)), a także wystawa fotograficzna, która udostępniana jest przez Regionalny Ośrodek Kultury w Katowicach bezpłatnie zainteresowanym podmiotom. Do tej pory wystawa eksponowana była w Muzeum Zagłębia w Będzinie, Muzeum „Saturn” w Czeladzi i Muzeum Miejskim „Szttygarka” w Dąbrowie Górniczej oraz Wiejskim Domu Kultury w Czyżowicach.

Obecnie Regionalny Ośrodek Kultury rozpoczął prace nad kolejnym pro-

jektem, na który otrzymał dofinansowanie ze strony MKiDN.

„Tropem badaczy Zagłębia Dąbrowskiego” – to projekt będący niejako kontynuacją ubiegłorocznego zadania, a jego najważniejszym efektem będzie bogato ilustrowana zdjęciami archiwalnymi i współczesnymi publikacja opisująca zwyczaje i obrzędy doroczne oraz rodzinne mieszkańców pogranicza małopolsko-śląskiego. Aby zebrać materiał do opracowania rozpoczęto badania zarówno archiwalne, jak i terenowe. Tym razem badania kwestionariuszowe prowadzone będą w 10 miejscowościach – dokładnie tych samych, w jakich prowadzone były w latach 60. i 70. XX w. Działanie to ma na celu porównanie kilku źródeł informacji, a tym samym ukazanie zmian, jakie dokonały się w ostatnich latach w zakresie praktykowanych działań kulturowych. Oprócz publikacji, która planowana jest na wiosnę przyszłego roku, efektem pracy etnografów i fotografów będzie wystawa fotografii, płyta DVD z materiałami uzyskanymi w trakcie badań oraz strona internetowa.

opr. ROK Katowice



Z JOANNĄ BATOR rozmawia MARTA FOX

# Lubię cynamon, zahaczki i słoje ze wspomnieniami

– Lubi pani zapach cynamonu. Czy wyzwala twórcze myśli podczas pisania?

– Jestem wrażliwa na zapachy, niektóre postaci w książkach zaczęły się od zapachów. W *Piaskowej Górze* Zofia, babcia Dominiki, narodziła się z pamięci zapachu świeżego mleka, czystości i barszczu, wprost ze spiżarni mojej prababci, która kisiła barszcz w kamionkowym garnku. Zofia, choć zupełnie inna, połączona została przez tę zapachową zahaczkę z prababcią.

– Zarówno zahaczki, jak i cynamon pojawiają się w najnowszej pani opowieści *Wyspa Lza*.

– Zahaczki to obrazy, zapachy, smaki z pamięci, służące do tkania opowieści. W *Wyspie Lzie* piszę, jak to działa. Czytelnicy często dopytują: Ile pani jest w powieści? Odpowiadam wówczas, że używam tylko zahaczek. Takich jak ucho realnego dziadka Antosia, który zmarł, kiedy byłam dzieckiem, i wszystko, co mi w pamięci zostało, to jego włochate ucho. Siadywał na stołeczku, już bardzo chory, i to ucho pewnie było na wysokości oczu młodej dziewczynki. Powróciło podczas pisania *Piaskowej Góry* i narodził się Władek Chmura, postać fikcyjna, a jednak połączona z prawdziwym dziadkiem.

– Prawdziwe ucho dziadka stało się inspiracją dla postaci Władka Chmury.

– Tak, jak Wenus z muszli, tak on narodził się z ucha. Podobnie pępek w *Ciemno, prawie noc*, z którego narodził się Martin, pogromca kotojadów. Nie znalazłam żadnego Martina, który by walczył z siłami ciemności w moim ogrodzie. Ale znalazłam kogoś, kto miał pępek w kształcie strzałki. Byłam parę dni temu w Wałbrzychu, gdzie robiliśmy pierwszą dokumentację do *Ciemno, prawie noc*. Filmowcy chcieli, żebym znalazła miejsca, które wymyśliłam, ulepiłam z pamięci dziecka. I proszę sobie wyobrazić: Wchodzimy do jakiejś kamienicy na Nowym Mieście i nagle słyszymy za drzwiami wrzask telewizora i krzyk dzieci Barbary Mizery. Patrzymy, biegnie dziewczynka cała na różowo, jak ta z mojej powieści, i odwraca się przez ramię, tak jakby nas wołała. To była czysta magia, rzeczywistość fiknęła koziołka i wszystko, co wymyślone, stało się prawdziwe. Jedziemy na Sobociń i widzimy okna Zofii Sochy, która w tej strasznej biedzie próbuje upiększyć kawałek świata. Dokładnie takie, jak wymyśliłam. Tak to działa w powieściach. W *Wyspie Lzie* inaczej – opowiadam o ludziach z mojej realnej rodziny, jak moją prababcią, tatarską ciotką z Warszawy i inni. Powieści nie są autobiograficzne, *Wyspa* jest.

– Czy to jest ta babcia, która miała male stóпки?

– Tak, właśnie ta, od stópek i spiżarni z barszczem. Na Sri Lance odwiedziłam świątynię Dambula. Leży tam piękny odpoczywający Budda, ma wielkie złote stopy. A mnie stopy piękły, bo kamienie były gorące. Środek dnia. Nagle przypomniały mi się stóпки prababci. Dzięki tej zahaczce odżyły i inne wspomnienia.

– Wyjechała pani na Sri Lankę, by wędrować śladami Sandry Valentine, która znikła bez śladu ćwierć wieku temu i której nikt już nie szuka.

– Ten motyw zawsze wydawał mi się fascynujący. Przychodzi czas, kiedy człowiek zdaje sobie sprawę, że porzucił inne drogi. Niekoniecznie lepsze, ale porzucone na zawsze. Mogłam zostać w Tokio, wyklądać filozofię na tamtejszym uniwersytecie. Mogłam zniknąć bez śladu, zacząć od nowa na jakiejś wyspie, z innymi włosami, z innym imieniem. Któż z nas nie miał czasem takiej ochoty? Można też zniknąć raz na zawsze, czyli umrzeć. Czy wielu z nas by tu zostało, gdyby można było podczas najczarniejszej z nocy nacisnąć guzik i bezboleśnie rozplątać się w powietrzu? Wpisywałam frazę o znikaniu w wyszukiwarkę, czytałam historie kobiet i tylko historia Sandry mnie uwiodła, z powodów, których nigdy nie zrozumiałam do końca. Ta nieznaną kobietą stała się kimś w rodzaju przewodniczki, wcieleniem mojej mrocznej bliźniaczki, poczułam, że mam ochotę zrobić coś szalonego, pojechać na Sri Lankę i zobaczyć, co się będzie ze mną działo. I tak zrobiłam. Byłam gotowa na wszystko, co mnie czekało, nawet na to, by opowiedzieć własną historię.

– Napisała pani: „Gdyby zaginione bez śladu odnalazły się, byłyby ich miliony, a świat zadrzałby, gdyby opowie-



działy, co im się przytrafiło”. To zdanie uruchomiło moją wyobraźnię.

– Bo to jest przerażające. Jestem czytelniczką tabloidów polskich i brytyjskich, są dla mnie źródłem dziwnych nagłówków, które kolekcjonuję. Bez przerwy giną kobiety. Niektóre się znajdują, jak dwie młode dziewczynki, które popełniły samobójstwo. Jak zamordowana Wiktoria. Ale reszta przepada, po prostu.

– **Czy znalazła pani na Sri Lance swoją niszę w czasie? Czy ta podróż była ucieczką przed oczekiwaniem, jakie mają czytelnicy i krytycy wobec autora nagrodzonego Nike?**

– Nagroda była jakimś rytuałem przejścia, niosła satysfakcję, coś w rodzaju ulgi, ale nie stała się kamieniem milowym w moim życiu. Byłam znużona zgiełkiem wokół mnie i tym, że wydałam trzy powieści pod rząd, a wydawca chce kolejną już, zaraz. Miałam dość zobowiązań, pytań, spotkań, wywiadów, morza zawiści. Z pragnienia wolności, dzikości, swobody zrodził się pomysł wyprawy na Sri Lankę. Jestem przyzwyczajona do podróży i do tego, że rzeczywistość w podróży jest dla mnie hojna, że bardzo dużo się dzieje. Na Sri Lance działo się relatywnie mniej. Wszystko prowadziło mnie poza Sri Lankę, na moją własną wyspę. Wyspę Łzę.

– **Wędruje pani tropem Sandry Valentine, ale jednocześnie „szatkujecie motywy z własnego życia i szywa je ze skrawkami rzeczywistości wyszarpanej z tropikalnej materii”.**

– Jest takie zdjęcie w tej książce, jedyne, na którym widać moją twarz.

– **Z takimi rozwłóconymi włosami.**

– Tak, z czymś takim dziwnym na głowie. To jest narratorka opowieści, ja w wersji tropikalnej, odmieniona przez tamtą rzeczywistość. Wyspa jest z jednej strony olśniewająco piękna, w sposób, jakiego może oczekiwać turysta, z drugiej strony jest na niej cień bratobójczej walki, która skończyła się w 2009 roku. Raj ma tam niekiedy zapach spalizny, wojnę czuje się w pamięci tamtych ludzi. Pobyt na wyspie nie był dla mnie sielanką. Mniej mi zależało, aby zwiedzać, bardziej, by poczuć wyspę. Zresztą ja nigdy nie zwiedzam w tradycyjnym sensie latania z przewodnikiem od jednej atrakcji do drugiej.

– **To prawda, dużo w Wyspie skojarzeń, snuje pani opowieść, łącząc przeszłość z teraźniejszością. Mówi pani: „Tkam tu fikcję, która nie jest kłamstwem”. Pierwszy rozdział tej książki opatrzyła pani cytatem ze Stanisława Brzozowskiego, „Co nie jest biografią, nie jest w ogóle”. Porywająca to opowieść, ale i tajemnicza.**

– *Wyspa Łza* jest esejem intymnym, to chyba najlepsze określenie gatunkowe, jest także zapowiedzą kolejnej powieści, swoistym teaserem. Jej bohaterką będzie Anna Karr, która na Sri Lance właśnie zaczęła stawać się postacią w mojej głowie. Jest bohaterką powieści *Rok królika*, nad którą teraz pracuję. Nie wiem, dokąd mnie to wszystko zaprowadzi, więc wolę za dużo nie mówić. Pewne na razie jest to, że Anna Karr pisze romanse historyczne i właśnie jest w przeddzień zniknięcia bez śladu.

– **Wydawałoby się, że z jednej strony pani się bardzo otwiera, a w chwilę potem okazuje się, że to tylko kreacja „mrocznej bliźniaczki”. Jak u Brodskiego, który mówi, że powieści autobiograficzna więcej kamufluje niż pokazuje. Czy nie myślała pani, by napisać o melancholii odrębną rzecz?**

– Zanim zaczęłam pisać powieści, zajmowałam się nauką, pograniczami antropologii kultury, filozofii, psychoanalizy. Melancholia była jednym z pomysłów na habilitację. W mojej rodzinie są czarne historie nagłych zniknięć, które prawdopodobnie były podyktowane nieleczoną, niezdiagnozowaną depresją. Mam też własne doświadczenia. Raz byłam już blisko tej granicy, za którą zaczyna się kliniczna choroba. Jest depresja endogenna, która przychodzi nawet wówczas, kiedy jest się spełnionym, pięknym i bogatym. Jest reaktywna, będąca reakcją na traumatyczne przeżycie. Czasem te dwa czynniki spotykają się i wtedy jest niewesoło. Lekarze najchętniej przepisują lekarstwa. Jak cukierki na szczęście. Na pewno nie napiszę już pracy naukowej na ten temat. Moja mroczna siostra prowadzi mnie gdzie indziej.

– **Czyli najważniejsze jest poznanie siebie, umiejętność uchwycenia krytycznego momentu, cienkiej czerwonej linii, poza którą zaczyna się calkowita ciemność. Lepiej mówić: depresja jest we mnie, a nie ja w depresji.**

– Ma pani rację. Rzadko się mówi, jak wielkie znaczenie w depresji ma osobowość. W obliczu tej samej chemii mózgu, różne osoby bardzo różnie zareagują. Jedna sięgnie po butelkę z alkoholem. Druga ułoży sobie plan na dany dzień, którego największym wyzwaniem jest to, żeby pójść na bazarek i kupić buraczki. I zwlecząc ciało jak z ołowiu, przejedzie dwa kilometry długie jak dwadzieścia, i kupi te cholerne buraczki. I okaże się, że można siebie samą wyciągnąć za włosy.

– **Ważne są drobne kroki, czynności, które osłabiają ciemność, jak w Melancholii Larsa von Triera.**

– Na pewno. Ale niektórzy nie poradzą sobie bez prochów. Trzeba być czujnym, jeśli wie się, że ma się w sobie tę ciemność. Głęboka depresja to jest taki obóz koncentracyjny dla duszy. Nie chciałabym się w nim znaleźć.

– **Stala się pani moją autorką, dzięki między innymi tropom, będącym także moimi ścieżkami. Bohaterem w Wyspie Łzę jest Witkacy i Bronisław Malinowski. Wspomina pani przy okazji powieści Agnety Pleijel *Lord Nevermore*, bardzo dla mnie ważną.**

– Musiałam o nich napisać. Moja podróż zaczęła się w sto lat po ich pamiętnej podróży na Cejlon. Szwedzka pisarka sugeruje, że ich przyjaźń rozdzielił rodzaj erotycznego związku.

Byłam w pensjonacie, w którym Witkacy chciał sobie strzelić w łeb. Na tyłach biednego hoteliku leżały stare meble. Pomyslałam, że Witkacy, moja licealna miłość, mógł siedzieć na którymś z foteli. Moje życie to poruszanie się między dwoma biegunami reprezentowanymi przez te postaci – irracjonalizm, artystyczny bzik, autodestrukcyjność, nadwrażli-

wość i bezkompromisowość Witkacego. Racjonalizm, naukowe podejście, rozsądek Malinowskiego.

–  **Szukam więc dalej pomiędzy tekstem a sobą, a nie pomiędzy dziełem a autorem... Przywołuje pani Haruki Murakamiego, autora *O czym mówię, kiedy mówię o bieganiu*. Pani też uważa, że napisanie powieści to maraton. Czy po napisaniu każdej tak się pani czuje? Która była najtrudniejszym obciążeniem?**

– Zawsze ta, nad którą pracuję, i zawsze powtarzam w domu, że tak strasznie, to jeszcze nie było. Zaczęłam pisać i biegać w tym samym czasie, niemal w tym samym momencie i to jest tak połączone w mojej głowie, że tego nie rozdzielałam, jak Murakami. Tak sobie myślę, że będę biegać i pisać do ostatniego momentu. Murakami jest mi bardzo bliski, z różnych względów.

– **Dlaczego, co panią fascynuje w jego pisaniu?**

– Te dwa światy w opowieściach, pomiędzy którymi granica jest nieostra, zartarta. Podobnie to odczuwam, kiedy piszę. Nagle obsuwam się w rzeczywistość, którą rządzi zupełnie inna logika. Ale te światy są bliskie, splecione. Inne niż w dualistycznej zachodniej tradycji. Niemieccy krytycy zauważyli to podobieństwo mojej narracji ze sposobem, w jaki piszą Japończycy. Bardzo mnie to uszczęśliwiło, że jestem trochę japońska! U Murakamiego nagle wpada się do jakiejś studni albo dzwoni telefon, bohater odbiera i bach! Zaczyna się szalona historia, świecą dwa księżycy. Chciałabym zrobić kiedyś wywiad z Murakamim. Ostatnio była u mnie dziennikarka niemiecka i po wizycie u mnie, jechała na Hawaje spotkać się z nim. Przesłałam przez nią w prezencie kamień z mojej ukochanej wyspy. Mam nadzieję, że ten kamień nam ułatwi rozmowę. Podoba mi się też, że on po prostu robi to, co pisarz powinien robić, pisze książki. Że jest poza układami, koterynami, siedzi w swoim domu, w lesie, nie ma normatywnej rodziny. Biega i pisze książki.

– **Bohaterka Wyspy Łzy biega.. W Ciemności biega Alicja. I pani biega, Joanno.**

– Wkrótce pobiegne półmaraton berliński, jeden z bardziej malowniczych. Z przyjaciółką przebiegnę cały Berlin Wschodni i Zachodni, już niepodzielony. Już mi przeszła neoficka potrzeba ciągłego gadania o bieganiu. Po prostu biegnę.

– **Sri Lanka i Japonia. Która wyspa jest dla pani większą przygodą?**

– Japonia to miłość na całe życie. Spędziłam tam cztery lata. Wiem, że wrócić do Japonii, bo po kilku latach bez niej, tęsknię. Sri Lanka to tylko miesiąc, podczas którego chciałam się „nachapać” tamtejszej rzeczywistości. Może wrócić, może nie.

– **Pisarz to styl. Pani fraza jest porywająca, język soczysty. W powieści *Ciemno, prawie noc* dała pani cytat z Zafona: „Bóg tkwi w szczegółach, a diabeł jest wszędzie”. We wszystkich pani powieściach widzę ogromną dbałość o szczegóły, szczególnie w *Piaskowej Górze*. Jak to możliwe, że tyle w pani szczegółów, tyle pamięci do nich.**

– Czytelnicy mówią: pani nie może tego pamiętać. A jednak pamiętam. Myślę, że mam w swojej głowie ogromną spiżarnię, w której przechowuję słoje ze szczegółami, wszystkie zawekowane, z gumkami. Zamykam oczy i widzę spiżarnie, szafy w piwnicach na blokowiskach, gdzie kobiety z pokolenia mojej mamy przechowywały przetwory. Może fakt, że zajmowałam się antropologią kultury uwrażliwił mnie na wylawianie i wekowanie szczegółów. Jestem też osobą wrażliwą na zmysłową stronę świata, co w tropikach musiało wyjść na jaw w sposób bardziej dziki i szalony, niż gdybym pojechała, powiedzmy, na Grenlandię. Lubię jeść, lubię gotować, smakować, próbować najrozmaitszych rzeczy. Pamiętam, jak do Piaskowej Góry zostali zaproszeni harikrisznowcy ze swoim programem religijnym i kulinarnym, ten drugi był zdecydowanie ciekawszy. I wtedy po raz pierwszy, jako czternastolatka, spróbowałam smaku i zapachu Indii. To było dla mnie doświadczeniem kosmicznym, zapach i smak curry.

– W *Wyspie Łzie* fraza jest wyjątkowo płynna, ciepła, zmysłowa, chciałoby się powiedzieć, że kobieca, w takim sensie, w jakim pisała pani o kobiecości w *Japońskim wachlarzu*. Spogląda pani na japońską sekretarkę i w jednej chwili dociera do pani, że jest ona kwintesencją kobiecości.

– W *Wyspie Łzie* zmysły szaleją, rozum drzemie pod palmą. Tropiki dziwne rzeczy robią z głową. Tropiki i samotność.

Na Sri Lance chciałam przede wszystkim czuć, smakować, wachać, napawać się wszystkim. W Japonii bardziej – zrozumieć kulturową rzeczywistość, bo po raz pierwszy przyjechałam tam od razu na dwa lata.

– **Niezwykle plastycznie sportretowała pani Jadzię z Piaskowej Góry, prostą kobietę, pełną ciała i zakamarków.**

– To jest matka matek, archetypowa dla kobiet z pokolenia mojej mamy. Czytelnicy potem się dziwią, że moja mama nie wygląda jak Jadzia, ale też coś z mojej osobistej matki jest coś w Jadzi, i wiele córek odnajduje w niej swoją matkę, i wiele matek siebie. Jadzię stworzyłam z empatii, z odrobiny gniewu, z wielkiej potrzeby zrozumienia. W sumie to dosyć przytłaczająca postać, ale też moja ukochana.

– **W spiżarni gromadzi się zapasy. W Wyspie dużo pani pisze o wyrzucaniu. Napisala pani: „Dla reportera nie ma nic gorszego, niż zmyślać fakty, dla pisarza udawać, czy co smutniejsze wierzyć, że napisał dokładnie tak, jak było naprawdę”. Naprawdę pani wyrzuca?**

– Reporter powinien wyrzucać przejawy pychy i nadmiernego ego na korzyść dania głosu innym. Reporter opowiada o tym, co się naprawdę wydarzyło, pisarz wymyśla fikcję lepszą od prawdy. Pisarz powinien wyrzucać niepotrzebne przymiotniki i usuwać martwe teksty z komputera. Jeśli tekst jest trupkiem – wie się to i nie ma sensu w nim grzebać. Przez wiele lat, od podstawówki do studiów doktoranc-

kich, pisałam dzienniki i parę lat temu wyrzuciłam to wszystko do śmieci. Bez większego żalu. Trochę czułam, że tam nie ma nic ciekawego, a trochę bałam się, że komuś to wpadnie w łapy i w końcu będzie bohaterką skandalu.

– **Jak pani znosi krytykę?**

– Nie czytam recenzji. Są symboliczną przemocą. I dobre, i złe. Poza tym ja swoje wiem. Po prostu. Zawsze po każdej książce wycinam strusia.

– **To znaczy?**

– Robię to, czego wymaga ode mnie obowiązek promocyjny, a potem zajmuję się już swoimi sprawami. Jeśli pojawiają się większe opracowania krytycznoliterackie, to niekiedy je czytam, ale właściwie po wydaniu książki jestem już gdzie indziej. W nowej historii. Jestem tak skupiona na swoim życiu wewnętrznym, że świat zewnętrzny często wydaje mi się tylko jakimś nieważnym cieniem.

– **Do pisania potrzebna jest przede wszystkim odwaga i cierpliwość, żartobliwie dodając, że i wyrozumiała żona, o której marzy każdy pisarz. A pani napisała przekornie coś takiego: „Mam za sobą niejedną podróż, która mnie stargala, ale bardziej od dzikich Kirke potrzebuję Penelope”. Ma pani swoją Penelopę?**

T-ak, mam to szczęście. Ale kiedy czekam na niego w kolejnym mieście, do jakiego rzucił mnie los, to ja jestem Penelopą piekącą ciasto z gorzkiej czekolady.

[www.poradniajezykowa.pl](http://www.poradniajezykowa.pl)

## O perfumach historycznie i poprawnościowo

Zapytano Poradnię, czy poprawna jest reklama: *Sklep z dobrymi perfumami. Kup perfum dla siebie lub na prezent*. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie! (*ten*) *perfum*... Ręczownik, o którym mowa, w polszczyźnie występuje wyłącznie w liczbie mnogiej, odmieniając się następująco: MB. *perfumy*, D. *perfum*, C. *perfumom*, N. *perfumami*, Ms. *perfumach*.

Słowo *perfumy* pojawia się u nas po raz pierwszy w połowie XVI w. w pismach Reja i jest zapewne zapożyczeniem z dawnego włoskiego *perfumo* (dziś *profumo*), które odnosiło się do kadzenia, okadzania wonnym dymem (por. włoskie *fumare* ‘dymić’, *fumo* ‘dym’). Od włoskiego słowa w XVI w. wzięło też początek francuskie *parfum* (r. męski), a od niego forma angielska *perfume*. Współczesne słowniki podkreślają francuski rodowód polskiej formy *perfumy* (od *parfums*), ponieważ upowszechnienie się tego wyrazu dokonało się właśnie za spr-

wą języka francuskiego w wiekach XVIII i XIX. Siedemnastowieczny słownik Grzegorza Knapskiego *Thesaurus Polonolatinograecus* (Kraków 1643) podaje definicję: „perfumy, wonne rzeczy drogie robione, mokre, suche”.

Odmiana tego wyrazu w dawnej polszczyźnie wyglądała nieco inaczej niż dziś. Jak podaje S.B. Linde w swym *Słowniku języka polskiego* (Lwów 1807–1814), w tych czasach w użyciu była forma dopełniacza *perfumów*, którą dziś uważa się za błędną. *Słownik języka polskiego* wydany w Wilnie w 1861 r. zawiera już hasło w lp.: *perfuma* (r. żeński), podobnie jak *Słownik języka polskiego* pod red. J. Karłowicza, A. Kryńskiego i W. Niedźwiedzkiego (Warszawa 1900–1927), w którym dodano jednak, że *perfuma* częściej występuje w liczbie mnogiej: (*te*) *perfumy* – (*tych*) *perfum*. Wydany w 1937 r. *Słownik ortoepiczny* S. Szobera notuje już hasło w liczbie mnogiej *perfumy* i zaznacza, że żeńska *perfuma* – jak w podanym przykładzie z dzieł J.W. Goethego: *Pachniał miłą perfumą* – jest formą rzadką. Powojen-

ny *Słownik języka polskiego* pod red. W. Doroszewskiego również wskazuje, że wyraz ów rzadko występuje w liczbie pojedynczej, podaje także przykład z *Pana Tadeusza*, a więc z tekstu XIX-wiecznego: *Dobywa flaszki perfum, słoiki pomady, pokrapia Zosię wkolo wyborną perfumą*. Jeszcze w powojennej powieści K. Brandysa *Troja, miasto otwarte* znaleźć można fragment: *Pachniała biedną perfumą z konwalii*. Współcześnie interesujący nas rzeczownik jest używany prawie wyłącznie w liczbie mnogiej, a żeńskiej formy! (*ta*) *perfuma* jako regionalizmu wschodniego nie aprobuje żadna publikacja poprawnościowa, choć bywa używana dla żartu, jak np. w dialogu z filmu *Shrek: Siarka przy tym to! perfuma*).

Pojawiająca się czasem w komunikacji potocznej postać męska jest efektem skojarzenia formy *parfum* z francuskiego napisu *eau de parfum*, który widnieje na opakowaniach zagranicznych pachnidła, z rodzajem męskim – po spolszczeniu! (*ten*) *perfum*, bo polskie rzeczowniki zakończone na spółgłoskę są zwykle rodzaju męskiego. Tymczasem wzorcowy tekst reklamy z pytania powinien mieć postać: *Kup perfumy dla siebie lub na prezent*.

KATARZYNA WYRWAS

**W** języku staropolskim *dęga* wraz z wariantami *duga*, *duha* oznaczała „bliznę, pręgę, szramę” („Dęgami kogo nacechować” – można przeczytać w Słowniku Jana Mączyńskiego z r. 1564) oraz „tęczę” („Duha abo tęcza” – u Macieja Strykowskiego ok. 1547 – po 1582).

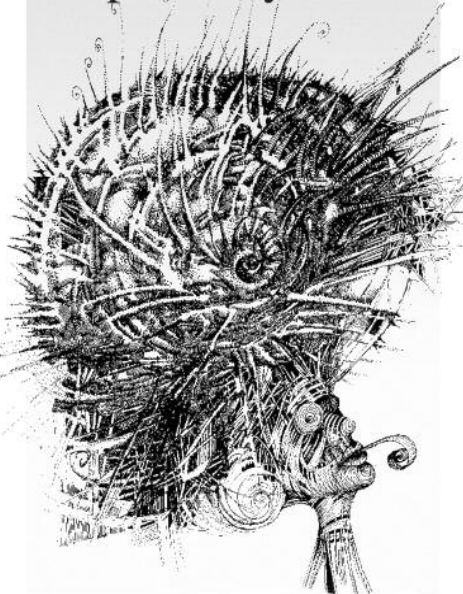
Jako *tęcza* funkcjonuje *dęga* w gwarach śląskich do dziś: „Po dyszczu wyszła dynga”, „Patrz, jako dynga na niebie” (Bożena Cząstka-Szymon, Jerzy Ludwik, Helena Synowiec; „Mały słownik gwary Górnego Śląska”, Katowice 2000, str. 52). O jej etymologię zaś prosi Pani E.B. z Katowic.

Rodowód zarówno *dęgi*, jak i *tęczy* jest bardzo archaiczny, praindoeuropejski. Proszę sobie wyobrazić, że z etymologicznego punktu widzenia pierwsza z nich należy do tej samej rodziny wyrazowej co przymiotnik *duży*, a podstawą obu tych form był praindoeuropejski rdzeń *dheugh* – „dotykać się, stykać się; cisnąć, wyciskać, doić; obficie udzielać, rozdawać”. Znaczenia „bardzo silny, mocny, krzepki”, „wielki” – związane z postacią *duży* – wykształciły się najprawdopodobniej z owego wcześniejszego „obfity, liczny, obficie udzielany” (Wiesław Boryś: „Słownik etymologiczny języka polskiego”, Kraków 2005, str. 134).

Tym, co semantycznie *dęgę* w znacznym stopniu łączy z *tęczą*, jest znaczenie „ściągać się, zbierać się, zbijać się” praindoeuropejskiego rdzenia *tenk-*, od którego *tęcza* pochodzi. Oznaczała ona najprawdopodobniej na początku „zbitą masę”, potem „chmurę (deszczową, burzową, gradową” – por. rosyjska *tucza* „chmura”) i dalej metaforycznie w poszczególnych językach słowiańskich „burzę, deszcz, gradobicie” (por. ukraińska *tucza* „burza”), a w naszym języku „tęczę po deszczu” (Boryś, str. 631).

*Tęcza* obficie jest reprezentowana w naszych cytatach literackich: „Milion tonów płynie; w tonów milijonie każdy ton ja dobyłem, wiem o każdym tonie; zgadzam je, dziele i łączę, i w tęczę, i w akordy, i we strofy płacę” (Adam Mickiewicz 1798-1855), „Smutno mi, Boże! – Dla mnie na zachodzie rozlałeś tęczę blasków promienistą” (Juliusz Słowacki 1809-1849), „Gdy po deszczu, po majowym, wstęga tęczy cicho spłynie, ja w wianeczku lilijowym biegam sobie po dolinie” (Cyprian Kamil Norwid 1821-1883),

## Śląska ojczyzna polszczyzna



JAN MIODEK

# Dęga, podwiel i ostuda

„Od Krakowa czarny las, nad tym lasem tęczy pas. Ona tam daleko, gdzieś za siódma rzeką, lecz Bóg tęczę związał nas. Z kolorowych siedmiu smug most przez niebo zrobił Bóg: po tęczowym moście aniołowie noście serce moje do jej nóg” (Lucjan Rydel 1870-1918).

\* \* \*

„Dzióbka dej, dzióbka dej, podwiel piyknie prosza” – upomina się o *dzióbka* „buziaka, całusa” chłopiec z popularnej śląskiej piosenki ludowej, a Pan Hubert M. z Gliwic prosi o parę słów na temat formy *podwiel*. – Jest ona wariantem postaci *podwiela*, *pokiel*, a wszystkie

one znaczą tyle, co „dopóki, dokąd, jak długo”. Do przywołanego *podwiel piyknie prosza* „dopóki, dokąd piyknie proszę” dołączyć możemy chociażby cytaty z „Małego słownika gwary Górnego Śląska” Bożeny Cząstki-Szymon, Jerzego Ludwiga i Heleny Synowiec z roku 2000: „Podwiela ci móm godać, co byś tu nie gruchoł”, „Podwiel styknie, bydymy sadzić banie”, „Pokiel tu bydiesz miyszkoł, durś bydzie łostuda”.

Spójnikowa para *podwiela* – *podtela* jest natomiast w gwarach śląskich odpowiednikiem standardowych połączeń *dopóty* – *dopóki*, *dotąd* – *dokąd*: „Podwiela siyngo ta grzondka, podtela bydymy sioć”.

Dla porządku dopowiedzmy, że obecna w przytoczonych wyżej cytatach *bania* to po śląsku „dynia”, że nawiązujące do niemieckiego *durch* warianty *durch*, *durś* „ciągle, stale” występują w naszym regionie wariantywnie obok to samo znaczącego *ciyngiym* („Niy powtorzej tego durś a ciyngiym!”) i że wreszcie *łostuda* (*ostuda*, *łuszczuda*) to „zgorzenie, wstyd”, „kłótnia, nieporozumienie”: „Narobióła łostudy przed całóm wsióm”, „Siejóm ta ostuda przed dzieciami” „Dziółchy, niy róbcie łostudy”, „Bydzie łuszczuda z tych waszych plotków”, „Czasym takie babskie godanie doprowadzi do ostudy”.

*Ostuda* jest derywatem od *ostudzić* – strukturalnie takim samym jak *narada* od *naradzić* (*sie*), *zgoda* – od *zgodzić* (*sie*) czy *krzywda* od *krzywdzić*, a dosłowne jej znaczenie związane z „ochłodzeniem” stało się podstawą znaczenia wtórnego, metaforycznego, wiodącego do „zgorzenia, wstydu”.

W „Słowniku etymologicznym języka polskiego” z roku 1927 przy haśle *ostudzić* Aleksander Brueckner użył parafrazy „obmierzić sobie kogoś”, także przybliżającej znaczenie *ostudy*. Same zaś formy *zmierzły* „rozdrażniony, drażliwy”, „niecierpliwy, marudny” oraz *zmierzło się komuś* „znudziło się, sprzykrzyło się, zbrzydło” w gwarach śląskich występują zdecydowanie częściej niż w języku ogólnopolskim: „Bydzie dyszcz, bo dzieci takie zmierzle od rana”, „Niy bydź taki zmierzły, pogodej z dzieciami”, „Coś taki zmierzły, osa cie ugryzła?”, „Zmierzło mi sie już do niego ciyngiym godać” (Cząstka-Szymon, Ludwik, Synowiec: op. cit.).



Przy Grünstrasse 13 w Katowicach, czyli przy dzisiejszej ulicy Żwirki i Wigury, urodził się Georg Thomalla 14 lutego 1915 roku.

# Thomalla jak Kobiela

JAN F.  
LEWANDOWSKI

**Nigdzie bodaj, w żadnych mediach, nie odnotowano setnej rocznicy urodzin aktora Georga Thomalla. Podejrzewam, że mało kto o nim słyszał, także o jego katowickich korzeniach. Spróbuję nadrobić to niedopatrzenie.**

**Jak** Willy Fritsch przed wojną, tak Georg Thomalla należał do najpopularniejszych aktorów powojennego kina niemieckiego, a ściślej mówiąc zachodniemieckiego. W odróżnieniu od amanta Fritscha, pochodzącego też z Katowic, Thomalla zapisał się w kinie niemieckim rolami komediowymi.

Przyszły komik Georg Valentin Thomalla urodził się 14 lutego 1915 roku w Katowicach. Był synem inspektora sądowego Blasiusa Thomalli i Marii z domu Damas. Jego rodzice pochodzili z Laurahütte (dzisiejsze Siemianowice Śląskie), a w Katowicach zamieszkali w narożnej kamienicy przy Grünstrasse 13 (czyli przy dzisiejszej

ulicy Żwirki i Wigury 13), skąd niedawno było do gmachów sądowych przy Mikołowskiej i Andrzeja. Było to wtedy, gdy Katowice rozwijały się już w kierunku południowym, po drugiej stronie torów kolejowych.

## Znad Rawy i Odry

**W** napisanych pod koniec życia wspomnieniach Georg Thomalla zapisuje Katowice zaledwie w kilku zdaniach. Zamieszcza jednak zdjęcie rodzinne z 1916 roku, na którym rozpoznąć można rodziców i czwórkę dzieci. Z jego wspomnień wiemy, że miał siostrę i dwóch starszych braci.

Niemniej z Katowicami Georg Thomalla pożegnał się już w dzieciństwie, gdy po plebiscycie 1921 roku miasto przyznano Polsce i rodzina Blasiusa Thomalli przeprowadziła się do Opoli. Nastąpiło to w 1921 albo 1922 roku. Najważniejsze lata młodości spędził w Opolu, gdzie uczęszczał do gimnazjum i oglądał w kinach pierwsze filmy. Wcześniej stracił rodziców i wychowywał się w sierocińcu. Najpierw kształcił się na kucharza i zdał nawet egzamin czeladniczy, ale ciągnęło go zdecydowanie w nieco inne rewiry.

Na scenie pojawił się po raz pierwszy w 1932 roku, gdy dzięki starszemu bratu – tenorowi dostał maleńką rolę w operetce „Kraina uśmiechu” Franza Lehara w Hamburgu. Trzy lata później zagrał w prestiżowym Theater am Nollendorfpfatz w Berlinie, by kolejne spędzić w prowincjonalnych zespołach w Gelsenkirchen i Gerze. Do Berlina powrócił w latach II wojny światowej.

Natomiast karierę aktora filmowego rozpoczął niewielką rolą w filmie „Ihr erstes Erlebnis” (*Moje pierwsze doświadczenie*) w reżyserii Josefa von Baky w 1939 roku. Do końca wojny zdążył zagrać w kilkunastu filmach, w tym w propagandowym „Stukasie” Karla Rittera w 1941 roku. Jednak tak naprawdę jego kariera rozwinęła się dopiero w okresie powojennym.

## Fanfary miłości

**P**rzelomowa dla kariery Thomalla okazała się kreacja w filmie „Peter Voss, der Millionendieb” (*Peter Voss, złodziej milionów*) w reżyserii Karla Antona w 1946 roku. Bo odtąd wcielał się konsekwentnie w role komediowe, wyrabiając sobie stopniowo pozycję czołowego komika kina zachodniemieckiego. Zdarzały mu się także role dramatyczne, lecz jego specjalnością stały się zdecydowanie role komediowe.

Niebywałą popularność zyskał dzięki roli muzyka w kobiecym przebraniu w filmie „Fanfaren der Lieber” (*Fanfary miłości*) Kurta Hoffmanna w 1951 roku. Z sukcesu Thomalla skorzystał po kilku latach amerykański reżyser Billy Wilder, który nakręcił w oparciu o podobną fabułę „Pół żartem, pół serio” z Marilyn Monroe i Jackiem Lemmonem. Gdy film Wildera trafił na niemieckie ekrany, właśnie Thomalla dubbingował Lemmona w niemieckiej wersji językowej. Spotkali się dopiero na festiwalu w Berlinie w 1996 roku, gdy amerykańskiego aktora wyróżniano Srebrnym Niedźwiedziem za całokształt twórczości.

W latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i jeszcze nawet siedemdziesiątych Thomalla pojawiał się na ekranie przeważnie w kilku filmach rocznie i niemal wyłącznie w rolach komediowych. W sumie zagrał w niespełna 100





# Z Porto Alegre do... Tallina

KRZYSZTOF KOŚCIŃSKI

Niektórzy twierdzą, że była hitem minioniej kampanii samorządowej – bezpłatna komunikacja miejska. Nie da się tego jednoznacznie udowodnić, ale podobno jej wprowadzenie lub taka zapowiedź pozwoliły kilku prezydentom (burmistrzom, wójtom) utrzymać swoje stanowiska albo przeciwnie – wygrać wybory tym, którzy uczynili z niej jedno z głównych haseł swojej kampanii. Czy to przeważało? Wymagałoby to szczegółowych, kosztownych badań opinii publicznej. Natomiast faktem jest, że w kilkunastu polskich miastach bezpłatną komunikację wprowadzono w ciągu jednego, wyborczego, 2014 roku.

## Podstawowe pytanie: po co?

Entuzjaści podkreślają, że dla wielu wydatek na bilety miesięczne to istotna pozycja w domowym budżecie, a dla miast, które i tak do transportu dopłaca, to wydatek duży, ale „do przełknięcia”.

Sam się zdziwiłem, jak zacząłem czytać uzasadnienia uchwał o wprowadzeniu bezpłatnej komunikacji lub ich zapowiedzi. Czego tam nie ma, co za gama oczekiwań i życzeń! Najczęściej pojawia się argument o zachęcaniu w ten sposób do korzystania z komunikacji miejskiej, żeby rozładować korki i zmniejszyć ruch samochodów osobowych. Np. Nysa wprowadziła bezpłatną komunikację dla kierowców. Z prawem jazdy i dowodem rejestracyjnym nie trzeba kupować biletu.

Czasem uzasadnienie jest bardziej wyrafinowane. Bezpłatna komunikacja ma skłonić do... zameldowania się w danym mieście i – co za tym idzie – płacenia w nim podatków. Tak głoszą np. władze małego miasteczka Ząbki. Żeby jeździć „za darmo” trzeba być zameldowanym w mieście. Ale w nowych dowodach osobistych już nie ma rubryki z adresem zamieszkania. Trzeba więc wyrobić sobie specjalną „kartę mieszkańca” i z nią jeździć. Organizator komunikacji musi nadal zatrudniać kontrolerów i drukować oraz sprzedawać bilety zamieszkawcom. Tak ma być w Tomaszowie Mazowieckim, gdzie nowy prezydent obiecywał wprowadzenie bezpłatnej komunikacji dla miesz-

kańców, jako element projektu pod nazwą „Karta tomaszowianina” mającego zachęcić do pozostania i osiedlania się w tym mieście. Tomaszów ma 17 linii i 39 autobusów.

W małym mieście Głowno władze chcą z kolei zachęcić do korzystania z kolei podmiejskiej i dlatego linia autobusowa do dworca jest bezpłatna. To pojedyncza linia obsługiwana przez zaledwie jeden mikrobus.

W niewielkim Gostyniu to efekt głosowania w ramach budżetu obywatelskiego.

W śląskich Żorach za darmo jeżdżą wszyscy, bo samorząd uznał, że najwygodniej jest nie dzielić pasażerów na swoich i przyjezdnych, dzięki temu pozbywając się kłopotu z biletami czy kontrolerami.

W Jastrzębiu Zdroju w prezentacji internetowej kandydatki, która obiecywała bezpłatną komunikację (i wygrała niedawne wybory), można było wyczytać, że celem jest „ożywienie życia społecznego, działania prorodzinne, wyrównywanie szans, zrównoważony rozwój i większa mobilność”. Specjalistyczny portal poświęcony komunikacji zbiorowej przytomnie zauważył, że jest to „wszystko, co tylko można do takich celów wpisać”.

Zauważyliście, iż najrzadziej (wręcz prawie nigdy) nie pada argument, że ma to być taki „ukłon” w stronę mieszkańców, taki „socjał” to prostu? Ale skoro nie „socjał”, to dlaczego wszystkie decyzje zapadały w 2014 roku czyli roku wyborczym?

## Sprawiedliwie czy po równo?

Coraz częściej zastanawiam się, czy największym zagrożeniem dla racjonalnego myślenia w samorządzie nie jest właśnie populizm? W marcu pisałem na tych łamach o tzw. budżetach obywatelskich. Przy kosztach komunikacji zbiorowej budżety obywatelskie to „pikuś”.

Cóż, święte prawo samorządu, władzy wybieranej przez wszystkich mieszkańców, żeby (byle zgodnie z przepisami) decydowała o tym, jak i na co dzielone będą podatki, którymi dysponuje. Chyba wszyscy wiedzą, że wszędzie komunikacja zbioro-

wa jest z tychże podatków dotowana. W tej części aglomeracji śląskiej, gdzie organizatorem komunikacji jest KZK GOP, już przed laty przyjęto generalną zasadę, że z grubsza odbywa się to „pół na pół”. Połowa pieniędzy ma pochodzić z dotacji miast, połowa – z biletów. W rzeczywistości proporcje te są już od dość dawna zachwiane i z biletów owej połowy się nie uzbiera. Składa się na to wiele przyczyn, m.in. zrozumiała niechęć lokalnej władzy do niepopularnych decyzji i kolejnych podwyżkach cen biletów. Do tego dochodzą np. nakłady, jakie trzeba ponieść, żeby doprowadzić zapuszczone Tramwaje Śląskie do jakiegoś takiego poziomu. Nie czas i nie miejsce tutaj na szczegółową analizę przyczyn takiego stanu rzeczy. Czy tego chcemy, czy nie – taki jest punkt wyjścia dzisiejszych rozważań.

O jakich pieniądzach mówimy? Oto kilka losowo wybranych przykładów: Zabrze co roku do komunikacji dokłada 31 mln złotych, Katowice – 91 mln zł, Gliwice (gdzie zlikwidowano drogą komunikację tramwajową) – prawie 26 mln złotych. Nikogo chyba nie dziwi, że im większe miasto, tym większe dotacje. Dla porównania, w Warszawie komunikacja miejska kosztuje ponad 2 mld zł rocznie, a wpływ z biletów to ok. 800 mln zł. We Wrocławiu te liczby to ponad 300 mln i ok. 160 mln zł z biletów.

## Sztandarowy przykład z naszego podwórka

Z prawnego punktu widzenia nie ma większych przeszkód. Ekonomicznie też wydaje się to dosyć proste. Jeśli gmina X co roku dotuje komunikację kwotą np. 2 mln złotych, a wpływy ze sprzedaży biletów wynoszą drugie tyle, to wystarczy uchwalić, że wyda się na komunikację 2 + 2 czyli razem 4 mln zł, a bilety przejdą do historii. Prosta arytmetyka na poziomie szkoły podstawowej? Przecież 2 + 2 = 4. Jeśli zatem gminę stać, to jej święte prawo. Arytmetyka może i prosta, ale już cała reszta do prostych nie należy...

Żory wprowadziły bezpłatną komunikację od maja 2014. Kilka miesięcy wcześniej doradca prezydenta ds. polityki promocji i informacji (zauważcie, jaki to doradca...) mówiła wtedy dziennikarzom:

– Systematycznie spada liczba pasażerów, a koszty komunikacji rosną. Pociąga to za sobą wzrost cen biletów, a w jeszcze większym stopniu – wzrost dopłaty z budżetu gminy do komunikacji. Obecnie dopłata z budżetu gminy do komunikacji wynosi bardzo dużo, bo aż 72 proc. kosztów przewoźnika. Stwierdziliśmy, że w związku z dosyć zwartą komunikacją miejską – tylko 12 linii autobusowych – miasto może sobie pozwolić, aby komunikacja miejską była bezpłatna. W tej chwili dopłata wynosi około 2,4 mln zł. Szacujemy, że rocznie będzie nas to kosztowało 3,3 mln zł. Tak naprawdę w skali rocznego budżetu miasta nie jest to aż tak wiele. Nasz budżet to około 240 mln zł, więc 900 tys. zł nie stanowi dużego dodatkowego obciążenia.

Tak było, a jak jest? Dziennik Zachodni donosił niedawno: Jedziemy za darmo, ale za to w tłoku. Skala wzrostu najwyraźniej zaskoczyła nawet samych pomysłodawców wprowadzenia bezpłatnej komunika-

*cji, czego dowodem jest... tłok panujący w pojazdach komunikacji miejskiej. /.../ – To się zmieni. Będzie więcej kursów i większe autobusy – obiecuje prez. Waldemar Socha. Czy w ślad za wprowadzeniem bezpłatnej komunikacji ubyłoby samochodów z żorskich ulic? Jednoznacznych dowodów na to nie ma, nikt bowiem tego nie mierzył. – Skoro jednak w autobusach jest więcej nie tylko młodzieży, ale też dorosłych, to pewnie zostawili swoje samochody w garażach. Zresztą widać, że problem korków nie narasta – argumentuje Socha.*

W budżecie Zor na 2015 r. przewidziano już 3,7 mln zł na komunikację. A miało być 3,3 mln zł... Przewodniczący Zarządu KZK GOP Roman Urbańczyk mówi wprost: – *W Żorach przekonali się już, zapłacili drugie tyle, tylko za to, żeby utrzymać komunikację na dotychczasowym poziomie. Autobusy już muszą być większe, bo te małe, które tam jeździły, już nie wystarczają.*

Żory – jak wspominałem – są „na sztyndarach”, ale wcale nie są jedyne w naszym regionie. Gminną Darmową Komunikację (tak się to wręcz oficjalnie nazywa) wprowadziły Świerklany. To dwie linie: Świerklany – Żory i Świerklany – Wodzisław Śląski. Ale uwaga: darmowa komunikacja gminna dla osób wsiadających i wysiadających w Świerklanach obowiązuje od poniedziałku do piątku.

Od 2 września 2014 r. bezpłatna komunikacja dla mieszkańców gminy ruszyła w Ormontowicach. Ta „komunikacja” to autobus, który w dni robocze wykonuje 7 kursów, w niedziele i święta – 3 kursy. Autobus – brzmi dumnie, ale przewozy wykonywane były (jak można wyczytać na stronie internetowej gminy) jednym pojazdem o pojemności 35 miejsc, w tym 21 miejsc siedzących. W sierpniu ub. roku wójt Ormontowic ogłosił przetarg na wyłonienie nowego przewoźnika. Wg specyfikacji przetargowej wykonawca winien posiadać w stałej dyspozycji już... minimum dwa autobusy o pojemności co najmniej 30 miejsc. Tak w naszym regionie jest. A jak ma być?

W Jastrzębiu Zdroju Anna Hetman, która w czasie kampanii samorządowej obiecywała wprowadzenie bezpłatnej komunikacji, pokonała w wyborach prezydenckich poprzednika, rządzącego przez trzy kadencje. Niedawno na łamach serwisu gazeta.pl poinformowała, że trwają obliczenia, ile taka zmiana może kosztować. Choć ilość wozokilometrów realizowanych co roku się nie zmienia, to miasto płaci za transport coraz więcej. W 2014 r. wydano na ten cel ponad 12 mln zł, czyli ponad 2 mln więcej niż rok wcześniej, 2,5 mln zł więcej niż dwa lata wcześniej i 4,5 mln zł więcej niż w 2011 r. Uproszczenie finansowania ma przynieść oszczędności.

W Rudzie Śląskiej z kolei urzędująca prezydent w czasie kampanii zapowiadała darmową komunikację. Tyle że Ruda jest członkiem KZK GOP, a jej komunikacja stanowi część bardzo skomplikowanego systemu rozliczeń całej aglomeracji. Obecnie, wedle oficjalnych informacji, trwają przygotowania do likwidacji biletów dla linii, które nie wykraczają poza granice miasta. Ruda Śląska ma 29 linii autobusowych, w tym 5 wewnętrznych.

Przew. Zarządu KZK GOP Roman Urbańczyk jest elegancki w swojej ocenie wyborczych obietnic prezydent Rudy Śląskiej: – *Podejrzewam, że Pani Prezydent została wprowadzona w błąd przez swoich współpracowników. Jak dokładnie jej pokazaliśmy, jaki to jest koszt, jakie są sposoby rozliczeń, ile to docelowo będzie kosztowało, to entuzjazm chyba trochę wystrygl...*

### Co Porto Alegre ma wspólnego z Tallinem?

**J**ak pisałem w marcu, budżet obywatelski narodził się w egzotycznym Porto Alegre, mieście, w którym mało kto był, ale które stało się guru entuzjastów tego pomysłu na całym świecie, a w Polsce jest ich wyjątkowo wielu. Z kolei kolebką bezpłatnej komunikacji miejskiej stał się estoński Tallin. To miasto jest dużo bliżej niż brazylijskie Porto Alegre, ale podejrzewam, że równie rzadko odwiedzane przez Polaków. To jednak nie przeszkadza populistom. Portal „Transport Publiczny” tak oto opisuje efekty tallińskiego eksperymentu:

*Realizacja pomysłu miała przynieść tłumy nowych pasażerów i jednocześnie ograniczyć liczbę prywatnych samochodów na drogach miasta. Pierwsze analizy pokazują jednak, że tylko w niewielkim stopniu udaje się realizować to, co wcześniej założono. Wg badań, użytkowników komunikacji miejskiej przybyło tylko o 1,2 proc. Jak twierdzą niektórzy, to wynik na pograniczu tzw. błędu statystycznego. Autorzy badań podkreślają jednocześnie, że nowi pasażerowie komunikacji miejskiej Tallina to raczej nie kierowcy prywatnych samochodów, a piesi, którzy z powodu bezpłatnych przejazdów zrezygnowali ze spaceru na rzecz komunikacji miejskiej. Władze Tallina wciąż jednak chwala się projektem.*

Zwolennicy budżetu obywatelskiego bezkrytycznie głoszą opinie, że w Porto Alegre dał on wspaniałe wyniki – z reguły delikatnie pomijając jakiegokolwiek konkrety. Podobne zjawisko obserwujemy w przypadku tallińskiej komunikacji miejskiej. Tak na marginesie, oto przykład, jak się uprawia populizm w wydaniu dziennikarskim. W rozmowie z prezydentem jednego z miast, dziennikarz wypowiada zdanie: „*miasta takie jak Tallin, z dużo bardziej rozbudowaną siecią komunikacji miejskiej, zdecydowały się na wprowadzenie bezpłatnych przejazdów*”. Wszystko prawda, oprócz tego, że nie „miasta”, tylko „miasto” i nie „zdecydowały”, tylko „zdecydowało”. Pozostałe to miasta o niebo mniejsze...

I tu powraca odwieczna dyskusja o tym, jak powinno się dzielić kasę z podatków? Nieśmiertelne pytanie: sprawiedliwie czy po równo?

Przew. Zarządu KZK GOP Roman Urbańczyk stawia sprawę jednoznacznie: – *Komunikacja nie może być traktowana inaczej niż wszystkie usługi komunalne. Dlaczego za wodę czy odbiór śmieci płacimy i to dużo? Można sobie przecież wyobrazić, że gmina podejmuje decyzje, iż woda będzie za darmo (czyli w pełni dotowana z podatków). Jaki byłby skutek darmowej wody? Zużycie było-*

*by o wiele większe. Ludzie po prostu nie szanują tego, co jest darmowe.*

Poza tym, to nie jest tak, że jak teraz połowę płaci gmina, a połowę pasażerowie, to jak się tę drugą połowę dopłaci, to wystarczy. Jeśli będzie jeździć więcej pasażerów, to będą naciski dużo większe, żeby jeździły większe autobusy, żeby było więcej kursów. W Żorach już to zauważyli, że np. młodzież szkolna, która ma jeden przystanek do szkoły – teraz masowo jeździ autobusami.

Między komunikacją bezpłatną, a tą obecną jest cała przestrzeń do wypełnienia, np. bilety bezpłatne dla różnych grup społecznych. Pomagać trzeba tym, którzy są biedni, którzy sami sobie nie dają rady – np. rodziny wielodzietne. To i tak kosztuje bardzo dużo.

Oczywiście, to jest chwytna ideologia. Na konferencji Izby Gospodarczej Komunikacji Miejskiej w Głogowie w ubiegłym roku powiedziałem, że to jest jak choroba, która się rozprzestrzeniła. Półzartem porównałem to do komunizmu. Ta ideologia też była chwytna i wielu ludzi na świecie dało się na nią nabrać, ale nikt nie potrafił tego realizować. W przypadku miast średnich i dużych nie ma żadnych szans na komunikację bezpłatną. Miasta i tak dopłacają bardzo dużo, jak na możliwości swoich budżetów. To mówią również naukowcy. Prof. Robert Tomanek z Uniwersytetu Ekonomicznego powiedział dokładnie to samo: *chcemy komunikacji bezpłatnej, czy dobrej? Jego zdaniem, to się wzajemnie wyklucza.*

### Podsumowanie niepoprawne politycznie

**N**ie chcę i nie mam zamiaru podważać prawa lokalnych władz do podejmowania (zgodnych z prawem) decyzji, nawet jeśli są one dyskusyjne. Wszak właśnie na tym polega największa wartość samorządności lokalnej.

Wciąż tylko chodzi mi po głowie myśl, że o wiele łatwiej rzucić hasło, nawet wprowadzić je w życie, niż potem się z niego wycofać z powodu twardych realiów ekonomicznych...

A na dodatek pojawiają się problemy natury bardzo delikatnej, o których niechętnie mówi się otwartym tekstem. W miastach, które wprowadziły bezpłatną komunikację (także w śląskich Żorach) pojawił się drażliwy „skutek uboczny”. Bezdomni i tzw. menele, gdy było zimno, zaczęli jeździć autobusami, bo tam było ciepło. Powiedzmy sobie szczerze i otwarcie – często z powodu straszczącego zapachu, podróż w takim towarzystwie staje się jedynym wielkim koszmarem. Ale – co może kogoś dziwić – ci ludzie znają swoje prawa. Doskonale wiedzą, że nie ma sposobu, żeby ich wyrzucić z tego autobusu. Mają prawo jeździć po całym mieście, od pętli do pętli...

*Opinie wyrażone w niniejszym artykule są wyrazem poglądów autora i nie zawsze są tożsame ze stanowiskiem samorządów lokalnych i organizacji samorządowych w województwie śląskim.*



Polski kalendarz ekologiczny przypomina o ratowaniu środowiska naturalnego przez kilkadziesiąt dni w roku. Najczęściej w październiku, ale... najgłośniejszą wiosną. Wtedy obchodzimy m.in. dni wody, ziemi, lasu i zadrzewień, ochrony ptaków wędrownych i różnorodności biologicznej, praw zwierząt, przyrody i ochrony środowiska na świecie. Te dni oraz wydarzenia i imprezy z nimi związane zawsze są impulsem do ekologicznego świętowania.

W ostatnich latach jego miejscem jest Park Śląski w Chorzowie, realizujący swój bogaty projekt pn. „EkoPark”. W scenariuszu tego projektu wpisana się również plenerowa uroczystość, podczas której Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach nagradza najbardziej aktywne organizacje pozarządowe za edukację i promocję ekologiczną w regionie.

Od 2008 roku jedna z największych imprez katowickiego Funduszu..., który tym razem postanowił uhonorować nagrodami finansowymi, o łącznej wartości stu pięćdziesięciu tysięcy złotych, porządkiem organizacji i instytucje promujące ekologię i żywą, atrakcyjną i różnorodną edukację w tej dziedzinie.

Uroczystość, która odbyła się w ostatnią sobotę maja br. na parkowej Dużej Łące, zgromadziła setki mieszkańców. Wpisanie uroczystości z EkoAktywnymi w scenariusz imprez parkowych, przygotowanych z okazji Międzynarodowego Dnia Ochrony Środowiska i „pokrewnych” dni ekologicznych, okazało się, nie po raz pierwszy, znakomitym pomysłem. W scenarii pikniku z wystawami fotograficznymi, kiermaszem książek przyrodniczych, żywności, wyrobów i pokazów spod znaku „eko” oraz filmowych projekcji i prelekcji, a nawet zajęć sportowych dla zdrowia, każdy mógł wybrać coś dla siebie. I poznać laureatów konkursu „Eko-Aktywni”.

### Laureaci

W tym roku wśród nich znaleźli się: Związek Harcerstwa Polskiego – Komenda Chorągwi Śląskiej w Katowicach za przygotowywanie akcji regionalnych i ogólnopolskich. Takich jak: prowadzenie Harcerskiego Centrum Edukacji Ekologicznej w Chorzowie; ogólnopolska „Gra w zielone”; kampania „Zielona kreatywność” i profilaktyka zdrowotna, połączona z plenerową edukacją ekologiczną kilkuset dzieci z woj. śląskiego.



*EkoAktywni w Parku Śląskim z Andrzejem Pilotem, prezesem zarządu WFOŚiGW w Katowicach*

## EkoAktywni w Parku Śląskim

Liga Ochrony Przyrody – Okręg w Częstochowie za profesjonalną organizację konkursów: „Mój las”, regionalny konkurs dendrologiczny pt. „Znam drzewa i krzewy” oraz wiele projektów edukacyjnych. Wśród nich były: Dni Lasu i Zadrzewień, warsztaty o udziale społeczeństwa w tworzeniu „Planu zadań ochronnych obszarów Natura 2000” oraz „Złaz leśny”.

Polska Izba Ekologii otrzymała nagrodę za profesjonalną edukację ekologiczną dla przedsiębiorców. Składają się na nią: szkolenia i seminaria o opłatach za korzystanie ze środowiska; o obowiązkach przedsiębiorców w zakresie zbiorczego zestawienia danych o odpadach; o sposobach wdrażania nowego modelu gospodarki odpadami komunalnymi oraz publikacja „Ekologia w praktyce”.

Stowarzyszenie „Z nauką w przyszłość” znane jest w szczególności z organizacji ogólnopolskiego konkursu „Fizyka a ekologia”. Dużą popularnością cieszą się jego warsztaty objazdowe Laboratorium Fizyki czyli fizyka i chemia w piaskownicy dla małych badaczy przyrody.



*Inauguracja akcji „Sprzątanie Świata” – Polska*

Fundacja Ekologiczna ARKA z Katowic słynie w Polsce z akcji niekonwencjonalnych. Do nich zalicza się autorski projekt „Listy do Ziemi”, ale i „Mobilne Centrum Edukacji Ekologicznej” oraz akcja odpadowa „Nie bądź jednorazowy”.

Stowarzyszenie SOPEL w Będzinie kojarzy się z konkursem „Poznajmy Parki Krajobrazowe Polski”, warsztatami na temat odpadów „Poznaj z bliska złe strony nielegalnego wysypiska” oraz projektami edukacyjnymi dla najmłodszych.

Polski Klub Ekologiczny w Krakowie – Koło Miejskie w Gliwicach wyróżniło się akcjami: „Bers Implementation”, „Coś z niczego – Rudzicka Pracownia Rękodzieła” oraz ciekawą wystawą fotografii przyrodniczej pt. „Miejskie pszczoły”.

Centrum Edukacji Przyrodniczej „Ziemia i My” została nagrodzona w szczególności za programy edukacyjne „Ekologia po sąsiedzku”, projekt „Smog – nasz miejski smok” oraz warsztaty z cyklu „Środowisko naszego regionu i jego ochrona”.

Stowarzyszenie „Nasze Kalety” za akcje ekologiczne dla społeczności lokalnej, zwłaszcza dla dzieci podczas ferii.

Polski Klub Ekologiczny, koło w Skoczowie uhonorowano za organizację szkolenia dla nauczycieli powiatu cieszyńskiego na temat odnawialnych źródeł energii; Natura 2000 oraz międzyszkolny konkurs ekologiczny.

Stowarzyszenie dla natury „Wilki” w Godziszczach nagrodzono za programy telewizyjne: „Las story”, „Blżej natury”, „Eko-film 2012” i warsztaty edukacyjne.

### W Ogrodzieńcu

Do kalendarza stałych eko – imprez w naszym regionie wpisano również „Sprzątanie Świata”. To międzynarodowa akcja ekologiczna, którą „zaszczepiła” w Polsce mieszkająca w Australii Polka – Mira Meysztowicz w 1994 roku. Jej organizatorem jest Fundacja „Nasza Ziemia”, a koordynatorem na Śląsku – Fundacja Zielonej Ligi, współpracująca w tym przedsięwzięciu z Regionalną Dyrekcją Lasów Państwowych w Katowicach.

Według kalendarza rozpoczęcie tej akcji zapisano na wrzesień, ale... w tym roku w Polsce została ona, dzięki wsparciu WFOŚiGW w Katowicach, zainaugurowana w ostatni dzień maja na Zamku w Ogrodzieńcu. To dobry, bo turystyczny okres, by promować nie tylko samo sprzątanie, co postępowanie z odpadami. Piknik odpadowy w Ogrodzieńcu zgromadził tysiące mieszkańców i turystów. Byli oni świadkami finału szkolnych konkursów ekologicznych, poświęconych odpadom.

(mat)



W zabrzańskiej „Concordii” wstrzymano produkcję równo trzydzieści lat temu. Bardziej ze względów technicznych niż ekologicznych. Stara koksownia i tak rozpadła się ze starości. Od tamtego czasu miasto dokonało milowego skoku w porządkowaniu przestrzeni po przemyśle. Z bogatą spuścizną przemysłową, wkroczyło też odważnie na europejski szlak kultury i turystyki. I dalej skutecznie otwiera Śląsk z jego kulturowym dziedzictwem dla postindustrialnej turystyki.

Na szlaku zabytków techniki województwa śląskiego Zabrze jest niekwestionowanym liderem. Ze względu na konsekwentne odzyskiwanie przestrzeni „po przemyśle”, ofertę turystyczną i kulturalną zabytkowej kopalni Guido, jedynego miejsca w Europie, gdzie turyści mogą zjechać pod ziemię kłatką górniczą. W szczególności za wpisywanie idei odzyskiwania zdegradowanej górnośląskiej przestrzeni w europejski i światowy nurt.

Rejestrują to najlepiej od 2004 roku przygotowywane przez miasto Zabrze, z wsparciem Światowej Organizacji Turystycznej oraz Ministerstwa Sportu i Turystyki, konferencje naukowo-praktyczne, poświęcone turystyce dziedzictwa przemysłowego XIX i początków XX wieku.

W zabrzańskich konferencjach od lat prezentowane są instytucje unijne, Rada Europy, OECD (międzynarodowej Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju), UNESCO oraz organizacje pozarządowe. Wśród nich Europejski Szlak Dziedzictwa Przemysłowego i Komitet Ochrony Dziedzictwa Przemysłowego. Każda kolejna konferencja wzbogaca dorobek dziedzictwa przemysłowego i kultury technicznej.

Owocem pierwszej było uchwalenie rezolucji, dedykowanej administracji centralnej i samorządom, dysponentom dziedzictwa przemysłowego, branży turystycznej, środowiskom nauki oraz mediom. Szczególnym osiągnięciem było utworze-

nie w Zabrzu w 2008 roku Międzynarodowego Centrum Badań i Dokumentacji nad Dziedzictwem Przemysłowym dla Turystyki.

Małgorzata Mańka-Szulik, prezydent miasta jest przekonana, że wspólne, międzynarodowe działania promujące ochronę dziedzictwa postindustrialnego są dla Zabrza, szanującego tradycję i tożsamość regionalną i równocześnie otwartego na nowoczesne technologie i innowacyjność, bardzo ważne. Otwierając XII Międzynarodową Konferencję Naukowo-Praktyczną „Kultura, sztuka i przedsiębiorczość w prze-

## Na poprzemysłowym szlaku

strzeni przemysłowej” (odbyła się 21-22 maja br.) zaapelowała, by o turystyce postindustrialnej mówić jak najczęściej i jak najczęściej. Przynosi przecież spore dochody i znakomicie wpisuje się w to wszystko, co ogólnie możemy zaprezentować. Zastanawiamy się więc dalej, jak wzbogacać nasze turystyczne atuty, dodała M. Mańka-Szulik, prezydent Zabrza.

Miejscem ostatniej konferencji była należąca do firmy DEMEX, Cechownia dawnej kopalni Ludwik. (W części jej budynków Stowarzyszenie Kopalnia Sztuki prowadzi działalność kulturalną). Jej organizatorem jest od początku Miasto Zabrze oraz Polska Izba Turystki. Partnerowali jej: Międzynarodowe Centrum Dokumentacji i Badań nad Dziedzictwem Przemysłowym dla Turystyki oraz Instytut Sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

Jej temat budził od początku ogromne zainteresowanie. Zaprezentowano na niej wybrane, europejskie dokonania w ukształtowaniu od nowa przestrzeni po przemyśle. Na konkretnych przykładach pokazano – jak to zrobiono, jak finansowano? Jak udało się ożywić przedsiębiorczość, wypromować nową przestrzeń poprzemysłową, atrakcyjność takich miejsc dla prowadzenia biznesu, turystyki i międzykulturowego dialogu?

Dyskutowano o tym z ogromną pasją. Przedstawiciel Europejskiego Stowarzyszenia Turystyki Przemysłowej Javier Diaz Herranz mówił, opierając się na przykładach ze świata, o trzech zwycięskich czynnikach turystyki przemysłowej, jakimi są: sztuka, luksus i prestiż.

Francuskie miasto Roubaix z aglomeracji Lille, w którym upadły fabryki włókiennicze i przemysł wydobywczy zaprezentowano tak emocjonalnie, że natychmiast chcieli się tam pojechać i zobaczyć. Jean Francois Boudalliez przedstawił trudne, ale uwieńczone sukcesem przekształcenie miasta poprzemysłowego w miasto sztuki i historii. Bruno Gaudichon, dyrektor Muzeum Sztuki i Przemysłu opisał narodziny tego wyjątkowego obiektu. Mieści się on w dawnych łaźniach miejskich, wybudowanych w stylu art deco. Kolejną atrakcją jest Muzeum Żakardu. Przez stulecia produkowano tu kilometry tkanin, które dziś można oglądać. Można też w Roubaix odtwarzać, ożywiać i pielęgnować przeszłość robotniczą dawnych mieszkańców, korzystając z Archiwum Świata Pracy. To miasto odnalazło się w postindustrialnej epoce dzięki nowym dziedzinom aktywności gospodarczej oraz swojej historii, kulturze i sztuce.

Podobne emocje towarzyszyły imponującemu projektowi rodem z Ostrawy. Jak można było w tak szybkim czasie odmienić upadły kompleks przemysłowy Witkowiec z hutą, koksownią i kopalnią i wkomponować go idealnie w turystyczne zainteresowania? Wydobyć z niego potworne i niesamowite piękno i funkcje na miarę społecznych „apetytów” kultury i edukacji? Ciągną tu ludzie na koncerty rockowe do zbiornika gazu wielkopiecowego. Dla widoków – windą wjeżdżają na wielki piec hutniczy. Całe rodziny podążają do Małego Świata Techniki w VI Centrali Energetycznej. Mówił o tym zjawisku dr Jakub Svrcek, dyrektor Świata Techniki w tej nowej postindustrialnej przestrzeni.

Swoją specyfikę poprzemysłową ma również Zabrze. Znamy ją dobrze. Najciekawiej opowiada o niej prof. dr hab. Marian Oslislo z Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. Pewnego dnia wszedł do starej kopalnianej Cechowni i po prostu zapytał: czy można tu zagrać jazz? W nowej odsłonie zabytków górnictwa nawet śląski węgiel okazał się kulturalny.

JOLANTA KARMAŃSKA

Fot. Bogusław Makar



Należące do Demeks-u obiekty górnicze po starej kopalni Ludwik



Dofinansowano ze środków  
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska  
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

EKOLOGIA

W czasie ostatniej premiery sezonu, udanego sezonu, w Teatrze im. Adama Mickiewicza w Częstochowie Wojciech Malajkat tekstem Nicka Reeda (w przekładzie Klaudyny Rozhin) opowiedział publiczności historię pewnego coacha. Wcześniej przygotował sztukę w 2011 roku ze scenografką Julią Skrzynecką w Teatrze Syrena i zagrał w niej rolę *Collina* (za rolę otrzymał nagrodę na XV Festiwalu „Oblicza Teatru”). Czy w Częstochowie spektakl odniesie sukces podobny temu w Warszawie, a jeszcze wcześniej na West Endzie?



Fot. z mat. teatru

Współczesnej tematyce towarzyszy dość tradycyjna forma – zawiązaniem, punktem kulminacyjnym i oczekiwanym happy endem. Oto jeden z bardziej znanych i cenionych coachów (600 € za godzinę), *Collin* (Sambor Czarnota, na co dzień aktor Teatru im. Stefana Jaracza w Łodzi), musi rozwią-

zać problem (w języku współczesnych poradników „zmierzyć się z wyzwaniem”), czyli zmienić asystentkę swojej klientki *Fiony* (Iwony Choluż), oczywiście z wyższego szczebla kadry zarządzającej. *Wendy* (Sylwia Karczmarczyk) posiada niemal wszystkie cechy, które uniemożliwiają sukces: jest nieasertywna, niezaradna, źle ubrana, nie radzi sobie z techniką, współczuje innym i koncentruje się na ich emocjach, a przy tym, choć nie jest to proste, próbuje ułożyć sobie życie osobiste. Jest niemal podręcznikowym przeciwieństwem swojej szefowej. *Fiona* jest seksowną blondynką, świadomą swojej urody, pewną siebie, ma na sobie czerwona miniówkę, biały żakiet i buty na bardzo wysokich obcasach, sprawnie posługuje się gadżetami współczesności i przestrzega jej niepisanego kodeksu. Po zwolnieniu *Wendy* zatrudnia mężczyznę na stanowisko sekretarki, przestrzegając zasady równouprawnienia płci. Kontrast między kobietami jest nie tyle komediowy, ile wręcz nieprawdopodobny. *Wendy* jest zahukaną brunetką, ubraną w szary rozciągnięty sweter, czarne spodnie, bluzkę, czarne buty i białe skarpetki. Totalny obciach!

*Collin* nie jest terapeutą, ale coachem. Nie próbuje zrozumieć swoich klientów; chce zmotywować ich do działania, wzmocnić pozytywne myślenie i utwierdzić w przekonaniu, że korporacyjny wyścig może być sensem ich samotnego życia. Uświadamia im, że tempo współczesności wymusza realizację hasła olimpijczyków – wyżej, szybciej i dalej... Trzeba być dynamicznym i nieustannie myśleć o przyszłości. *Collin* proponuje klientom elementy dramy, odgrywanie scenek, które przygotowują ich do życia i zmniejszą strach przed wyzwaniami. Jest reżyserem, a może nawet treserem, który ciasteczkami nagradza akceptowane zachowania, utrwalając i automatyzując ćwiczone nawyki. Wychowuje człowieka nowych czasów. Aktywnego, pięknego, świadomego swojej wartości, ale coraz bardziej samotnego.

## Treser korporacyjny

TEATR

Ale *Wendy* okazuje się większym wyzwaniem niż się na początku wydawało. Zapatrzona w przeszłość, naznaczona pamięcią destrukcyjnej matki, która zaszczepiła w niej przekonanie, że niewiele umie, a w dodatku jej narodziny uniemożliwiły matce realizację marzeń, ma niezwykle niską samoocenę, co przemienia jej życie osobiste w pasmo porażek. *Collin* próbuje działać standardowo, by jak najszybciej i bez większego wysiłku spełnić oczekiwania *Fiony* i zdobyć kontrakt życia. Zadaje poradnikowe pytania, korzysta z napaśliwych gestów, opowiada o swojej pozycji eksperta. Chce siłą autorytetu, trochę okazywanego, trochę pozorowanego, zmienić jej stosunek do świata.

Tylko że odgrywane przez *Wendy* scenki nieuchronnie przywołują jej trudną przeszłość, a komediowy początek zaczyna wymykać się konwencji. Slogany *Collina* nie działają, a *Wendy* okazuje się jedyną indywidualnością w świecie przedstawionym. Jej niedostosowanie przeszkadza jej żyć, ale czyni z niej prawdziwego i niepowtarzalnego człowieka.

Historia *Wendy* zarówno w życiu zawodowym, jak i osobistym kreowana jest według zasady – musi być gorzej, żeby było lepiej. Wprawdzie za namową *Collina* zrywa z chłopakiem, chamem-artystą *Alexem* (Maciej Półtorak), pasożytem, ale ten sprowadza do jej mieszkania swoją nową dziewczyną. Spi z nią w łóżku *Wendy*, która musi w dodatku opłacać wszystkie rachunki. W tym czasie *Fiona* wyrzuca *Wendy* z pracy, ponieważ *Collin* informuje ją, że terapia będzie długotrwała. Jedyne nadzieję w tym ciągu nieszczęść jest właśnie coach. Rozwiedziony pracocholik zwraca uwagę kobiet, więc planujemy dla *Wendy* schemat komedii romantycznej.

Ale żeby happy end mógł nastąpić, najpierw *Collin* musi zaangażować się w relację z *Wendy*, stać się jej przyjacielem; po prostu musi zrozumieć, że mu na niej zależy. I gdy sekretarka w najgorszym momencie swojego życia przychodzi do jego mieszkania, by oskarżyć go o wszyst-

kie katastrofy ostatnich dni, on postanawia jej pomóc – może bezinteresownie, a może trochę w poczuciu winy. Przygotowuje ją do dwóch najważniejszych działań – wyrzucenia *Alexa* i pozyskania referencji od *Fiony*. Wcześniej jednak musi zaważać o nią ze zmarłą, ale wciąż toksyczną matką. To jest moment, gdy *Collin* ściągą marynarkę, piękną i pewnie niezwykle drogą, by satyrę na coachów zastąpić ciepłą opowieścią o terapii, który towarzyszy swojemu pacjentowi, traktowanemu podmiotowo. I to jest chyba właśnie moment początku miłości...

Historia *Wendy*, która zwycięża w nowoczesnym świecie i w dodatku nawraca jednego z trenerów, rozgrywa się w minimalistycznej scenografii przygotowanej przez Julię Skrzynecką, przedstawicielkę młodego pokolenia, laureatkę m.in. Nagrody im. Teresy Rosz-

kowskiej. W tyle sceny znajduje się kolorowo podświetlana ścianka działowa, która staje się także jednym z wyznaczników współczesności, tak chętnie przecież wykorzystującej przezroczyste materiały w architekturze, by realizować marzenia o transparentności. W biurze słychać odgłosy innych, widać nadchodzące osoby, co trochę przypomina teatr cieni.

Na scenie znajdują się również biurko i fotele, wyposażenie wszystkich biur świata, a także kanapka, która kojarzy się nie tylko z leżanką u psychoterapeuty, ale jednocześnie wyznacza sferę „prywatną” postaci. Przedmioty są tu na stałe, podobnie jak *Collin*, który prawie nie schodzi ze sceny, a wydarzenia w mieszkaniu *Wendy* poznaje dzięki jej opowieściom. Muzykę do spektaklu dobrali Malajkat i Zbigniew Zamachowski, a kostiumy – Stanisław Kulczyk.

Spektakl jest niezwykle teatralny, opiera się przede wszystkim na grze aktorów, którzy z tej próby wychodzą doskonale. Widzowie obserwują przemianę *Wendy*, która uczy się współczesnej walki o siebie, odważa się krzyknąć, choć liczy się z uczuciami innych i pewnie dlatego wymyśla uspokajające historyjki. Jednocześnie *Collin* zaczyna tracić wiarę w swój profesjonalizm i postanawia zaangażować się w związek z *Wendy*, ale wcześniej zapisuje się na terapię.

Trochę komiczny, trochę liryczny spektakl zachęca do zadumy nad wartościami, które proponuje współczesność. Alternatywa – *Fiona* czy *Wendy* – traci swoją oczywistość w finale, tym bardziej że wycofał się sam kreator...

JOANNA WAROŃSKA

**Nick Reed *Trener życia*. Przekład: Klaudyna Rozhin, reżyseria: Wojciech Malajkat, scenografia: Julia Skrzynecka. Premiera 11 kwietnia 2015, Teatr im. Adama Mickiewicza w Częstochowie.**

Organizowany od szesnastu lat w Czeladzi Festiwal Ave Maria może poszczycić się imponującym dorobkiem. Gościł na swych koncertach znakomite zespoły i solistów teatrów operowych w Poznaniu i Bytomiu, orkiestry symfoniczne krakowskiej i zabrzańskie filharmonii, prezentowały się wielkie ensemble jak Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk” oraz „Mazowsze”. To na czeladzkich, a przez kilka lat także sosnowieckich i będzińskich koncertach można było usłyszeć wspaniałe głosy Bogdana Paprockiego, Wiesława Ochmana, Aleksandra Teligi, Sylwestra Kosteckiego, Adama Szerszenia, Barbary Kubiak, Małgorzaty Olejniczak, Grażyny Brodzińskiej, Galiny Kukliny, Stanisława Gałki czy ks. Pawła Sobierajskiego. Świątynia św. Stanisława B.M. w Czeladzi była również miejscem wirtuozowskich popisów znakomych pianistów: Piotra Palecznego i Grzegorza Niemczuka. Największym w historii festiwalu, ale też w historii życia muzycznego Zagłębia Dąbrowskiego był bez wątpienia koncert z okazji 80. urodzin Wojciecha Kilara z udziałem Kompozytora. Wtedy to rewelacyjnie zabrzmiał – w ocenie samego Maestro – jego *Koncert fortepianowy* w wykonaniu Grzegorza Niemczuka i Orkiestry Symfonicznej Filharmonii Krakowskiej pod dyktando Pawła Przytockiego. Dość trzeba, że nie był to jedyny pobyt Wojciecha Kilara w Czeladzi. Koncert z jego udziałem, podczas którego Filharmonia Śląska pod dyktando Mirosława Jacka Błaszczyka wykonała jego *Magnificat* i *Victorie* odbył się zaledwie dwa lata wcześniej z okazji 750-lecia parafii św. Stanisława B.M. Zatem były to wydarzenia bez precedensu w muzycznej historii Zagłębia, a zdarzyły się w Czeladzi.

Zawsze też ogromnym powodzeniem wśród miłośników sztuki operowej cieszyły się spotkania z mistrzem słowa a nade wszystko wybitnym znawcą i komentatorem muzyki – Bogusławem Kaczyńskim.

Długo by wymieniać wszystkie znakomitości artystyczne, których obecność



Festiwal otwarł tradycyjnie Turniej Tenorów. Na zdjęciu (od lewej): ks. Paweł Sobierajski, Tomasz Kuk, Łukasz Gaj, Victor Campos Leal i orkiestra symfoniczna Filharmonii Zabrzańskie pod dyktando Sławomira Chrzanowskiego.

## Festiwal Ave Maria – jaki był, jaki będzie?

odnotowały programy kolejnych edycji festiwalu. *Spiritus movens* tych muzycznych wydarzeń był przez wiele lat jego pomysłodawca Sławomir Pietras.

Festiwal zmieniał się, ale nie zmieniali się jego bywalcy i melomani. Po dziś dzień tłumnie uczestniczą w ulubionych turniejach tenorów, które od chwili śmierci Bogdana Paprockiego nazwane zostały imieniem tego wybitnego artysty, który kilkakrotnie zachwycał publiczność pieśniami Moniuszki i popisowymi ariami z najpiękniejszych oper.

Szesnasta edycja festiwalu przyniosła prócz stałej pozycji repertuarowej, jakim jest Turniej Tenorów, koncert tercetu wokalnego *Servi Domini Cantores* z utworami zarówno ze sfery *sacrum* jak i *profanum* oraz występ Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” w programie *Znasz li ten kraj*.

Kościół św. Stanisława B.M. od początku festiwalu jest głównym miejscem koncertowym i to w tej świątyni, zwanej czeladzką „Notre Dame” odbywają się najważniejsze koncerty. W tym roku pod-

czas turnieju popisowali się tu pięknymi głosami Łukasz Gaj, ks. Paweł Sobierajski, Tomasz Kuk i Victor Campos Leal, a solistom towarzyszyła Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Zabrzańskie pod dyktando Sławomira Chrzanowskiego. Wspaniałe głosy, mieniące się różnorodną gamą barw i brzmienia zachwyciły publiczność, więc bisom nie było końca. Z kolei drugi dzień przyniósł koncert w nietypowym, jak dla festiwalu, miejscu – w Galerii Sztuki Współczesnej „Elektrownia”. I tu znów popisowali się znakomici wokaliści – tenorzy, tym razem śpiewający kapłani, koncertujący na scenach operowych całej Europy: ks. Paweł Sobierajski, ks. Zdzisław Madej i o. Rafał Kobylński. Przy fortepianie zasiadła pianistka związana nie tylko z tym zespołem, ale przede wszystkim z Akademią Muzyczną w Katowicach Mirella Malorny.

Odbywający się zawsze w maju, tegoroczny szesnasty już Festiwal Ave Maria zakończył brawurowy występ „Śląska” na czeladzkim rynku.

Jakie będą następne festiwale? – to pytanie rokrocznie stawia przed sobą organizator, czyli Miasto Czeladź, które sfinansowało to muzyczne wydarzenie. Miasto nie dysponując profesjonalną salą koncertową, stara się zapewnić melomanom jak najwyższy poziom muzycznych wrażeń, a artystom komfort prezentacji, lokując koncerty przede wszystkim w jednej z największych, imponujących gigantyczną bryłą i pięknym wnętrzem świątyni Zagłębia. Czy festiwal ma szanse na powrót do sąsiednich miast: Będzina i Sosnowca, a może także zaistnieć w jeszcze innych okolicznych kościołach i salach koncertowych, chociażby Dąbrowy Górniczej? Dobrze by się stało, gdyby Festiwal Ave Maria znów był wydarzeniem pomyslanym nie tylko z artystycznym ale i topograficznym rozmachem i miał swoje miejsce w... budżetach także innych miast.

WIESŁAWA KONOPELSKA

Fot. Jakub Koźuch



ZPiT „Śląsk” podczas koncertu na czeladzkim rynku: jak zawsze roztańczeni, kolorowy i perfekcyjny.



„*Servi Domini Cantores*” czyli Śpiewający Słudzy Boży (od lewej): o. Rafał Kobylński, pianistka Mirella Malorny, ks. Zdzisław Madej i ks. Paweł Sobierajski.

Fot. Jakub Koźuch

Książnica Beskidzka od lat jest ośrodkiem życia kulturalnego i intelektualnego miasta, miejscem rozwijania zainteresowań i kształtowania kultury czytelniczey. Młodzież może tu swobodnie realizować własne artystyczne pomysły czy marzenia. Tworzenie pozbawione jest presji związanej z koniecznością otrzymania dobrej oceny, która cechuje szkolne prace. Biblioteka pomaga w kształtowaniu twórczej osobowości oraz budowaniu kreacji artystycznej poprzez odpowiedni dobór literatury pięknej czy fachowych opracowań.

By te ważne funkcje mogły zostać spełnione, niezbędne jest zainspirowanie czytelnika i zachęcenie go do aktywności. Do jednych z bardziej atrakcyjnych metod pracy – szczególnie z dziećmi i młodzieżą – na pewno możemy zaliczyć konkursy.

Konkurs z cyklu „Tworzymy własne wydawnictwo” ma długą historię. Po raz pierwszy został zorganizowany w 1986 roku przez Wojewódzką Bibliotekę Publiczną w Bielsku-Białej i był imprezą o zasięgu wojewódzkim. W 1999 roku w związku z nowym podziałem administracyjnym kraju Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Bielsku-Białej została przekształcona w Miejską Bibliotekę Publiczną, która ostatecznie przyjęła nazwę Książnica Beskidzka.

Przedsięwzięcie w 2000 roku zyskało rangę międzynarodową. Do jego realizacji postanowiono zaprosić biblioteki z Frydka-Miśtka (Czechy) oraz Žiliny (Słowacja). Przyjęto wówczas, że konkurs będzie podzielony na dwa etapy: krajowy i międzynarodowy. Edycję międzynarodową w 2000 roku zainicjowała Książnica Beskidzka, a w latach następnych jej organizację przejęły biblioteki partnerskie.

Każda z placówek biorących udział w projekcie odpowiedzialna jest za przeprowadzenie konkursu na szczeblu krajowym. Biblioteka, której przypada w danym roku organizacja etapu międzynarodowego, opracowuje regulamin oraz przygotowuje galę wręczenia nagród.

Książnica Beskidzka w Bielsku-Białej

## Historia pewnego konkursu

Do finału trafia 15 nagrodzonych i wyróżnionych prac z Polski, Czech i Słowacji. Laureatów wyłania jury powołane przez dyrektora biblioteki organizującej międzynarodową część przedsięwzięcia.

Przez lata formuła pozostała niezmienna. Konkurs odbywa się w cyklu rocznym, adresowany jest do dzieci i młodzieży do lat 16 oraz młodzieży niepełnosprawnej do lat 20. Zadanie konkursowe to napisanie, zaprojektowanie i przygotowanie do druku autorskiej książki literackiej (np. tomiku wierszy, arkuśsza poetyckiego, powieści, zbioru opowiadań) przygotowanej zgodnie z wizją twórców (regulamin dopuszcza zgłoszenie pracy wykonanej przez dwie osoby, np. autora tekstu oraz ilustratora), atrakcyjnej zarówno pod względem wartości literackiej, jak i opracowania graficznego. Do konkursu zapraszani są czytelnicy bibliotek publicznych, uczniowie szkół podstawowych oraz gimnazjów, a także młodzież z ośrodków szkolno-wychowawczych oraz szkół specjalnych z Polski, Czech oraz Słowacji. Możliwość tworzenia w dwuosobowym zespole, pełna swoboda wyboru zarówno formy, jak i treści sprawiają, że w rywalizacji biorą udział dzieci, które być może w innych warunkach nigdy nie przystąpiłyby do tego rodzaju przedsięwzięcia.

W ramach projektu „Tworzymy własne wydawnictwo” realizowane są następujące cele: popularyzacja historii pisma i książki; przybliżenie wiedzy edytorskiej i stworzenie okazji do wykorzystania jej w praktyce; zachęcenie do swobodnej ekspresji twórczej; nawiązanie kontaktów instytucjonalnych i osobistych;

rozwijanie zainteresowań i upowszechnianie nowych umiejętności poprzez literaturę; międzynarodowa prezentacja twórczości dzieci i młodzieży.

Zdolności literackie wielu młodych ludzi nie zostają w porę zauważone. Najczęściej piszą oni do szuflady, z czasem coraz rzadziej, by w końcu zaprzestać. W ten sposób ginie sporo autentycznych talentów. Przedsięwzięcie służy wyłonieniu uzdolnionych osób, umożliwiania im doskonalenie warsztatu pisarskiego oraz promocję twórczości.

Projekt wspiera przede wszystkim rozwój zainteresowań dzieci i młodzieży, w tym również z grup marginalizowanych społecznie. Ze względu na międzynarodowy charakter ma wymiar transgraniczny. To doskonała okazja do nawiązania nowych kontaktów, przyjaźni, a także poznania kultury, historii, tradycji państwa, w którym odbywa się finał konkursu.

Wszystkie zgłoszone prace prezentowane są na objazdowej wystawie. Uczestnicy biorą również udział w warsztatach prowadzonych przez pisarzy, ilustratorów oraz wydawców, na których zdobywają niezbędną wiedzę i umiejętności potrzebne przy tworzeniu książki.

Młodzi adepci sztuki pisarskiej próbowali też swoich sił w konkursach, m.in. prozatorskich: „Przyjaźń to dar”, „Najpiękniejsza przygoda mojej rodziny”, „W wielkim obłoku Magellana”, „Piszemy o zwierzętach naszych przyjaciół”, jak i w zmaganiach poetyckich: „Cztery pory roku. Antologia poezji”, „Historia mojego turnistra”.

Realizując przedsięwzięcia kulturalno-educacyjne, pamiętamy o propagowaniu zainteresowań czytelniczey. Podejmowane przez nas działania popularyzują książkę, aby stała się ważna w życiu młodego człowieka, który powinien nabrać pewności, że systematyczne czytanie ułatwia przyswajanie wiedzy i czyni lepszym, bogatszym intelektualnie oraz duchowo.

KATARZYNA RUCHAŁA  
Kierownik Działu Animacji,  
Promocji i Marketingu

Książnicy Beskidzkiej w Bielsku-Białej



Prace nagrodzone w XIII edycji konkursu (Bielsko-Biała, 2012 r.)



Laureaci XIV edycji konkursu (Žilina, 2013 r.)



Uczestnicy XIII edycji konkursu (Bielsko-Biała, 2012 r.)



Zdjęcia: Instytucja Kultury Miasto Ogródów Katowice



## Katowice Street Art. Festival

5. edycja Katowice Street Art Festival zbiegła się z jubileuszem 150-lecia Miasta Katowice. W tym roku murale tworzyli artyści z Polski, Europy, Ameryki Północnej, a nawet Australii. Ich galerią były katowickie dzielnice – Szopienice, Załęże, Piotrowice i os. Paderewskiego. Festiwal miał dwie gwiazdy: amerykańskiego twórcę Axela Voida oraz Australijczyka Iana Strange'a używającego pseudonimu Kid Zoom. Gościem festiwalu był również szwedzki graficzny artysta Nug, a polską scenę streetartową reprezentowała Coxie,

Festiwal miał również swoją odstonę muzyczną. W klubie Hipnoza wystąpili bracia Waglewscy, czyli Fisiz i Emade tworzący zespół Tworzywo a w amfiteatrze w Parku w Bogucicach miał premierę Mobilny Soundsystem Biura Dźwięku Katowice. (wk)

Znaki i twarze  
miasta



**KATOWICE**  
dla odmiany





Inauguracja uroczystości z okazji 94. rocznicy III Powstania Śląskiego pod Pomnikiem Czynu Powstańczego na Górze św. Anny



Od lewej: Grzegorz Sawicki członek zarządu województwa opolskiego, dr Norbert Krajczyk przewodniczący sejmiku województwa opolskiego, Andrzej Buła marszałek woj. opolskiego, Antoni Konopka wicemarszałek województwa opolskiego – składają kwiaty pod Pomnikiem Czynu Powstańczego na Górze Św. Anny



Andrzej Buła marszałek województwa opolskiego przypomniał Pięć Prawd Polaków, którym służył Edmund Osmańczyk



Goście honorowi uroczystości odsłonięcia pomnika, od prawej: rektor UO prof. Stanisław Sławomir Nicieja, prof. Dorota Simonides, Jolanta Klimowicz, Karol Cebula



## Hołd Powstańcom Śląskim na Górze św. Anny

W 94. rocznicę walk o Górę św. Anny podczas III Powstania Śląskiego odbyła się uroczystość pod Pomnikiem Czynu Powstańczego z udziałem rodzin powstańców, władz państwowych i samorządowych województwa opolskiego, kombatantów, harcerzy, służb mundurowych i mieszkańców regionu z asystą orkiestry i kompani honorowej wojska polskiego. Władze województwa śląskiego reprezentował wicemarszałek Stanisław Dąbrowa wraz z delegacją kombatantów. Uroczystości rozpoczęła wspólna modlitwa w intencji ofiar powstania, którą poprowadził ojciec Ignacy Wojciech Szczytowski OFM, gwardian Domu Pielgrzyma. Po oficjalnych wystąpieniach i apelu pamięci uczestnicy obchodów złożyli hołd Powstańcom Śląskim składając wieńce i kwiaty pod pomnikiem. Uroczystość zakończyła wiązanka pieśni wojskowych i powstańczych w wykonaniu orkiestry wojskowej z Bytomia.

## Pomnik Edmunda Osmańczyka w Opolu

Na opolskim Wzgórzu Uniwersyteckim obok Collegium Maius Uniwersytetu Opolskiego przy kościele Matki Boskiej Bolesnej i św. Wojciecha (Na Górze), stanął pomnik Edmunda Jana Osmańczyka, długoletniego posła i senatora Ziemi Opolskiej, publicyści, dziennikarza, wielce zasłużonego dla Opola i Śląska. Uroczystego odsłonięcia pomnika, autorstwa prof. Mariana Molendy, dokonał rektor UO prof. Stanisław Sławomir Nicieja (inicjator upamiętnienia) wspólnie z Andrzejem Balcerkiem, prezesem spółki Górażdże Cement SA, współfinansującej wzniesienie pomnika. Wśród gości honorowych uroczystości jego odsłonięcia obecni byli m.in.: Jolanta Klimowicz-Osmańczyk (wdowa po Edmundzie), prof. Dorota Simonides – długoletnia senator Ziemi Opolskiej, Karol Cebula – mecenas kultury i nauki, marszałek województwa opolskiego Andrzej Buła i wojewoda opolski Ryszard Wilczyński.

jw



Rektor Uniwersytetu Opolskiego prof. Stanisław Nicieja i prezes spółki Górażdże Cement Andrzej Balcerk – odsłaniają pomnik E. Osmańczyka na Wzgórzu Uniwersyteckim w Opolu

**Maria Lipok-Bierwaczonok: *Tychy oczywiste i nieoczywiste. Książęce ślady, dotknięcie sacrum i nowe miasto.*** Wyd. Urząd Miasta Tychy, Muzeum Miejskie w Tychach, Tychy 2015, s. 224.

Autorka przez wiele lat była dyrektorką tyskiego muzeum, tyszanką stała się „od dziecka”, to miasto powstawało na jej oczach. Zna je jak mało kto. Opisuje i fotografuje. Ta książka jest swoistą syntezą jej wiedzy, osobistych doświadczeń, historycznych studiów, ale i miłości do tzw. „małej ojczyzny”. Tychy w oczach większości to miasto socjalistyczne, bez historii i zabytków. Lipok-Bierwaczonok od lat walczy z tymi stereotypami, dowodzi, że sam upływ czasu doprowadził do tego, że „komunistyczne” budowle stały się „starówką” wartą zwiedzania. Urzekło mnie użycie słowa „palimpsest” w kontekście miasta. Rzeczywiście miejska przestrzeń jest jak stary papirus, z którego zeskrobuje się stary tekst, aby wpisać nowy. To konieczność, ale żal przeszłości. Tychy miały być miastem bez Boga, książka dowodzi, że właśnie w tym miejscu mamy może najciekawsze w kraju przykłady współczesnej architektury sakralnej.

**Jaromir Czejka: *Jizni miesto. Fotograficky projekt z pražského sídlisťte z osmdesatych let 20 století.*** Wyd. PositiF, Praha 2014, s. 184.

Po Tychach nie mogłem się oprzeć zarekomendowaniu tego albumu, o który trudno w Polsce, ale już w pobliskiej Opawie... W każdym razie polecam. Autor, świetny fotograf, wybrał sobie temat skrajnie zdawałoby się niewdzięczny – blokowisko. I to w trakcie powstawania. Klockowate wieżowce, widać, że budowane „za komuny”, bo rzuca się w oczy ich tandetność, wyrastają z jakichś pól, z błota, z ziemi „jałowej”. Teren jeszcze nieposprzątny, stoją baraki budowlanców, został między blokami stary krzyż przydrożny... Ale już w tym pejzażu pojawiają się ludzie, którzy tu będą żyć (albo już żyją, mieszkają), więc muszą jakoś tę dość odpychającą przestrzeń oswoić. Dzieci się tu bawią, dorośli coś kupują, na ścianie graficiarz wymalował serce, a pod spodem jakiegoś obwieszczenia dziewczęcy anons: „hledamy kluky na disco” (szukamy chłopaków na dyskotekę). Znakomite zdjęcia, czarnobiałe – to wybór artystyczny, jednocześnie podkreśla jednak „historyczność” zapisu.

**Piotr Siemko: *Sakralna architektura drewniana na Górnym Śląsku. Szkicownik architekta sprzed ponad stu lat.*** Wyd. Biblioteka Śląska, Katowice 2015, s. 174.

Praca badacza przeszłości – na przykład archeologa, historyka, bibliotekarza – jest moim zdaniem tak pasjonująca jak robota detektywa opisywanego w „kryminałach”. Oto znaleziono szkicownik ze znowu nie tak dawnych czasów, bo z początków XX wieku. A ile żmudnego „śledztwa” wymagało wyjaśnienie okoliczności i celu – inwentaryzacja, także, być może, dla planowanych badań – jego powstania. Siemko na podstawie odnalezionych szkiców może stwierdzić, że ich autorem był architekt, bo interesują go konstrukcyjne i „materiałowe” detale, ustala też, że te rysunki powstały w latach 1901-1902 (co wymagało dość żmudnych badań na temat zmian w wyglądzie opisywanych świątyń w określonym czasie). Ale już sam rysownik Ernst Wiggertow jest autorem odnalezionego szkicownika tylko „z dużym prawdopodobieństwem”. Książka zawiera reprodukcje kart szkicownika, dzięki czemu możemy poznać wygląd oraz historię kościołów, które już dzisiaj nie istnieją.

**Pierre-Joseph Buchoz: *Krótka wiadomość o KAWIE o jej własnościach i skutkach na zdrowie ludzi pływających.*** Wyd. Biblioteka Śląska, Katowice 2015, s. 100.

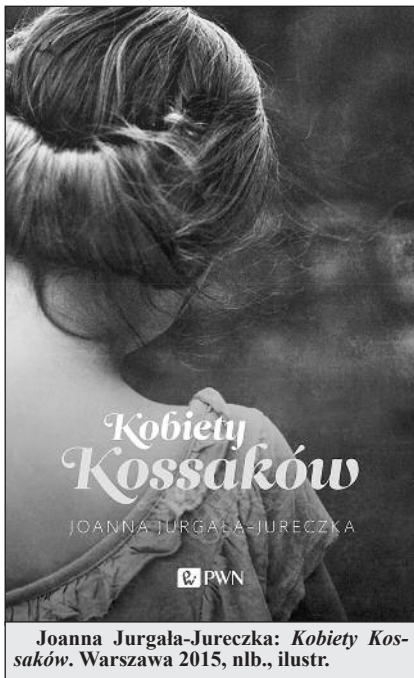
To prawdziwa perełka bibliofilska. Pięknie wydana, pięknie skomponowana i pięknie przez autora napisana. Zacznę od próbki: *Kawa, dobra jest dla wszystkich ludzi. Wyczyszcza nerki z tej materii, którą tam mogła sprawić kamień, wiele ulgi przynosi podagrykom, rozwalnia te więzy, które ludziom kaydany na ręce i nogi wkładają. Kawa użyteczna tym, którzy publicznie mówią, którzy woiażuią, i którzy powstają z choroby. Pierwsi mieć będą gruntowniejszą pamięć, głos mocniejszy i akcją wolniejszą, drudzy mniey się fatygują i trudami, i mniej cierpią z odmiany powietrza i złych pokarmów. Ostatni w krótcę odzyskają siły i pierwszą tuszę.* Dyrektor Biblioteki Śląskiej, prof. Jan Malicki osobiście poprzedził ten tekst wstępem pod znamiennym tytułem: „Mleko szachistów i myślicieli. Kawa.” No i jak tu jej nie pić? A jeśli ktoś nie chce być szachistą i woli chorować na nerki – niech przynajmniej przeczyta tę KAWĘ dla przyjemności.

**Anna Rudawcowa: *Oczy dziecka. Wiersze, bajki, kołysanki.*** [Brak danych o wydawcy]. Gliwice 2013, s. 138.

Anna Rudawcowa, z domu Okuszeko-Boska herbu Leliwa, wnuczka powstańca styczniowego, urodziła się w roku 1905 w Dorpacie. Kiedy Polska odzyskała niepodległość z rodziną wróciła do ojczyzny. Niestety miasta, do których trafiła, to były Wilno i Grodno. Stamtąd w czasie II wojny światowej została wywieziona do Kazachstanu. Potem nastąpił powrót do PRL. Mąż połączył się z rodziną znacznie później. Mieszkanie w Gliwicach. Typowy polski los – można powiedzieć. Była nauczycielką, pisała wiersze (w PRL rzadko publikowane, choć wcześniej była autorką „Plomyczka” i „Plomyka”), zmarła w 1981 roku. Dla dzieci tworzyła w czasach Tuwima i Brzechwy, dla niej jednak ich twórczość była zbyt „awangardowa”. Woląla tradycję zapoczątkowaną przez Konopnicką. Myślę, że jej wiersze można spokojnie czytać dzieciom nawet dziś. A kołysanki – śpiewać. Jest w tym pisaniu ciepło, a także przemawiający do najmłodszych humor – choćby w utworze opisującym straszliwą awanturę na choince.

**Bp Paweł Anweiler: *Mój psalterz.*** Wyd. Augusta-na, Bielsko-Biała, s. 156.

Najtrudniej się pisze wiersze religijne – to zdanie słyszałem wielokrotnie od największych poetów – bo z jednej strony grozi deklaratywność, z drugiej – popadnięcie w infantylizm albo wręcz w herezję. Ks Jan Twardowski uciekał od tych pułapek pokazując zachwycające dzieło Stwórcy poprzez przyrodę i zapewniając: „Nie przyszedłem pana nawracać”. Biskup Anweiler znalazł do pisania wierszy religijnych zupełnie inny klucz. Przybliżył i skomentował poetycko, w tradycyjnej, rymowanej, a więc łatwej do zapamiętania formie wszystkie psalmy. Cytuję: *Pójdę razem z moim Panem;/ Będę jak On/ Pić z górskiego strumienia,/ On podniesie swoją głowę,/ Wyratuje/ Mą duszę z utrapienia,/ Po ziemskim pielgrzymowaniu/ Mnie wprowadzi/ Do wiecznego odpocznienia.* To poetyckie odniesienie do „Ps 107,7”: *Będzie pił w drodze ze strumienia,/ Dlatego głowę podniesie.* Psalterz biskupa Anweilera jest więc nie tyle typowym tomikiem poetyckim, ile raczej prostym modlitewnikiem, takim dla ludzi wierzących na każdy dzień powszedni.



Joanna Jurgala-Jureczka: *Kobiety Kossaków*. Warszawa 2015, nlb., ilustr.

## Kossakówny i Kossakowe

**M**ężczyźni z rodu Kossaków doczekali się wielu ważnych opracowań i własnej legendy, zbudowanej w równym stopniu z wielkiej sławy malarskiej, co wyjątkowych męskich przymiotów.

Kobiety, jeśli pojawiały się, to jako córki, żony, kochanki. Maria i Magdalena zmieniły nazwiska i budowały własną niezależną narrację kobiet wyzwolonych, choć z Kossakówką w tle. Jedną Zofia Kossak trwała przy nazwisku, jednak zawsze kojarzono ją z Juliuszem i Wojciechem, szukając w jej pisarstwie pierwiastków malarskich. Niewiele jednak osób wie, że to za sprawą swych żon Kossakowie się koligali, a za sprawą majątków Gałczyńskich czy Kisielnickich bogacili i mogli żyć bez troski, choć na pierwszy rzut oka wyglądało zupełnie odwrotnie. Dzięki książce Joanny Jurgaly-Jureczki *Kobiety Kossaków* ten obraz ulega weryfikacji, mimo że forma dzierzawcza (czyje kobiety) dalej przyporządkowuje wszystko mężczyznom. Kobiety jednak nie tyle były „Kossaków”, co swoje własne, tyle że Kossaków kochały i żyły dla nich.

Zofia, Jadwiga, Maria, Anna; i znowu Anna, Zofia, Jadwiga – każda z nich ma indywidualny portret, starannie dopracowany, z każdego wychyla się żywa osoba, mówiąca swoim głosem i żyjąca własnym cierpieniem, czasem radością. Każdej z nich autorka przypisuje kwiatowe atrybuty i poetyckie motto, w pięknej opowieści łącząc rzeczowość z dyskretną nastrojowością. Joanna Jurgala-Jureczka wyrosła na najwybitniejszą i najdocieklwszą badaczkę kobiet z rodu Kossaków, a wiedzę potrafi połączyć z popularyzacją w sposób ambitny i oryginalny.

Kossakówny i Kossakowe to były silne kobiety, inteligentne i odważne, utalentowane i wierne. Gdyby Kossakowie trafiali na inne panie, może by się zagubili w życiu, a nawet zmarnowali talenty. Można zaryzykować twierdzenie, że Kossakowe lepiej gospodarowały talentami swych mężów niż własnymi. Życie ich było pełne tragedii: umierały im dzieci, traciły domy i majątki, zdradzali (nie zawsze dyskretnie) je mężowie – a przecież dźwigały się i nierządno mierzyły heroicznie z życiem własnym i cudzym oraz historią. Stracone domy odbudowywały i nasycaly bezpieczną aurą, choć był w tych kobietach jakiś tragizm. Jednak nawet z nim i nierządno z wewnętrznymi sprzecznościami, potrafiły żyć. Taką postawę przekazywały swoim córkom, które wprawdzie zwykle tego nie doceniały, jednak zawsze zachowywały dumę oraz niezależność matek i odważnie budowały odrębny kształt swego życia.

Jedną z najtragiczniejszych postaci w tej galerii jest Maria z Kisielnickich Kossakowa, żona Wojciecha, który „lubił zapolować na cudzych terenach” (s. 283), matka Marii i Magdaleny, poetki i satyryczki – zwana Mamidłem, całkowicie oddana rodzinie. Przeanalizowawszy cały jej niełatwy życiorys, autorka pisze: „Trwała przy swoim mężu Wojciechu, dopóki śmierć ich nie rozłączyła. Obie córki, Maria i Magdalena, zrozumiały po jej śmierci, jak była bardzo niedoceniana, czasem lekceważona. Kiedy nie mogły już o nic zapytać, niczego do niej napisać, o niczym opowiedzieć, wówczas doświadczyły prawdziwego sieroctwa i samotności” (s. 197).

Joanna Jurgala-Jureczka posiada bezbłędną intuicję badawczą, dociera do zapomnianych i niedocenionych archiwaliów, tropi pozótkle fotografie, na starych cmentarzach odsłania zarośnięte nagrobki. Zadała sobie benedyktyński trud przekartkowania tysięcy stron, czasem mało czytelnych. Ze starych dokumentów, zatartych fotografii, wyblakłych listów wyczytuje prawdę o czasie i człowieku tworząc psychologicznie pogłębione portrety. A życie ludzkie postrzega nie tylko w jego jednostkowym wymiarze, lecz zawsze wpisuje w wielką historię narodową, pokazując zdumiewającą powtarzalność wydarzeń, w linearnym – wydawałoby się – biegu dziejów. Jest to jednak nie tylko wędrowka poprzez czas, ale też miejsca i krajobrazy. Przed oczami czytelnika przesuwają się pola i lasy, sady i ogrody pełne róż, widzimy kapryśną zdradliwą rzekę Wieprz i malownicze

cmentarze oraz eleganckie ulice pięknych miast. To one współtworzą klimat opowieści.

Autorka łączy dobry warsztat naukowca z pasjonującą narracją epicką, pulsującą emocjami, czasem dramatyzmem, niekiedy rozświetloną, niekiedy niekoniecznie dobroliwym, humorem.

Ciekawostki i anegdota (niektóre znakomite!), których jest naprawdę sporo, nie decydują o charakterze książki, ale ją ubarwiają, czasem w sposób zaskakujący puenty. Znajdziemy więc całkiem sporo zabawnych, a nawet pikantnych szczegółów, jak korespondencja Witkacego z Magdaleną Samozwaniec, ozdobiona bardzo anatomicznymi malunkami Stanisława Ignacego Witkiewicza. Z Pawlikowską-Jasnorzewską mieli nawet razem napisać jakąś sztukę, zrobić razem „coś piekielnego”, a gdy się nie udało, Stanisław Ignacy przykazywał żonie: „temu bydlęciu Lilce nie kłaniaj się brońboże (sic!) ode mnie” (s. 130), a innym razem żalił: „Kossaki się na mnie wypięły – furda” (s. 130). Autorka pisze, że Jadwiga Witkiewiczowa wybaczyła Lilce romans ze swym mężem dopiero wówczas, gdy dowiedziała się o jej cierpieniu i śmierci. Do tej pory więcej wiedzieliśmy o kochankach Witkacego niż o jego żonie Jadwidze z Unrugów Witkiewiczowej, której matka, też Jadwiga, była Kossakówką z domu. Obie te Jadwigi znakomicie potwierdzają prawdę wiersza Kazimierza Iłakowiczówny o Jadwidze, że „Ostrożnie z tym imieniem. Prawie na pewno zaszkodzi”.

Z dużą intuicją psychologiczną Joanna Jurgala-Jureczka pisze o Magdalenie Samozwaniec do końca skrywanej swe tajemnice. Pokazuje jak pod natłokiem słów, bez troski i dowcipnie opowiadających o świecie, krył się dramat kobiety niedocenianej, niekochanej, zdradzonej, opuszczonej i samotnej (s. 209).

Docieklność autorka łączy z wielkim taktem, szanuje ludzką intymność; stanowczo wyznacza granice, których nie wolno przekraczać biografowi. Próbuje np. dociec prawdy o przyczynach zerwania kontaktów przez Magdalenę Samozwaniec z córką Teresą, ale w stosownym momencie zawiesza głos i zostawia domysły czytelnikowi.

Szkoda tylko, że w tej panoramie świętych „Kossakowskich” portretów zabrakło córek Jerzego Kossaka z drugiego małżeństwa: Głorii Kossak, też malarki i poetki próbującej w latach siedemdziesiątych własnymi siłami reaktywować krakowską Kossakówkę, i Simony Kossak – biologa, leśnika, z tytułem profesorskim i specjalistki od ekologii behawioralnej ssaków, związanej ze stacją Naukową Pan w Białowieży. Wszak Maria Woźniowska, córka Jerzego Kossaka z pierwszego małżeństwa, z Ewą Kaplińską znalazła swoje miejsce w opowieści. A może w tym braku jest zapowiedź kolejnego tomu „Kossakowskiego”? Należy tego życzyć autorce i czytelnikom.

KRYSTYNA  
HESKA-KWAŚNIEWICZ



**5** lat temu na 65. lecie Opery Śląskiej wystawiono „Straszny dwór” Stanisława Moniuszki, 10 lat temu z okazji 60. lecia – „Halke”. Przed 20 laty też była „Halka”. I najczęściej te dwa sztandarowe dzieła ojca naszej opery narodowej pojawiały się na bytomskich jubileuszach.

Tegoroczne 70. lecie jest skromniejsze. „Straszny dwór” co prawda zagrano, ale nie nowy, lecz ten sprzed 5 lat. W nowych inscenizacjach przygotowano natomiast dwie jednoaktówki: operę „Verbum nobile” i balet „Na kwaterunku”, kiedyś zresztą obecne na tej scenie, ale bardzo, bardzo dawno temu.

Wydawnictwa jubileuszowego też nie ma, mimo że poprzednie, opatrzone tytułem „Pół wieku Opery Śląskiej 1945–2000” nie obejmuje, bo przecież nie może, ostatnich 15 sezonów i brak ten zaczyna coraz bardziej doskwierać. Za pewnego rodzaju „rekompensatę” potraktujmy więc opublikowaną przez Wydawnictwo Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk książkę „Teatr muzyczny Stanisława Moniuszki” – zbiór prac pod redakcją Elżbiety Nowickiej i Magdaleny Dziadek, stałej recenzentki i publicystki muzycznej miesięcznika „Śląsk”. Aczkolwiek książka ta nie podejmuje tematu inscenizacji i recepcji oper Moniuszki na Śląsku, z naszym terenem „łączy” ją jednak nie tylko nazwisko red. Dziadek.

Agnieszka Marszałek omawiająca dzieje oper Moniuszki na lwowskiej scenie, w rozbiorowych i polskich czasach Grodu Orłąt, dodała do swego tekstu wykaz inscenizacji Moniuszkowskich od sezonu 1840/1841 roku do sezonu 1939/1940 (prawie okrągłe 100 lat, bez zaledwie jednego roku, wszak ten ostatni sezon został przecież dla nas, Polaków, tragicznie przerwany). I jakież nazwiska w tej końcówce spotykamy? W zapowiedzi przedstawienia „Straszny dwór” 3 września 1938 roku *Jadwigę* śpiewa Kotulakówna (to późniejsza Wiktoria Calma, pierwsza powojenna śląska *Halka*, wtedy jeszcze występująca pod pierwotnym nazwiskiem), a *Hannę* – Czepielówna (Zofia Czepielówna, także przyszła solistka Opery Śląskiej). W nieustalonej roli jest obsadzony Dobosz (Adam Dobosz, reżyser śląskiej „Halki” w 1945 roku). Natomiast jako reżyser lwowskiej „Halki” zapowiedzianej w grudniu tegoż 1938 roku jest wymieniony Adam Didur, który za 7 lat założy Operę Śląską.

Tych danych, a konkretnie wykazów inscenizacji Moniuszkowskich we Lwowie po 1900 roku, w opublikowanej przed 9 laty przez to samo wydawnictwo pracy „Teatr operowy Stanisława Moniuszki. Rekonesanse”, której obecna książka jest zdecydowanym rozszerzeniem, jeszcze nie ma. W „Rekonesansach” jeden z tekstów także wyszedł spod pióra Magdaleny Dziadek (wtedy reprezentowała uczelnię cieszyńską, dziś Uniwersytet Jagielloński w Krakowie), ale nie była, jak teraz, redaktorką całego zbioru.

W obecnie omawianej książce występuje jeszcze jeden lwowsko-śląski akcent. Luba Kijanowska i Lidia Melnyk ze Lwowa w tekście „Recepcja twórczości operowej Stanisława Moniuszki w ukraińskiej kulturze muzycznej” przywołują postać, pochodzącego z rodziny duchownego unickiego, Andrzeja Gajka, w swoim czasie bardzo znanego wykonawcy partii Moniuszkowskich. I informują, że „po wybuchu II wojny światowej władze radzieckie aresztowały ją postać, pochodzącego z rodziny duchownego unickiego, Andrzeja Gajka, w swoim czasie bardzo znanego wykonawcy partii Moniuszkowskich. I informują, że „po wybuchu II wojny światowej władze radzieckie aresztowały wówczas 66-letniego śpiewaka wraz z rodziną. Zostali deportowani na Syberię, do Kraju Krasnojarskiego, gdzie artysta pracował jako drwal przy wyrębie drzew. Później zwolniono go od ciężkiej pracy fizycznej i pozwolono zorganizować klub artystyczny. W 1946 roku Gajek został zwolniony, lecz nie mógł powrócić do Lwowa. Wyjechał do Polski, gdzie ślad po nim zaginął. Po raz ostatni widziano go w Katowicach, na dworcu kolejowym w 1946 roku; przypuszczalnie zmarł tamże w 1949 roku.”

Lwów, jak widać jest w tej książce reprezentowany całkiem mocno. Oczywiście obecne są też ziemie litewskie, wszak urodzony w Ubielu na dzisiejszej Białorusi twórca „Straszny dwór”, zanim objął dyrekcję Teatru Wielkiego w Warszawie w 1858 roku, działał przez wiele lat w Wilnie, gdzie był organistą kościoła św. Jana. O komediooperze „Biuraliści” pisze Sviatlana Niemahaj z Akademii Muzycznej w Mińsku – wtedy Mińsk i Wilno aczkolwiek położone w dwu różnych guberniach imperium rosyjskiego, były sobie niewątpliwie znacznie bliższe niż dziś, gdy są stolicami dwu państw. Z kolei Radosław Okulicz-Kozaryn reprezentujący uniwersytety poznański i wileński podejmuje temat wyraźnie zakreślony tytułem: „Narodowy kompozytor nieistniejącego kraju. Stanisław Moniuszko i wskrzeszanie Wielkiego Księstwa Litewskiego w pieśni”.

Jeśli chodzi o temat obecności muzyki Moniuszki poza dawnymi i obecnymi granicami Polski, kraju niewątpliwie ponownie istniejącego, odnotujmy jeszcze tekst Jiřego Kopecký’ego o praskich prezentacjach „Halki” w latach 1868 i 1898.

„Halka” i „Straszny dwór” – to opery nie tylko znane, ale bardzo znane. Dużą zaletą zbioru „Teatr muzyczny Stanisława Moniuszki” jest przybliżenie czytelnikom historii dzieł scenicznych zdecydowanie ustępujących sławą obu tytułom. Dwa z nich – wspomniani już „Biuraliści” i „Jawnuta” – zostały wyróżnione oddzielnymi artykułami. Dodajmy do tego jeszcze rzadko dziś wykonywaną kantatę „Widma” opartą na Mickiewiczowskich „Dziadach”.

Do książki dołączona jest płyta z utworami wykonanymi na koncercie towarzyszącym konferencji, podczas której prezentowano wstępne wersje artykułów o teatrze operowym Moniuszki. Krążek zawiera pieśni inspirowane czeskim XIX. wiecznym apokryfem „Rękopis krółodworski”. Musiały mieć owe wiersze udające poezję średniowieczną



## Przed „Halką” byli „Biuraliści”

jakąś siłą magiczną, skoro muzykę do nich pisali nie tylko Czesi: wielki Antonin Dvořák i nieznanym dziś poza swoim krajem Václav Tomašek, Chorwat Vatroslav Lisinski i Polak Władysław Żeleński. W ubiegłym roku pięć pieśni do tego samego tekstu w polskim przekładzie Lucjana Siemieńskiego napisała także poznańska kompozytorka Ewa Fabiańska-Jelińska, jak podejrzewam z myślą o wspomnianej konferencji i dedykowała je wykonawcom Annie Budzyńskiej (sopran) i Tomaszowi Sośniakowi (fortepian), którzy utrwaliли je na tymże krążku. Jako że temat „Rękopisu krółodworskiego” i jego dużej, jak wynika z zainteresowania kompozytorów, popularności w XIX stuleciu nie jest przesadnie znany a prawdę mówiąc w ogóle nie jest znany, płyta stanowi nie małą ciekawostkę zwłaszcza dla osób zainteresowanych bohemikami.

MAREK BRZEŹNIAK



**W**obec milionowych armii walczących stron Polacy nie wywarli decydującego wpływu na przebieg, a zwłaszcza ostateczny rezultat II wojny światowej. W poszczególnych wydarzeniach (np. bitwa o Anglię czy Monte Cassino) potrafili jednak odegrać istotną rolę. O wkładzie Polski w II wojnę światową przypomina Michael Alfred Peszke, autor książki o *Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie*. Jego praca ukazała się najpierw w Wielkiej Brytanii w języku angielskim, jest więc szansa, że informacje na ten temat dotrą również do zachodniego czytelnika. W ostatnich latach to kolejna książka dotycząca najnowszej historii Polski, która miała swój debiut w kręgu anglosaskim.

Załączkiem Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie była armia tworzona od końca września 1939 r. we Francji. Jej trzon stanowili żołnierze polscy, którzy poprzez Węgry czy Rumunię wydostali się z okupowanego kraju. We Francji odtworzone zostały również naczelne władze państwowe. Nowy prezydent Władysław Raczkiewicz powołał rząd na czele z gen. Władysławem Sikorskim, który niebawem został również naczelnym wodzem. Premier-generał przywiązywał ogromną wagę do zorganizowania armii. Rozumiał, że w toczonej się wojnie posiadanie własnego wojska ma nie tylko militarne znaczenie, ale może być również istotnym elementem politycznej rozgrywki.

W kulminacyjnym momencie armia polska we Francji liczyła 85 tys. żołnierzy, jednak zdecydowaną większość tych sił Polacy stracili po upadku Francji w czerwcu 1940 r. Kapitulacja Francji była również militarną katastrofą dla Polaków. Do Wielkiej Brytanii udało się ewakuować zaledwie 19 tys. żołnierzy. Przyczynił się do tego rozkaz naczelnego wodza, który nakazał polskim jednostkom trwać do końca u boku francuskich sojuszników i walczyć z Niemcami.

Wiele miejsca Peszke poświęcił utworzeniu Polskich Sił Powietrznych i ich roli w działaniach wojennych. Podczas II wojny jego ojciec był oficerem łącznikowym w Royal Air Force (RAF), następnie zaś w Oddziale Planowania Sił Powietrznych Kwatery Głównej Naczelnego Wodza w Londynie. Dokonania polskich dywizjonów myśliwskich w bitwie o Anglię zyskały rozgłos w brytyjskim radio i prasie, przyczyniając się do zbudowania pozytywnego wizerunku polskiego sojusznika.

Peszke zachwycony Sikorskim podkreślił, że był on „prawdziwym mężem stanu i wspaniałym strategiem”. W innym miejscu książki stwierdził jednak, że Sikorski „pracował nad tym, aby dostosować się jak to tylko możliwe do polityki mocarstw zachodnich, i postępował tak aż do swojej śmierci”. Czy to są cechy prawdziwego męża stanu i stratega?

Już w początkowym okresie II wojny światowej polski premier snuł plany wyzwolenia kraju po uderzeniu sojuszników armii z kierunku Bałkanów. W za-

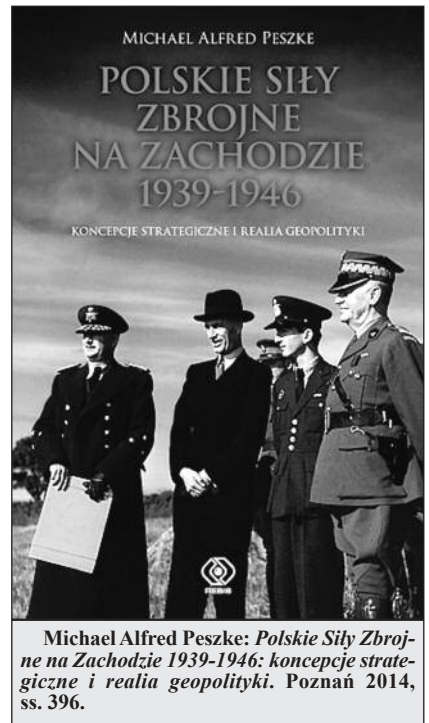
myśle Sikorskiego Polska miała też odegrać znaczącą rolę w koalicji walczącej z Niemcami. Tych ambitnych planów, przede wszystkim ze względu na szczupłość własnych sił, nie udało się jednak zrealizować. Nawet jeśli początkowo polskie plany współgrały ze strategią Brytyjczyków, to w decydującej fazie wojny Amerykanie zdecydowali o utworzeniu drugiego frontu we Francji, zaś Europa Środkowo-Wschodnia stała się częścią sowieckiego teatru wojennego ze wszystkimi tego militarnymi i politycznymi konsekwencjami. Sikorski już wówczas nie żył, ale niezależnie od tego, kto stałby na czele polskich władz („pragmatyczny” Sikorski czy „nieprzejednany” Sosnkowski), niezależnie od „miękkiej” czy „twardej” postawy Polaków, nie sposób sobie w ówczesnej sytuacji wyobrazić inny scenariusz. To nie fatalizm dziejów, ale słabość Polski sprawiła, że w rzeczywistości jej los zależał w znacznym stopniu od wielkich mocarstw, od zmieniających się pomiędzy nimi relacji i gry interesów. W ostatecznym rozrachunku Polska była zaledwie przedmiotem polityki „wielkiej trójki”, a Polacy nie byli na tyle silni, aby zmienić tę rzeczywistość.

Niewątpliwie ograniczająco na politykę rządu polskiego wpływało to, że musiał on działać na obcej ziemi: najpierw we Francji, a od połowy 1940 r. w Wielkiej Brytanii. Jak zauważył Peszke: „W dostępnych obecnie dokumentach widać wyraźnie, jak bardzo Polacy zależni byli od władz brytyjskich”. Wcześniej do roli „patronki” Polski pretendowała Francja.

Peszke przypomina, że nawet w okresie współpracy niemiecko-sowieckiej (1939-1941) „żaden z sojuszników nie zamierzał angażować się, nie licząc deklaracji słownych, w jakiegokolwiek działania na rzecz Polski w stosunkach z ZSRR”. Później, gdy Kreml stał się najważniejszym sojusznikiem Wielkiej Brytanii, a następnie Stanów Zjednoczonych w wojnie z Niemcami, Polacy tym bardziej nie zdołali uzyskać poparcia dla swych postulatów u mocarstw zachodnich.

Europa Środkowo-Wschodnia zajmowała kluczowe miejsce w polityce Moskwy, natomiast dla Londynu, a zwłaszcza Waszyngtonu w rzeczywistości miała marginalne znaczenie. W połączeniu z militarną potęgą ZSRR przyczyniło się to do faktycznego uznania przez rządy zachodnie (na długo przed konferencją w Jałcie) dominującej w tym regionie pozycji Kremla. Gdy w maju 1945 r. w Londynie, Paryżu, Moskwie czy Waszyngtonie strzelały przysłowiowe korki od szampanów, dla Polaków zwycięstwo miało gorzki smak.

Pod koniec 1945 r. w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie służyło blisko ćwierć miliona żołnierzy. Kilka miesięcy później rozpoczął się proces demobilizacji polskich oddziałów, skoncentrowanych już wówczas w Wielkiej Brytanii. Część żołnierzy (przeważnie byli to Pomorzanie czy Ślązacy wcieleni do Wehr-



Michael Alfred Peszke: *Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie 1939-1946: koncepcje strategiczne i realia geopolityki*. Poznań 2014, ss. 396.

## Najwierniejszy sojusznik

machtu, którzy z alianckich obozów jenieckich w końcowym okresie wojny trafili do polskich oddziałów) wróciło do kraju. Ci, którzy wywodzili się z Kresów Wschodnich nie chcieli wracać do Polski rządzonej przez komunistów, tym bardziej że ich rodzinne strony znalazły się już za granicą. Na emigracji musieli się przystosować do nowych warunków życia, nauczyć się obcego języka, zdobyć zawód i znaleźć pracę. Brytyjczycy stworzyli dla nich Polski Korpus Przystosowania i Rozmieszczenia, często nie chcieli już jednak pamiętać poświęcenia swego najwierniejszego sojusznika. Komunistyczne władze w Warszawie nazywały ich „faszystami”, „reakcjonistami” czy „zdrajcami”, a we wrześniu 1946 r. gen. Władysław Anders oraz 75 oficerów wступujących do PKPR zostało pozbawionych obywatelstwa polskiego.

KRZYSZTOF TARKA

## Światy poetyckie Stanisława Krawczyka



„Śląsk”

Światy poetyckie Stanisława Krawczyka.  
Red. M. Kisiel, P. Majerski. Wydawnictwo  
Naukowe „Śląsk”, Katowice, 2014.

# Stanisława Krawczyka portret wielokrotny

**S**wiaty poetyckie Stanisława Krawczyka to publikacja jubileuszowa, dedykowana pisarzowi w 75. rocznicę urodzin. Zdążył ją jeszcze zobaczyć. Odszedł w tym roku... Wcześniej ukazał się obszerny wybór wierszy – *Zrosty*. Teraz podejmujemy lekturę siedemnastu szkiców, odkrywających rozmaite aspekty liryki Stanisława Krawczyka, współtworzących wielokrotny (wielostronny) portret pisarza, intrygujących możliwościami interpretacyjnych odczytań.

Drogę tworzącą poety urodzonego w 1938 roku przybliży inicjalny szkic Mariana Kisiele *Destruktor symbolu*. Debiut poetycki usytuował Krawczyka w kręgu „generacji '60”, natomiast debiut książkowy – wśród poetów „bez adresu”. Obraz świata budowany jest w tej liryce z rozproszonych elementów i ma wiele twarzy, co dostrzeżemy w sferze tematyki, ale także w wielostylowości wierszy poety ukazującego świat niejednorodny, któremu nie można zaufać, w którym trwają jednocześnie procesy tworzenia i destrukcji. Jedy-

nie tajemnica miejsca i pamięci wprowadza pewien ład.

Ewa Bartos zauważa, że sensualne odczuwanie bytu wiąże się w tej poezji z etosem pracy i czynnościami codziennymi, które w połączeniu z biblijnym „powiadam wam” zostają „uświęcone”. Świat w twórczości poety składa się zarówno z drobnych elementów, jak i makrokosmosu, w którym najważniejszy jest czas wrastania w środowisko. W przypadku Stanisława Krawczyka weźmiemy pod uwagę miejsce urodzenia i obecnego zamieszkania: Zagłębie Dąbrowskie – Góry Śląsk. W jednym z jego wierszy droga krzyżowa prowadzi przez... hałdę.

Joanna Kisiel przekonuje, że w lirycznym świecie poety ważną rolę odgrywa portretowanie kobiet, obserwacja ich gestów, zachowań, poszukiwanie ukrytych znaczeń. Istotą obserwacji będzie przeniknięcie tajemnicy, która z punktu widzenia mężczyzny jest intrygująca, zarówno w doznaniu erotycznym, jak i duchowym. W wierszach powraca imię żony pisarza – Róża.

W twórczości autora *Butów* pojawia się, aczkolwiek niezbyt często, motyw morza – pisze Elżbieta Dutka. Morze jest tym, co przekracza ludzkie istnienie, ale też występuje w znaczeniu przeżycia intymnego i staje się symbolem relacji międzyludzkich. Szczególnie ważne wydaje się odwołanie do tradycji biblijnej i filozoficznej, choćby Heraklitejskiego *panta rhei*.

Katarzyna Niesporek opowiada o wrastaniu wierszy Krawczyka w ziemię śląsko-zagłębiowską. Znakiem określającym przestrzeń miejsca jest hałda, ponad nią wznosi się i trwa drzewo. W jednym z wierszy pojawia się „hałda czaszek”. To nawiązanie do miejsca śmierci Chrystusa. Nie ma w tym nic dziwnego, ponieważ Golgota była wysypiskiem śmieci, górą gruzu przypominającą wyglądem... śląską hałdę.

O *Dyptyku cmentarnym* napisała Marta Tomczok. Polsko-żydowska historia jest dla pamięci Polaków kłopotliwa, literatura niezbyt dobrze radzi sobie z tym problemem, a sztuka dystansuje się od ocen i rozliczeń. Z tego względu kilka wierszy Stanisława Krawczyka ma duże znaczenie, przypominają świat z przeszłości, okres dzieciństwa i wczesnej młodości, czas zabaw i spotkań z czeladzkimi Żydami.

Tekst Grażyny Moroszczuk zestawia uwagi dotyczące *człowieka* w liryce Krawczyka. Autor *Morza cierpliwego* zastanawia się nad „przygodnością” losu, gdyż w naszej trudnej rzeczywistości nie tak łatwo być wzorem „pielgrzyma”. Skoro stwierdza, iż „co parę lat / wchodzimy do tego samego morza”, dobrze jest wciąż na nowo określać swoje miejsce w świecie.

Dominik Chwolik zgłębia znaczenie kamienia w twórczości Stanisława Krawczyka. Nic dziwnego, skoro kamień „wywodzi się” z ziemi, to musi do niej wrócić, niezależnie od trasy lotu, którą wcześniej pokonał – stwierdza autor. Sam lot prowadzi w rezultacie do bezruchu i pozostawia pytanie podmiotu: „Gdzie chciałbym umrzeć?”

Twarz jest „metaforą duszy” – zauważy Magdalena Boczkowska. Indywidualne doświadczenia zapisują się na twarzy człowieka niczym opowieść o nim samym: każde głębsze przeżycie dodaje nową zmarszczkę, każda emocja dostarcza nowej bruzdy. Tymczasem to one są wartością, świadczą

o indywidualnym i niepowtarzalnym w swej istocie ludzkim egzystowaniu. W poezji Stanisława Krawczyka – pisze Boczkowska – przeważają portrety rozbite, odbicia w lustrze, które nie pozwalają przeniknąć tajemnicy twarzy.

Paweł Majerski uznał *Błądząc* za wiersz-soczewkę, wiersz ważny ze względu na próbę scalenia wątków, obrazów, które odnajdujemy w innych utworach poety. Krawczyk opowiada o dekonstruującym się świecie, będącym w stanie rozsyпки, z którego trzeba zbierać „strzępy / wiary, religii, idei”. Tutaj i teraz, na naszych oczach, dokonuje się rozpad świata, ale wciąż trwa dramatyczna wędrówka „pokoleń przegranych”. Metaforyzowane obrazy można, zdaniem Pawła Majerskiego, określić mianem pejzaży kubistycznych. Charakterystyczna jest owych obrazów geometryzacja, dzięki niej wiersze są „wizualne pojęciowo”.

Dzwony w poetyckiej frazie Stanisława Krawczyka zainteresowały Zbigniewa Kałużka. Dzwon jest ziemskim głosem i odgłosem, coś obwieszcza, o czymś informuje, oznajmia. Krawczyk powiada, iż „głos ziemi” niesie dzwon i zapisuje: „między dzwonami / nieprzerwany korowód pogrzebu”. W tym kontekście dzwon obwieszcza koniec wędrówki ziemskiej. W falach dzwonu wydzwania się dal, a może wieczność?

„Przygotowanie do wyboru wierszy” ma zawsze ten sam cel, aby odkryć znaczenia w tym, co już się wypełniło – pisze Paweł Sarna. Za utwór programowy w twórczości Stanisława Krawczyka uznał wiersz *Budowanie* i wybrał go do analizy. Budowanie poetyckie autora *Tajemnicy twarzy* – sygnalizuje autor – to aktywizacja pamięci z myślą o powrocie do źródeł.

Komentarz do utworu *Strony* przedstawił Stanisław Piskor. W wierszu obecnych jest siedem stron: podstawowe kierunki świata oraz powietrze i woda, z tych ostatnich powstaje „strona siódma” – mgła. Mgły mogą być znakiem pamięci poety o bliskich zmarłych albo sugerować rodzaj nieśmiertelności w pamięci potomnych.

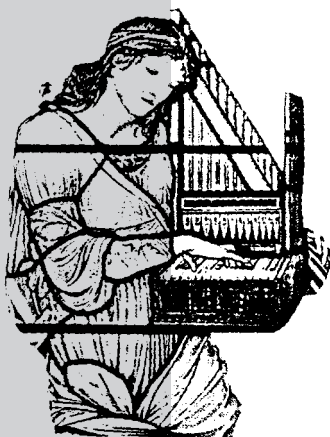
Mysząc o wspomnianej wcześniej codzienności, zwykłości, konkrety, zapytajmy: co mogłoby konkurować z... plackami ziemniaczanymi ucieranymi ręcznie, podawanymi z własnoręcznie zbieranymi grzybami? O tym opowiada Marta Fox, która swój tekst zatytułowała: *Poeta od placków ziemniaczanych*. Spotkanie odbyło się w Ogrodzie poety, często goszczącym przyjaciół Stanisława Krawczyka. I tym razem, przepelniony „dobrą energią wielu poetyckich dusz”, zapachem przygotowanych przez poetę placków z sosem grzybowym wpałał się w „legendę”.

W książce odnajdziemy również tekst Jerzego Głybina, który przypomni swoje pierwsze spotkanie z poetą i pierwszy kontakt z jego poezją, osobistą notę Libora Pavery oraz opracowaną przez Pawła Majerskiego obszerną bibliografię publikacji Krawczyka i komentarzy do jego twórczości. Autorzy książki odkrywają i wyjaśniają wiele wątków poezji Stanisława Krawczyka. Stają się przewodnikami, którzy zapraszają czytelników do własnej już podróży w tym świecie poetyckim.

JANINA BARBARA SOKOŁOWSKA

Jako eksterytorialny artysta pojawił się z początkiem czerwca w Cieszynie, a konkretnie w Galerii „Szara”, od kilkunastu lat promującej sztukę performansu, poznański muzyk Adam Gołębiowski. Jak można przeczytać na jego stronie internetowej, jest „perkusistą, improwizatorem, muzykologiem i socjologiem”. Kolejność tych określeń należałoby w zasadzie odwrócić, bowiem z odautorskich komentarzy, jakie na temat swojej sztuki publikuje artysta wynika, że jego produkcje z dziedziny muzyki improwizowanej mają ściśle sprecyzowane zaplecze intelektualne, wskazujące na świetne obeznanie z tradycją XX-wiecznej awangardy muzycznej oraz z językiem współczesnej socjologii, które traktuje on – by posłużyć się tym właśnie językiem – jako swój kapitał kulturowy. Przynajmniej takie wrażenie odnosi się, czytając naukowo brzmiący komentarz do prezentowanej w tym roku w Poznaniu instalacji *In Front of Their Eyes*, która polega na poddaniu słuchacza „opresyjnemu” najeżdżowi akustycznych dźwięków wydobywanych z zestawu perkusyjnego oraz różnych przedmiotów, docierających do ucha za pomocą słuchawek przekazujących impulsy akustyczne poprzez zestaw mikrofonów umieszczonych w środku bębna. Kilka tygodni temu ukazała się – w limitowanej edycji liczącej zaledwie 500 egzemplarzy – płyta z nagraniem serii improwizacji Gołębiowskiego zatytułowana *Pool North*. Jest to pierwsza solowa płyta artysty (w 2012 roku ukazał się krążek *Divided by 4* zrealizowany wspólnie z „tradycyjnymi” instrumentalistami). Koncert cieszynski był formą promocji tej płyty.

Improwizacje utrwalone na niej usłyszeliśmy właśnie podczas koncertu w Cieszynie. Technika użytkowania instrumentarium, jaką proponuje Gołębiowski, jest „postinstrumentalna”, czyli – króluje swojski sonoryzm, ale w wersji ekstremalnej, bliskiej noise’u. Dźwięków jest dużo, są agresywne, bo chodzi o to, by otoczenie akustyczne, w jakie zostaje zagarnięty słuchacz, działało „opresyjnie”. Efekty, które kreuje Gołębiowski, nie są piorunująco odkrywcze (bo cóż tu jeszcze dodać po Cage’u, Xenakisie czy naszym Szalonku), trzeba jednak przyznać, że wkłada on w swoje granie mnóstwo serca, co sprawia, że słuchacz bez problemu daje się wciągnąć w zainicjowaną przez niego grę, pełną kontrastów, zawań, podstępnych wodzenia za nos. Należy docenić to, że w ciągu minionych trzech lat Gołębiowski, mając okazję współpracować ze artystami światowej klasy (grał m.in. na zaproszenie Yoko Ono, występował też na koncertach z awangardowym gitarzystą nowojorskim Thurststonem Moorem, znacznie wydoskonalił wyobraźnię dźwiękową i technikę gry na swoim stałym (post) instrumentarium (zestaw perkusyjny i różne przedmioty). Stał się też bardziej wyrazisty i niepokorny, co się ceni w sztuce performansu – jedynej chyba dziś odmianie muzyki awangardowej, która broni się



przed „konsekracją” – by jeszcze raz użyć terminu, który ukuł ulubiony przez Gołębiowskiego francuski socjolog.

#### *Patri Patriae* – koncert laureatów

Zupełnie innego rodzaju płytę wydała Zkatowicka Państwowa Ogólnokształcąca Szkoła Muzyczna im. K. Szymanowskiego. Jest to publikacja zawierająca nagrania utworów, które zostały nagrodzone na II Międzynarodowym Konkursie Kompozytorskim na utwór poświęcony pamięci Ojca Świętego Jana Pawła II, który odbył się w Katowicach w 2014 roku. Konkursy dla młodych kompozytorów szkoła organizuje już od 1991 roku. Pierwszy z nich został przeprowadzony, tak jak i trzy następne (do 2005), w formule ogólnopolskiej. Następnie podjęto decyzję o rozszerzeniu imprezy i zorganizowano dwa konkursy międzynarodowe (2010, 2014). Inicjatorką konkursu była Felicja Bieganeł i ona też pozostaje do dziś jego główną organizatorką, a w zasadzie trzeba by napisać „duszą” – bo konkurs dedykowany polskiemu świętemu jest imprezą, której przesłanie daleko przekracza wymiar zwykłej artystycznej konkurencji.

Każdy z przeprowadzonych dotąd konkursów opiewał na utwór o określonej obsadzie. W grę wchodziły utwory solowe, kameralne, chórne, a także elektroniczne. Początkowo zgłaszać utwory mogli tylko uczniowie średnich szkół muzycznych, zaś obecnie oferta obejmuje także studentów akademii muzycznych, a także młodych kompozytorów spoza szkół i uczelni. Z tego względu konkurencja przebiega aktualnie w dwóch grupach wiekowych. W jury konkursu zasiadali regularnie najwybitniejsi profesjonalni twórcy z całej Polski. Wielokrotnie uczestniczyli w pracach konkursowych Wojciech Kilar, Eugeniusz Knapik, Aleksander Lasoń, a także Jerzy Kornowicz – wieloletni prezes Zarządu Głównego Związku Kompozytorów Polskich, jako że Związek jest od początku partnerem konkursu, wspólnie z Centrum Edukacji Artystycznej.

Miarą prestiżu konkursów artystycznych jest nie tylko skład jury, ale także (a nawet – przede wszystkim) laureaci. W przypadku bardzo młodych kompozytorów ogromnie trudno jest dostrzec prawdziwy talent, jeszcze trudniej – zawyrokować, czy rozwinie się on w przyszłości. Okazuje się jednak, że jurorom katowickiej imprezy udało się bezbłędnie wyłowić spośród uczestników osoby, które rzeczywiście zaistniały w kompozytorskiej profesji, albo nawet – zrobiły autentyczne kariery. Dość wspomnieć, że wśród laureatów pierwszych edycji konkursu *Patri Patriae* byli znani dziś twórcy, tacy jak Aleksander Kościów (obecnie – profesor Uniwersytetu F. Chopina w Warszawie), Dariusz Przybylski (zatrudniony w tejże uczelni) czy Aleksander Gabryś (z powodzeniem uprawiający zawód muzyka w ekskluzywnej Bazylei). Za kilka lat listę tę z pewnością będzie można poszerzyć o następne osoby.

Nagrodą dla zwycięzców były prawykonania ich kompozycji podczas koncertów laureatów, które organizowane były początkowo w szkolnej auli, a w miarę wzrostu rozgłosu imprezy trafiły m.in. do wnętrza bazyliki w Wadowicach i katowickiej archikatedry. Koncert laureatów ostatniego konkursu, który odbył się w ubiegłym roku, zorganizowano w Filharmonii Śląskiej. Obiema filharmonicznymi ciałami orkiestrowymi oraz chórem żeńskim, dyrygował Massimiliano Caldi, a jako soliści wystąpili klawecista Piotr Ptak i gitarzysta Błażej Sudnikowicz. Koncert nagrano i dzięki temu możemy sobie go teraz odsłuchiwać na płycie CD. Zmieściło się na niej sześć utworów, autorstwa Przemysława Kadłubka, Stanisława Rzepieli, Jakuba Montewki, Grzegorza Jurczyka, Jose Luisa Gomeza Aleixandre oraz Dominika Puka. Jest dziełem czystego przypadku, że w gronie zwycięzców znaleźli się sami panowie – w poprzednich konkursach (z wyjątkiem pierwszego) rozkład płci laureatów uwzględniał również tę piękniejszą (choć do „parytetu” daleko – czyżby działa tu ten sam syndrom, co w przypadku popularnego teleturnieju „Jeden z dziesięciu”?).

Trudno oceniać poziom konkursu i dokonania laureatów w zwykłych zawodowych kategoriach; wszak uczestniczą w nim osoby, które dopiero próbują swych sił na polu kompozycji, co dziś jest trudne nie tylko ze względu na nadmiar informacyjny (co tu wybrać z wielodaniowego menu muzyki współczesnej?) ale i ze względu na specyfikę edukacji muzycznej, która dzisiaj trwa o wiele dłużej niż za czasów Mozarta czy Chopina. Ogólnie można powiedzieć, że utwory utrwalone na płycie, choć reprezentują różne estetyki i różne poziomy trudności rozwiązań warsztatowych, stanowią dość jednolity zbiór jako przykłady bardzo poważnego podejścia do twórczości. Za każdym z nagranych utworów stoi konkretny pomysł (nieważne, czy superoryginalny), każdy z autorów miał ambicję opracowania go w perfekcyjny sposób. Trzymam kciuki za dalsze losy laureatów i czekam na kolejny konkurs.

## Dobry przykład dla innych

Raz jeszcze powracam do otwartego pod koniec maja Muzeum Archidiecezjalnego w Katowicach: pod dawnym, dobrze znanym adresem – i to jest bardzo ważne w tym przedsięwzięciu, kierowanym przez ks. dr. Leszka Makówkę, który już jakiś czas temu przejął muzeum po jego twórcy i wieloletnim dyrektorze ks. dr. Henryku Pyce, który 30 lat temu zainicjował działalność miejsca, w którym pozostawił swój artystyczny ślad czas upadającej socjalizmu i narodzin „Solidarności”. To tu przez owe lata odbyło się wiele ważnych ekspozycji przywołujących istotne wartości i tematy, które nigdy indziej nie mogły być zrealizowane, jak cieszący się niezwykłym powodzeniem cykl wystaw „Wobec wartości”, skupiający najważniejszych artystów śląskich. Chodziły słuchy, że pod nowym zarządem muzeum może zmienić adres, bo panująca tam ciasnota nie pozwala na odpowiednią ekspozycję dzieł, które w sporej ilości nie miały szans na godną prezentację. Różnie też komentowano fakt przekazania kolekcji gotyckiej rzeźby śląskiej w depozyt Muzeum Śląskiemu. Z tym większą ciekawością czekano na otwarcie tej bardzo znaczącej dla Śląska instytucji.

Leżąc nie o tamtym wydarzeniu będzie mowa. Otwarcie stałej ekspozycji w Muzeum Archidiecezjalnym powinno stać się przyczynkiem do refleksji nad ochroną sztuki sakralnej nie tylko przez tę instytucję. Może czas na pytanie o brak takich miejsc w diecezji sosnowieckiej. Wszak na jej obszarze znajduje się wiele kościołów, w których zachowały się prawdziwe perły sztuki sakralnej, będące świadectwem sztuki artystycznej dawnych i współczesnych mistrzów. Nie ma w tej części województwa śląskiego miejsca, w którym w sposób profesjonalny byłyby przechowywane prawdziwe arcydzieła sztuki sakralnej czy sztuki rzemieślniczej dawnych mistrzów, pamiątki o wyjątkowej wartości dla duchowości tego subregionu. Być może przy pomocy samorządów miast i gmin takie miejsce uda się wygospodarować, zapewnić dziełom należyłą ochronę, ale także wystawić na światło dzienne dla odwiedzających zagłębiowskie muzeum archidiecezjalne. Tzw. parafialne skarbcze zazwyczaj nie są należycie chronione, a nade wszystko znajdujące się w nich eksponaty nie są poddawane profesjonalnej konserwacji. A można w nich spotkać naprawdę niebywale obiekty. Środki na ochronę dzieł z pewnością znalazłyby się w różnorodnych funduszach i fundacjach, a może i gminach.

Z pewnością warto podjąć taką inicjatywę, bo i w Zagłębiu nie brakuje księży – historyków sztuki, dla których troska o historię i jej świadectwa jest niebywale istotna.

Do tego tematu zapewne będziemy jeszcze nie raz powracać.

WIESŁAWA KONOPELSKA

# KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

Pod patronatem „Śląska”

## Pracowita idylla

Muzeum w Gliwicach zaprasza w nastrojują i niezwykle malowniczą podróż. W Willi Caro prezentowana jest wystawa *Pejzaż śląski w grafice i rysunku Ernsta Wilhelma Knippela i Carla Riedena* w zbiorach Muzeum w Gliwicach. Można zobaczyć 67 wybranych dzieł Ernsta Wilhelma Knippela, jednego z najwybitniejszych reprezentantów Szkoły Kowarskiej, prekursora przedstawień śląskiego pejzażu industrialnego. Zgromadzone litografie i rysunki, które tworzył wspólnie z utalentowanym grafikiem, Carlem Riedenem, tworzą barwną opowieść o regionie z połowy XIX stulecia.

Ernst Wilhelm Knippel (1811 – 1900) to twórca rodzimy, kojarzony ze Śląskiem. Ten wybitny artysta nigdy poza Śląsk nie wyjechał – nie studiował w akademii, a wiedzę i warsztat zawdzięczał praktyce w pracowni Tittela, nestora Szkoły Kowarskiej. Syn piekarza z małej miejscowości Sciegny w pobliżu Kowar, po śmierci ojca został przez starszego brata skierowany do tzw. terminu, gdyż grafika w realiach i ramach Szkoły Kowarskiej była przede wszystkim rzemiosłem. Zamiłowanie i talent, dostrzeżone w rodzinie, zadczyły o karierze zawodowej osiągnięte etapami, mającej podstawę w praktyce. Spotkanie z Carlem Riedenem (1802-1852), bardzo utalentowanym grafikiem, przesądziło o powstaniu spółki graficzno-wydawniczej znanej jako Rieden & Knippel z Kowar.

Centralna grupa prezentowanych w Willi Caro prac to przedstawienia Gliwic. Wprawdzie Opole było stolicą rejencji, ale Gliwice, łącząc dawne tradycje miejskie z intensywną industrializacją stały się znaczącym ośrodkiem przemysłowym. To tu powstał pierwszy na kontynencie europejskim Wielki Piec opalany koksem – wykorzystywany



„Prószków” – panorama, litografia kolorowana, ze zbiorów Muzeum w Gliwicach

## Jednym zdaniem

■ Muzeum Miejskie w Siemianowicach Śląskich zapraszało na wystawę prac studentów, absolwentów i doktorantów Pracowni Działań Multimedialnych Wydziału Artystycznego ASP w Katowicach a zatytułowaną „Po co jest sztuka?”, przygotowaną przez Galerię „Po schodach”, galerię multimedialną „Pivnica” pod patronatem honorowym rektora ASP w Katowicach prof. Antoniego Cygana.

■ Muzeum w Chorzowie zapraszało na wykład z cyklu „Granice historii – historia bez granic” pt. „Pierrot. O nieugaszonym pragnieniu miłości”, który wygłosił dr Jacek Kurek.

■ Inną propozycją Muzeum w Chorzowie były „Wiosenne impresje” czyli koncert kameralny w wykonaniu Zuzanny Janczak (skrzypce), Kornelii Nowak (flet), Michała Szkurienko (fortepian), z utworami Vivaldiego, Hubay’a, Debussy’ego i Czajkowskiego ze słowem o muzyce Ewy Kafel.

■ W galerii Foyer Teatru Śląskiego podczas wystawy „wunderkamera” swoje prace malarskie prezentował Zbigniew Krzywdziak – absolwent psychologii na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie oraz Wydziału Pedagogiczno-Arty-

stycznego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach w zakresie grafiki, zajmował się kształceniem artystycznym dzieci i młodzieży w Pałacu młodzieży w Katowicach, stypendysta prywatnego stypendium w Bazylei; uprawia rysunek, grafikę i malarstwo.

■ W Akademii Muzycznej w Katowicach odbył się koncert Akademickiej Orkiestry Symfonicznej pod dyrekcją Michała Klauzy z udziałem solistki Małgorzaty Wasiucionek (skrzypce), podczas którego wykonane zostały *Koncert skrzypcowy D-dur* Piotra Czajkowskiego i *suita Romeo i Julia* Sergiusza Prokofiewa.

■ W Muzeum Historii Katowic odbyła się wystawa „Imiona malarstwa” autorstwa Ireny Izabeli Imańskiej.

■ „Biblia. 500 lat Reformacji” – pod takim tytułem zorganizowały wystawę parafia ewangelicko-augsburska w Chorzowie oraz Muzeum w Chorzowie.

■ Pod hasłem „Muzyczne dedykacje naszemu miastu” w 150-lecie Miasta Katowice Instytucja Promocji i Upowszechniania Muzyki „Si-

## Muzealne wydarzenie roku 2014

Uroczystość wręczenia nagród odbyła się w Zamku książąt Sulkowskich w Bielsku-Białej. Do nagrody za 2014 rok 21 instytucji zgłosiło 49 przedsięwzięć w 4 kategoriach: wystawy (24 zgłoszenia), publikacje książkowe (9 zgłoszeń), dokonania z zakresu inicjatyw edukacyjnych oraz popularyzacji dziedzictwa kulturowego (11 zgłoszeń), dokonania z zakresu konserwacji (5 zgłoszeń).

Komisja konkursowa nagrodziła następujące wydarzenia:

### Kategoria WYSTAWY

#### Nagrody:

• Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrze za wystawę „Niezwyczajna historia. Kopalnia Królów Luiza w latach 1791-1998”;

• Muzeum Powstań Śląskich w Świętochłowicach za wystawę „Wystawa stała poświęcona Powstaniom Śląskimi i plebiscytowi”.

#### Wyróżnienia:

• Muzeum Miejskie w Tychach za wystawę „Z zakamarków szuflad, z zakamarków pamięci. Wystawa pamiątek rodzinnych tyszan”;

• Muzeum „Górnośląski Park Etnograficzny w Chorzowie” za wystawę „Młyny wodne nad Liswartą i Pankówką”;

• Muzeum Historii Katowic za wystawę „Władysław Skoczylas – mistrz Pawła Stellera”.

### Kategoria PUBLIKACJE KSIĄŻKOWE

#### Nagrody:

• Muzeum Historii Katowic za publikację: Urzula Rzewiczok: „Dąb. Dzieje dzielnicy Katowic”;

• Muzeum w Tarnowskich Górach za publikację: Zofia Krzykowska: „Zobaczyć niewidzialne. Zabytki sztuki sakralnej w powiecie tamogórskim”.

#### Wyróżnienia:

• Muzeum Miejskie w Żorach za publikację: „Ex Africa semper aliquid novi. T. I-III.” w ramach serii wydawniczej „Polskie poznawanie świata”;

• Muzeum Śląska Cieszyńskiego w Cieszynie za publikację: Zbigniew Szczepanek „Cieszyn. Miasto nad Olzą”;

• Muzeum Śląskie w Katowicach za publikację: „Teatralium. Malarstwo, literatura, teatr” pod redakcją Dagmary Stanosz.

Kategoria DOKONANIA Z ZAKRESU INICJATYW EDUKACYJNYCH ORAZ POPULARYZACJI DZIEDZICTWA KULTUROWEGO (w tym wydawnictwa multimedialne)

#### Nagrody:

• Muzeum w Gliwicach za projekt edukacyjny „Chłopiec z Gliwic”;

• Muzeum Częstochowskie za projekt edukacyjny „Modernizacja ekspozycji „in situ” w re-

zerwacie Archeologicznym w Częstochowie – Rawowie”

Wyróżnienia:

- Muzeum Śląskie w Katowicach za projekt edukacyjno-popularyzatorski „Kto żyw bieży do wieży” – cykl jesiennych spotkań plenerowych dla dorosłych i dla dzieci;
- Muzeum Zamkowe w Pszczynie za projekt edukacyjny „Otwarte pracownie konserwatorskie. Muzealne warsztaty konserwatorsko-artystyczne dla dzieci i młodzieży prowadzone przez Dział Konserwacji w Muzeum i Stajniach Książących w Pszczynie”;
- Muzeum Górnośląskie w Bytomiu za projekt edukacyjny „MUZEUM MUZYCZYNIE”.

Kategoria DOKONANIA Z ZAKRESU KONSERWACJI

Nagrody:

- Muzeum „Górnośląski Park Etnograficzny w Chorzowie” za projekt „Konserwacja oleodruku z przedstawieniem Matki Boskiej Kodeńskiej wraz z wydarzeniami towarzyszącymi”;
- Muzeum Historyczne w Bielsku-Białej za projekt „Remont elewacji wewnętrznej oraz zadaszenie dziedzińca Zamku Książąt Sulkowskich”.

Wyróżnienia:

- Muzeum w Gliwicach za projekt „Konserwacja zbroi japońskich ze zbiorów Muzeum w Gliwicach”;
- Muzeum w Raciborzu za projekt „Konserwacja zabytkowych zegarów ściennych ze zbiorów Muzeum w Raciborzu”;
- Muzeum „Górnośląski Park Etnograficzny w Chorzowie” za projekt „Remont i konserwacja młyna wodnego i młyna wiatrowego ze zbiorów Muzeum „Górnośląski Park Etnograficzny w Chorzowie”.



Nagrodę odbierają Andrzej Sośnierz – dyrektor GPE i Damian Adamczyk – autor wystawy.

### Arcydzieło w Muzeum Śląskim

Muzeum Śląskie wzbogaciło się o nowe arcydzieło – obraz Alfonsa Dunina Borkowskiego, który wzbogacił śląską kolekcję malarstwa polskiego. Było to możliwe dzięki uzyskanemu grantowi Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Dzieło *Kozak w stepie* Alfonsa Dunina Borkowskiego, zapomnianego, a jednocześnie wybitnego artysty, uzupełnia jedną z najbardziej reprezentatywnych kolekcji malarstwa polskiego w kraju.

Przez wiele lat twórczość artysty wywodzącego się z klasy mistrzowskiej Jana Matejki była nieznana, a większość jego dorobku zaginęła na wschodzie. Dopiero dzięki wystawie *Artyści ze szkoły Jana Matejki*, zorganizowanej przez Mu-

zeum Śląskie w 2004 roku, dzieła tego malarza po raz pierwszy po wojnie zostały zaprezentowane na ekspozycji muzealnej. W polskich kolekcjach znajdują się zaledwie cztery prace olejne artysty, w tym dwie w zbiorach Muzeum Śląskiego w Katowicach.

Jest to już czwarta dotacja z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego z programu „Kolekcje muzealne” przyznana Muzeum Śląskiemu.

Alfons Dunin Borkowski (1850–1918) – artysta malarz, absolwent warszawskiej Klasy Rysunkowej, gdzie uczył się pod kierunkiem Wojciecha Gersona i Aleksandra Kamińskiego, oraz Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie, w której studiował u Władysława Łuszczkiewicza i Leopolda Loeflera, a od 1882 roku u Jana Matejki. Już w czasie studiów pokazywał swe prace w krakowskim Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych, w warszawskim Salonie Krywulca, a później także w Towarzystwie Zachęty w Warszawie oraz we Lwowie. Malował przede wszystkim sceny rodzajowe (*Przy kufelku, Chora żona, U wodopoju*), baletystyczne (*Bitwa pod Czudnowem, Epizod z roku 1863*) i myśliwskie (*Polowanie na niedźwiedzia, Polów ryb na oścień*).



### „Ogród niewiniątek” w Szopienicach

Za sprawą Browar Factory Centrum, Fundacji Eko-Art Silesia i Galerii Szyb Wilson Katowice – Szopienice były świadkiem niezwykłego wydarzenia artystycznego.

Przy ulicy ks. bpa Bednorza 2a-6, zaprezentowano instalację Sylwestra Ambroziaka pt. Ogród niewiniątek”.

„Ogród niewiniątek” to projekt o niebagatelnym znaczeniu dla rozwoju sztuki współczesnej w Polsce, który zakłada stworzenie instalacji rzeźbiarskiej umiejscowionej w przestrzeni publicznej (na terenie dawnego zabytkowego Browaru Mokroskich w Katowicach-Szopienicach). Na „Ogród”



składają się dwadzieścia dwie rzeźby wykonane z barwionej żywicy epoksydowej, w konwencji charakterystycznej dla autora.

### Kresowianie w Tychach



Kresowianka w białej chuście na głowie i w czarnej sukni, Tychy 1965 r.

„Ze Lwowa, Stanisławowa, Drohobycza, Strzyżowa... Kresowianie w Tychach” to tytuł nowej wystawy, którą można oglądać w tyskim Starym Magistracie. Na ekspozycji pokazane zostaną zdjęcia, dokumenty, pamiątki przechowywane w archiwach rodzin Kresowian oraz w zbiorach Muzeum.

Autorką scenariusza wystawy jest Agnieszka Ociepa-Weiss.

### Amelka w Ateneum

„Amelka, Bóbr i Król na dachu” to tytuł najnowszej inscenizacji przygotowanej przez Śląski Teatr Lalki i Aktora „Ateneum”.

Tekst wybitnego niemieckiego dramaturga, Tankreda Dorsta (znanego przede wszystkim z twórczości dla dorosłych), to poetycka baśń inicjacyjna powstała z inspiracji bajkami nadreńskimi Clemensa von Brentana. Uniwersalna historia poruszająca między innymi temat przyjaźni i życzliwości opowiada o przygodach małej dziewczynki, która podczas wyprawy przez magiczny Szczęśliwy Las pokonać musi mnóstwo niebezpiecznych przeszkód, a równocześnie odkrywa podstawowe prawdy o sobie i otaczającym ją świecie.



Sztukę w tłumaczeniu Jacka St. Burasa wyreżyserował Lech Chojnacki, scenografię zaprojektowała Anna Chadaj, muzyką jest dziełem Roberta Kanaana, a choreografia Eweliny Ciszewskiej.

lesia”, Miejski Dom Kultury „Koszutka” i Zespół Państwowych Szkół Muzycznych im. Wojciecha Kilara zorganizowali koncert, w którym wystąpili Orkiestra Kameralna POSM II ST. im. K. Szymanowskiego pod dyrekcją Jana Stańczyka oraz soliści: wiolonczeliści Szymon Szopa i Natalia Tumas, skrzypek Michał Orlik, gitarzysta Błażej Sudnikowicz, którzy wykonali utwory Vivaldiego oraz młodych kompozytorów – studentów Akademii Muzycznej w Katowicach: Vitali, Jurczyka, Tansmana, Michno, Koszewskiego i Grucki.

■ W Muzeum Górnośląskim w Bytomiu odbyła się wystawa „Odkrywczy skarbow. Archeologia Górnego Śląska”.

■ W Bibliotece Śląskiej koncertowali pianiści Szczepan Kończal i Lukasz Trepczyński – absolwenci katowickiej Akademii Muzycznej, laureaci wielu konkursów pianistycznych, występujący na licznych scenach sal koncertowych Europy.

■ Stowarzyszenie Pamięci Armii Krajowej było organizatorem wojewódzkich obchodów 70. Rocznicy zakończenia II wojny światowej w Europie, które odbyły się pod Pomnikiem Żołnierza Polskiego w Katowicach.

■ Orkiestra barokowa „Arte Dei Suonatori” z udziałem klawesynisty Marcina Świątkiewicza wystąpiła podczas VIII Śląskiego Festiwalu Bachowskiego, zorganizowanego przez UIiPM „Silesia” oraz Miasto Katowice i Akademię Muzyczną w Katowicach.

■ W ramach Festiwalu Jubileuszowego Opera Śląska w Bytomiu wznowiono operę „Manru” Ignacego Jana Paderewskiego.

■ Miejska Galeria Sztuki w Chorzowie była organizatorem wystawy plakatów autorstwa Tadeusza Grabowskiego.

■ W katowickim kinie „Kosmos” odbył się pokaz filmu „Irek” w realizacji Wojciecha Wikarka.

■ O statucie dziennikarza w regionie, zjawisku marginalizacji regionalnych mediów i komercjalizacji rozmawiano podczas debaty zorganizowanej przez LIBRE i Bibliotekę Śląską z udziałem prof. Katarzyny Popiołek, prof. Krystyny Doktorowicz i Beaty Netz.

■ Muzeum Śląskie w Katowicach zapraszało na wernisaz „Owoce rajskiego drzewa, czyli co widzieli Finowie”.

■ Z kolei na spotkanie z fotografią Krzysztofa Szlapy zaprasza Związek Polskich Artystów Foto-

grafików Okręg Śląski oraz Planet Cinema w Katowicach.

■ Miejski Dom Kultury „Południe” w Katowicach, filia Podlesie przygotował wystawę malarstwa Pawła Synowca i jego podopiecznych.

■ Fotografie Zbigniewa Podsiadły można było oglądać w Muzeum Śląskim na wystawie pt. „Igrzysko Boże”.

■ Zarząd Oddziału Katowickiego Polskiego Towarzystwa Ewangelickiego wraz z Parafią Ewangelicko-Augsburską w Katowicach byli organizatorami spotkania, podczas którego odczyt pt. „Związek Śląskich Kół Śpiewaczych – korzenie a rzeczywistość” przedstawił przewodniczący Śląskiego Związku Chórów i Orkiestr Roman Warzecha.

■ Promocja tomiku napisanego po śląsku pt. *Modre Ajnfarty* autorstwa Krystiana Galuszki oraz wystawa malarstwa Piotra Piławy odbyły się w Polskim Radiu Katowice.

■ Związek Polskich Artystów Fotografików Okręg Śląski oraz Planet Cinema byli organizatorami wystawy fotografii pt. „dialog” Beaty Brząkalic i Beaty Mendrek-Mikulskiej.

## Zbędne podskoki

Małgorzata Siuda była cudownym dzieckiem bielskiej kultury. Gdy ją poznałem, miała 14 lat i ze znanstwem prowadziła prelekcje filmowe w DKF „Kogucik” pod kierunkiem swego legendarnego już mistrza Andrzeja Dutki. Później ukończyła studia w katowickim UŚ oraz reżyserię w Akademii Teatralnej w Warszawie. Jej dobry charakter; brak parcia na szkło i akceptacji szurczego wyścigu spowodował, że po studiach nie doczekała się wielu realizacji. Na szczęście w ostatnich miesiącach swój talent zaczyna ujawniać na beskidzkich scenach. Pół roku temu zrealizowała „Nataszę” wg tekstów Jarosławy Puliniowicz w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej, a 31 maja br. „Pannę Julię (pannę żu-li)” Augusta Strindberga na deskach Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego. Dyr. TC Karol Suszka jako bodaj pierwszy poznał się na jej talencie, gdyż już parę lat temu zaprosił do realizacji sztuki Miro Gavrana „Czechow Tolstojowi powiedział zegan”.

Bielska reżyserka nie ma nadmiernie rozbuchanej potrzeby, aby poprawiać klasyków. Owszem do „Panny Julii (panny żu-li)” dała symboliczno-ekspresyjny prolog i epilog złożony z tańca współczesnego (tancerz Marcin Kaleta). Wprowadziła niepokojącą ekspresjonistyczną scenografię i nowoczesną kuchnię, ale w sferze tekstu, kostiumów i gry aktorskiej pozostała wierna Strindbergowi. Owszem z jednoaktówki zrobiła spektakl dwuczęściowy. Pokazała więcej ciała i lubieżnych zachowań, niż praktykowano w teatrach ponad sto lat temu. W porównaniu jednak z tym, czego doświadczyliśmy na co dzień na współczesnych scenach i ekranach, jest to tylko niewinna zabawa milusińskich w doktora, w dodatku pod kocymkiem. Dzięki temu kilka scen „rozbiieranych” zrobiło większe wrażenie. Znakomita była zwłaszcza pierwsza scena drugiej części, w której zmaltretowana ostrym seksem Panna Julia leży w dezablu „bez życia” na biurku. Podejrzewam zresztą, że to dla tej kapitalnej sceny Małgorzata Siuda wprowadziła do spektaklu przerwę.

Reżyserka równie znakomicie poprowadziła aktorów do interpretacyjnego sukcesu. Strindbergowskie role nie należą do łatwych, gdyż dwojka głównych bohaterów musi dysponować sporą skalą emocji do wyrażenia instynktu panowania, denerwującej melancholii i serwilistycznych lęków. Zmiany postaw postaci od dominującej po niewolniczą i odwrotnie muszą się odbywać zarówno z konsekwencją, jak i rytmiczną dynamiką. Świetnie wykonał to trudne zadanie zwłaszcza Tomasz Kłaptocz (służący Jean), który w równym stopniu wspaniale ujawniał skłonności sadyzyczne, lokajskie marzenia czy wiernopoddani-czą służalczość. Początkowo wydawało mi się, że Joanna Litwin w roli Panny Julii jest momentami nazbyt historyczna. Uświadomiłem sobie jednak, że przecież rozpięta arystokratka tak właśnie powinna wyglądać!

Postać kucharki Krystyny (kreacja Małgorzaty Pikus) – w kontekście dramatycznych zachowań bohaterów, którzy usiłują zmienić swój świat – reprezentuje odwieczny porządek. Małgorzata Pikus świetnie podkreślała tragizm bohaterów wyniosłym dystansem do ich pragnień i poczynań. Całą sobą ujawniała, że wyżej tylnej części ciała nie podskoczą...

Los jest tragiczny i nie można go zmienić. Jesteśmy albo poddani chorobliwemu libido dominandi albo podlemu serwilizmowi. Nie dla nas wolność pod wielobarwnym słońcem południa. Byłem zdumiony, że na Scenie Polskiej zobaczyłem tak świetny spektakl, w dodatku zrealizowany przez niewiastę, którą znam od dziecka.

JAN PICHETA

# BIELSKO-BIAŁA

## NOTATNIK KULTURALNY

### Kochamy naszych artystów!

Aż 105 twórców zrzeszonych w Okręgu Bielskim Związku Polskich Artystów Plastyków do 21 czerwca prezentować będzie swe prace na wystawie pn. „Kochajmy naszych artystów” w salach Galerii Bielskiej BWA. Ekspozycję otwarto z okazji 70-lecia istnienia związku plastyków w Bielsku i Białej. Prace dotyczą różnorodnej tematyki i reprezentują większość technik artystycznych. W sali górnej dominują malarstwo, ceramika, rzeźba, obiekty, instalacje, filmy animowane artystów Studia Filmów Rysunkowych, a także dokumentacja prac konserwatorskich zabytków sakralnych. W sali dolnej eksponowane są głównie prace wykonane na papierze. Są to zarówno rysunki i malarstwo (dzieła unikatowe, istniejące w jednym egzemplarzu), jak i prace graficzne, powielane z matrycy lub wydruki komputerowe. Można tu obejrzeć także fotografie i projekty graficzne oraz prace wykorzystujące szkło.

Uzupełnieniem wystawy jest prezentacja archiwalnych zdjęć z życia bielskiego środowiska artystycznego autorstwa Bogdana Ziarki i Jacka Grabowskiego. Ekspozycji głównej towarzyszy wystawa prac jednej z najstarszych przedstawicielki bielskiego ZPAP Janiny Wiciejewskiej-Pochopień w klubokawiarni „Akwarium”. Prezentowane prace zostały zakupione do Kolekcji Sztuki Galerii Bielskiej BWA w 2014 r. ze środków finansowych ministra kultury i dziedzictwa narodowego. Z okazji 70-lecia powstania oddziału związku w stolicy Beskidów Okręg Bielski ZPAP, Galeria Bielska BWA i Muzeum Historyczne w Bielsku-Białej wydały w nakładzie 600 egzemplarzy album pn. „70 lat obecności Związku Polskich Artystów Plastyków w Bielsku-Białej. 1945–2015”. Album za-



Fot. Krzysztof Morcinek

Wernisaż wystawy „Kochajmy naszych artystów. 70 lat obecności ZPAP w Bielsku-Białej”, Galeria Bielska BWA, 15 maja 2015 r. Na zdjęciu od lewej artyści: Jolanta Herma-Pasińska, Iwona Pastok, Piotr Czadankiewicz.

### Jednym zdaniem

■ 6 maja młody bielski twórca Karol Komorowski wygłosił w BWA wykład pt. „Fotografia po Internecie”.

■ 7 i 8 maja Katedra Literatury i Kultury Polskiej ATH zorganizowała międzynarodową konferencję literaturoznawczą „Dyskursy Miłosza. Dyskursy o Miłoszu”.

■ 16 maja w Kinie Studio odbył się VII Bielski Festiwal Filmowy „Film Foto Multimedia” 2015”.

■ Od 18 do 22 maja w Cieszynie, Bielsku-Białej i Katowicach odbył się festiwal organizowany przez Klub Gaja „Ekodzieło 2015”.

■ 22 maja w Teatrze Polskim odbył się koncert promujący płytę bielskiego zespołu Anashim, wyróżnionego w konkursie Radiowej Trójki „Nowa Tradycja”.

wiera teksty dotyczące historii środowiska plastycznego regionu, spis wszystkich członków związku w minionych latach oraz noty biograficzne, portrety i reprodukcje prac 200 artystów. Katalog pod redakcją Teresy Dudek-Bujarek, Agaty Smalcerz, Krystyny Stec i Piotra Wisły mieści zdjęcia archiwalne i dokumentalne ze zbiorów rodzinnych, prywatnych oraz instytucji kultury. Autorką tekstów pt. „Fenomen nie do powtórzenia. ZPAP Oddział w Bielsku i Bielsku-Białej 1945–1977” i „Przerwana tożsamość. ZPAP Okręg Bielsko-Biała 1977–1983, 1990–2014” jest historyk sztuki, kustosz Muzeum Historycznego w Bielsku-Białej Teresa Dudek-Bujarek.

### Lepsze życie pod skarpa

W czerwcu Izabela Oldak kończy malowanie muralu pod skarpa przy ul. Partyzantów w Bielsku-Białej. Zapelnia barwami całą ścianę o długości ponad 60 m i wysokości 3,5 m.

Jak twierdzi dyr. Galerii Bielskiej BWA Agata Smalcerz, która zaprosiła artystkę do udziału w projekcie „oBBraz Miasta”, Izabela Oldak, tworząc projekt muralu na ścianę przy ruchliwej, przelotowej arterii miasta z pozostałościami bielskich fabryk, pomyślała o nasyceniu go bogatą ornamentyką, kolorami i optymizmem, nieprzypadkowo tytułując: „Sztuka dla lepszego życia”.



Fot. Marek Jaworek

Izabela Oldak realizuje 60-metrowy mural pod skarpa przy ul. Partyzantów w Bielsku-Białej.

### Bez obiektywu mistrza

4 czerwca w Moguncji zmarł Kurt Weber. Wybitny operator filmowy i reżyser urodził się 24 maja 1928 r. w Cieszynie w rodzinie żydowskiej. W czasie II wojny światowej przebywał na wygnaniu w ZSRR. Po wojnie ukończył łódzką „filmówkę”, w której później wykładał. Stał za kamerą tak znanych filmów jak „Salto” Tadeusza Konwickiego, „Ludzie z pociągu” Kazimierza Kutza, „Baza ludzi umarłych” Cz. Petelskiego, „Morderca zostawia ślad” A. Ścibor-Rylskiego” z ostatnią rolą Z. Cybulskiego. W 1969 po antysemickiej partyjnej nagonce wyjechał do NRF. Tam nadal zajmował się filmem. Twierdził, że nie ma szczęśliwej emigracji i zawsze czuł się cieszyńniakiem. Mawiał, że operator powinien mieć wyobraźnię jak Leonardo da Vinci, siłę przebicia jak czołg i umiejętność dostosowania się do sytuacji jak kurtyzana.

■ 22 maja w cieszyńskich i bielskich placówkach kultury odbyła się „Noc Muzeów”

■ 27 maja w DK Włókniarzy odbył się IV Bielski Konkurs Satyryczny „Wrzuc na luz”.

■ 29 i 30 maja w Bielsku-Białej odbył się XVI Beskidzki Festiwal Nauki i Sztuki.

■ Z okazji XIII Festiwalu A. Vivaldiego w bielskich kościołach i Teatrze Polskim występowała w maju Orkiestra im. Telemanna ze skrzypkiem Piotrem Sadowskim.

■ W maju w Galerii Wzgórze odbyły się projekcje filmów R. Polańskiego w ramach cyklu pn. Bielskie Kino Niezależne „BiKiNi”.

■ Do 19 czerwca potrwa w Galerii Akademickiej ATH wystawa prac fotograficznych konkursu im. Franciszka Dzidy „Świat wokół nas”.



## Trochę smutny jubileusz...

XXV Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej *Gaude Mater* był nieco skromniejszy niż zapowiadano. Nie odbyło się „Etno\*C”, w Częstochowie zorganizowano jedynie 6 koncertów z zaplanowanych 12, nie wystawiono również prac Leszka Mądziaka w alei Henryka Sienkiewicza. Przyczyną były oczywiście pieniądze. Główny organizator, Stowarzyszenie Przyjaciół *Gaude Mater*, po raz kolejny narzekał na wysokość dotacji z Urzędu Miasta, ale wystąpienie dyrektor festiwalu, Małgorzaty Nowak, która przed koncertem finalowym zasugerowała, że było to może ostatnie spotkanie, zelektryzowało wszystkich. Czy to naprawdę koniec? Miasto deklaruje gotowość dalszej współpracy, choć nie dookreśla jej kształtu...

Częstochowskie koncerty zdominowała muzyka współczesna, rozbrzmiewająca przede wszystkim na Jasnej Górze. Tu z okazji 80. urodzin Arvo Pärta, kompozytora muzyki sakralnej z Estonii, zaśpiewał kontratenor Andreas Scholl, który poprzednio wystąpił na błonach jasnogórskich w 2011 roku, z towarzyszeniem Polskiego Chóru Kameralnego „Schola Cantorum Gedanensis” pod dyktando Jana Łukaszewskiego, zespołu Morphing Chamber Orchestra założonego przez altowiolistę Tomasza Wabica, absolwenta częstochowskiego Zespołu Szkół Muzycznych im. M.J. Żebrowskiego. Na organach grał Andrzej Bialko, a na fortepianie Tamar Halperin. Obecny na koncercie jubilat otrzymał w prezencie m.in. obraz Władysława Ratusińskiego oraz medal Karoliny Ściegienny, a oklaskom zgromadzonej publiczności nie było końca.

Również w Bazylice Jasnogórskiej odbyła się inauguracyjna liturgia festiwalu, podczas której miało miejsce prawykonanie utworu Aldony Nawrockiej „Missa pro Maria per soprano, baso, tromba, organo e coro misto”. Wzięli w niej udział soliści: Lucja Szablewska-Borzykowska (sopran), Piotr Pieron (bas), Tomasz Woźniak (trąbka) i Marcin Sówka (organy). Tu także zorganizowano koncert finałowy z muzyką Igora Strawińskiego i Pawła Łukaszewskiego (prawykonanie III symfonii „Symphony of Angels”), w którym wystąpiła Anna Mikołajczyk-Niewiedzial (sopran). Koncerty odbywały się również w innych kościołach częstochowskich – w kościele ewangelicko-augsburskim (koncert muzyki XX wieku), kościele seminaryjnym (The King's Singers oraz Paco Pea z towarzyszeniem Zespołu Śpiewaków Miasta Katowice „Camerata Silesia”).

Częstochowa była też miejscem prawykonania utworów chóralnych, nagrodzonych w XI Międzynarodowym Konkursie Kompozytorskim „Musica Sacra”. W tym roku jury pod przewodnictwem Mariana Borkowskiego, z Janem Łukaszewskim w składzie, przyznało nagrody w kategorii chóralnej (zwyctwili Marek Raczynski) oraz w kategorii organowej (zwyctwili Francisco José Carbonell Matarredona).

Oczywiście, festiwal to nie tylko wydarzenia muzyczne. Częstochowską publiczność zaproszono także na wystawę Agaty Padoł-Ciechanowskiej „Droga, która leczy” (rozważania o drodze krzyżowej) w Sali o. Kordeckiego, na spotkanie z Leszkiem Mądziakiem, autorem tegorocznego plakatu oraz konferencję „Klasztor i muzyka od średniowiecza do czasów współczesnych”.

Wydarzenia festiwalowe zorganizowano także w Poznaniu, Warszawie, Bydgoszczy, Gdańsku, Mstowie, Wrzosowie, Leśniewie oraz Kolonii (Niemcy). Tu m.in. zabrzmiał chór gregoriański, pieśni polifoniczne Gruzji, muzyka ze zbiorów jasnogórskich oraz Misterium Siabrat Mater Włodka Pawlika

Pozostaje mić nadzieję, że mimo konfliktu Stowarzyszenia Przyjaciół *Gaude Mater* i Urzędu Miasta zapowiedzi dyrektor Małgorzaty Nowak nie spełnią się, a urzędnicy odpowiedzialni za budowanie programu kulturalnego miasta nie zapomną o edukowaniu odbiorców i przygotowywaniu ich do uczestniczenia w tzw. kulturze poważnej, która wyznacza przeciwieństwo polskie i europejskie dziedzictwo kultury.

JOANNA KOTKOWSKA

# CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

## Piosenki z dobrym tekstem

Gwiazdą tegorocznego Festiwalu im. Kaliny Jędrusik (24–25 kwietnia) była Hanna Banaszak, która chętnie sięga po teksty Jonasza Kofty, Jeremiego Przybory, Józefa Barana, ale także Jana Kochanowskiego, Bolesława Leśmiana, Tymoteusza Karpowicza, Edwarda Stachury, Zbigniewa Herberta czy Wisławy Szymborskiej. Podczas koncertu w Miejskim Domu Kultury towarzyszyli jej: Andrzej Mazurek (instrumenty perkusyjne), Jacek Sz waj (fortepian), Zbigniew Wrombel (kontrabas) oraz Krzysztof Przybyłowicz (perkusja).

Dzień później Banaszak przewodniczyła jury, w którym zasiadli także Katarzyna Suska-Zagórska oraz Olek Klepacz. To oni ocenili 20 osób, wybranych na podstawie przesłanej płyty przez Mariana Floraka, Krzysztofa Niedźwieckiego, Ryszarda Strojca oraz Katarzynę Suskę-Zagórską. Zwyciężyła Joanna Smajdor, studentka Wydziału Jazzu Akademii Muzycznej w Katowicach, uczestniczka „The Voice of Poland”, drugie miejsce zajęła Daria Zawiałow (występowała już w chórkach u Maryli Rodowicz oraz w programie „Mam Talent”), trzecie – Piotr Zubek, piętnastolatek, uczestnik „Bitwy na Głosy”, nagrodzony również w zeszłym roku. Wyróżniono także: Justynę Panfilewic, Jagodę Różycką, Grzegorza Grunwalda, Barbarę Piotrowską i Magdalenę Syposz. Do koncertu laureatów zaproszono również najmłodsze uczestniczki – Julię Kamińską i Natalię Ochmańską.

## Polskość emigrantów

Tegoroczny cykl *Aleje – tu się dzieje!* rozpoczął się mocnym akcentem literacko-teatralnym. 30 kwietnia w Odwachu odbyło się spotkanie z Januszem Rudnickim, znanym choćby z drukowanych w „Twórczości” *Listów z Hamburga*, gdzie autor mieszka od 1983 r. Następnie w OPK „Gaude Mater” Wojtek Kowalski przygotował monodram *3x TAK*, na podstawie książek gościa, z którym poznali się na Famie, *3x TAK*, *Męka kartoflana* i *Zabicie czeskiego psa*.

Główną ideą przedstawienia była polskość, polskość zapamiętana i zapomniana, ukształtowana przez historię, ale także współczesność. U Rudnickiego emigracja zamiast sentymentalizmu uruchamia potrzebę dyskusji i konfrontacji – zamiast zwycięstwa pod Grunwaldem jest więc wyprawa pod Malbork i bolesne powstanie warszawskie. Jednym z wyznaczników tożsamości okazuje się mąka ziemniaczana, która także ze względu na trudną niemiecką wymowę obnaża jego odmienność – nie rozumieją go ani Turcy, ani Niemcy. Ale nawet Polacy na targu zdają się być obcy – myślą jedynie o tym, by ko-

rzystnie sprzedać kryształ i dewocjonalia z Janem Pawłem II.

W finale monodramu Wojtko Kowalskiego, aktora, animatora kultury, saksofonisty, pojawiła się Polska jako stara baba, która cierpi na rozwolnienie, zatwardzenie, hemoroidy..., choć jak zaznaczył obecny na widowni autor była to reakcja bohatera na telewizyjne reklamy, gdy dolegliwości gastryczne i inne schorzenia, które jeszcze niedawno uchodziły za szobieniczne, zadomowiły się w dyskursie publicznym i wyznaczyły tematy podejmowane podczas proszonych obiadów.

Kowalski tworzy postać emigranta za pomocą prostych gestów i rekwizytów – żelaznego łózka, kolorowego światła, ale przede wszystkim gra doskonale wykorzystując swoje warunki fizyczne. Przypomina Szwajkę i kreuje postać emigranta według modelu prostaczka, którego intelektualne rozważania zadziwiają swoją logiką, obnażając komunały i naukowy język współczesności – rozważania przy śmietniku na temat kontekstu uzasadniającego jego istnienie po prostu doskonale! Obecny na spektaklu Rudnicki był zachwycony...

## Pogranicza Poświętowskiej

Projekt *Haśka. Poświętowska in art* trwa już dwa miesiące, ale weekend 8–9 maja był szczególnie w powodu rocznicy urodzin poetki. Przedstawiciele władz oraz mieszkańców złożyli kwiaty pod tablicą wmurowaną na ścianie kamienicy, w której urodziła się poetka 9 maja 1935 r., ale przede wszystkim jej twórczość wypełniła uszy i oczy częstochowian za pomocą rozmaitych mediów – planszy w witrynach, głośników w autobusach, intersemiotycznych przekładów.

W wigilię urodzin OPK *Gaude Mater* przygotowano wystawę częstochowskich plastików *Z takich niek uplecione jest ciało*, w której udział wzięli artyści różniący się wiekiem, doświadczeniami oraz prezentowaną techniką, m.in. Marta Frej, Antonina Janus, Urszula Łyko-Katus, Ewa Powroźnik, Bartosz Frączek, Rafał Głowacki, Jacek Pałucha, Władysław Ratusiński, Tomek Sętowski czy Jacek Sztuka.

Dzień później odbył się tu koncert *Poświętowska w muzyce* przygotowany przez prof. Aleksandrę Nawę, daleką kuzynkę poetki (jej pradiadka był bratem dziadka autorki *Jestem Julią*). Kompozycje Krzysztofa Grzeszczaka, Dariusza Szankina, Jerzego Bauera, Andrzeja Hundziaka oraz Piotra Hertla zaprezentowały Katarzyna Zajac-Caban (sopran) oraz Agnieszka Makówka (mezzosopran). Akompaniowała im na pianinie prof. Aleksandra Nawa, a recytowała Izabela Połomska. Podczas koncertu zabrzmiał m.in. słynny utwór zaczynający się od słów: „Halina Poświętowska to jest podobno człowiek...”

W czasie takiego weekendu nie mogło zabraknąć filmu i teatru. OKF „Iluzja” zaprosił na przegląd filmów o Halinie Poświętowskiej – *Haśka, Tętno, Jak narkotyk oraz Ptaku mojego serca, moim sąsiadem jest anioł, będę kobietą*, a w Ratuszu zaprezentowano film Anny Ferens *Errata do biografii*.

To wszystko uzupełniało słowo żywe, wspomnienia brata poetki, Zbigniewa Mygi, oraz jej biografki Marioli Pryzwan, autorki książki *Haśka. Poświętowska we wspomnieniach i listach*, z którą w Bibliotece Publicznej im. W. Biegańskiego rozmawiała prof. Elżbieta Hurmik.

Jednym zdaniem

■ Zagrali: Filharmonia – Marcin Wyrostek, Black Bird; Teatr from Poland – Wiosenne Pogo, Maleo Reggae Rochers; MDK – Five O’Clock; Muzyczna Meta – Włodzimierz „Kinior” Kiniorski, OPK *Gaude Mater* – Maciej Gołębiewski i Alexander Sherchenko.

■ Wystawy: MGS – *Pracownia książki*, 27 Plenier Miejski *Miniatura. Ornament. Inicjał*, Kinga Nowak *Zenit*; CPM – Justyna Adamczyk *Keep your mouth closed*.

■ W cyklu *Multimedia Symponia Gwiazd* w Filharmonii Częstochowskiej wystąpiła Julianna Awdziejewa.

■ W OKF spotkanie z Jerzym Kędziorą, w Bibliotece Publicznej im. W. Biegańskiego z Bar-

barą Rosiek, a w Odwachu w cyklu *Aleje – tu się dzieje!* z Jackiem Dehelem, Marcinem Wróńskim oraz Przemkiem Kossakowskim.

■ 22 kwietnia Tadeusz Ehrhardt-Orgielewski opowiadał o jazzie tradycyjnym w OPK „Gaude Mater”.

■ 9 maja w Teatrze im. A. Mickiewicza młodzież pod kierunkiem Agaty Ochoty-Hutry przygotowała salon poezji Bonifacego Dymarczyka.

■ 13 maja w OPK *Gaude Mater* odbyła się promocja listów Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej *Z Tobą jednym. Listy Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej i Stefana Jasnorzewskiego* w wyborze i opracowaniu Elżbiety Hurnikowej.

## Moim jesteś Opole

Od wielu lat Wzgórze Uniwersyteckie staje się niezwykłym ogrodem, dokąd uciekamy od brył ze szkła i metalu, zniewolonych dyktaturą kąta prostego. W środku owego miasta wieje chłodem, ale wystarczy kilka minut spaceru, aby przekroczyć granicę pomiędzy krainą hałasu i krainą łagodności, gdzie oko cieszy zielenią i owale figur, wyprowadzone dłońmi artystów. Święty Wojciech ze studnią jego imienia i barokowe „Cztery Pory Roku” Hartmanna (śląskiego rzeźbiarza XVIII wieku), Dama z Harfą czyli śląski Kopciuszek (hrabina Schaffgotsch de domo Gryzik), muzy, putta i św. Krzysztof – wspominają lata świetności pałacu w Kopicach. Nieopodal najnowsze dzieła: Osiecka, Niemen, Grechuta, Wasowski, Przybora i Jonasz, współtworzące legendę Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej. Jednak żadna z tych postaci nie była tak głęboko i emocjonalnie związana z Opolem jak Edmund Jan Osmańczyk (1913–1989), uwieczniony w brązie przez prof. Mariana Molendę obok kościoła na Górcze. Osman spędził dzieciństwo i młodość na Śląsku Opolskim. Studiował historię w Warszawie i dziennikarstwo w Berlinie, podejmując się wielu wyzwań, wymagających talentu i odwagi. Fortuna sprzyjała młodzieńcowi, odnosił wiele sukcesów jako redaktor polskich czasopism i działacz Związku Polaków w Niemczech. Świadectwem wyjątkowej więzi z Opolem stał się jego debiutancki tomik „Wolność jest słoneczna” (Opole, 1937). Poeta w zbiorze strof serdecznych (liryka patriotyczna i miłosna) opiewał ukochane miasto: „Na rynku, pochylonym ku rzece mej – Odrze / Oddycham słowem żywym pośród braci moich... Moim jesteś Opole, w tobie słowo moje! / Słowo niezwykłe, jak wszystko, co polskie. / – Oto na ziemi Ojców słowem żywym stoję! / Miasto moje – Opole – jakżeś ty opolskie”. Słowa te stanowiły źródło natchnienia i dawały Polakom otuchy, zarówno w czasach niemieckiego nazizmu jak również w powojennych dziejach miasta i regionu. Autor pomnika przedstawił Osmańczyka (jak zwykle elegancko ubranego, pod muchą) w pozie zadumy z książką w dłoni, idącego powoli przez swoje miasto ścieżką układającą się w kształt Rodła. Wielokrotnie do niego powracał jako poseł i senator Ziemi Opolskiej, której służył w najtrudniejszych czasach. Miłość do Opola nie była przelotnym ptakiem uczuć i wciąż trwa, bowiem Osmańczyk zgodnie ze swoją ostatnią wolą spoczywa obok kościoła Na Górcze pod kamienną płytą ze znakiem Rodła, na którą spogląda zamyślony w pomnikowej pozie. Biografia i dokonania Edmunda Jana Osmańczyka zastępują na pamięć potomnych. Pozostawił współczesnym znaczący dorobek: „Encyklopedia ONZ i stosunków międzynarodowych”, którą przetłumaczono na wiele języków, zaś „Sprawy Polaków” stanowią lekturę obowiązkową dla wszystkich, którym nie są obojętne sprawy naszej Ojczyzny.

JANUSZ WÓJCİK

# OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

## Festiwal Teatrów Lalek

W Teatrze Lalki i Aktora im. Alojzego Smolki w Opolu gościł XXVII Ogólnopolski Festiwal Teatrów Lalek, największa i najbardziej prestiżowa impreza krajowa ukazująca dorobek sceniczny w tej dziedzinie sztuki. Najlepsze polskie teatry lalkowe zawiązały do Opola, aby zaprezentować spektakle przeznaczone zarówno dla dzieci, młodzieży jak też dorosłych widzów. W repertuarze tegorocznego OFTL znalazło się jedenaście spektakli konkursowych oraz siedem inscenizacji pozakonkursowych. Festiwalowi towarzyszył bogaty program różnorodnych imprez edukacyjno-artystycznych, m.in. pokazy studentów, wystawy oraz warsztaty i dyskusje poświęcone sztuce lalkarskiej. Zakończenie imprezy uświetnił koncert Stanisława Soyki. Po obejrzeniu wszystkich prezentacji jurorzy pod przewodnictwem Leszka Mądziaka postanowili przyznać pierwszą nagrodę spektaklowi „A niech to gęś kopnie” Teatru Animacji w Poznaniu, drugą opolskiemu teatrowi za „Liściki na wiatr”, trzecią zaś Teatrowi Baj z Warszawy za spektakl „Gęś, śmierć i tulipan”. Nagrodę zespołową przyznano: Annie Augustynowicz, Jackowi Wierzchowskiemu i Zbigniewowi Szymczykowi za reżyserię, muzykę i choreografię spektaklu „Bajki samograjki” Teatru Lalek Pleciuga w Szczecinie. Nagrodę aktorską otrzymał Marcin Bikowski za rolę w spektaklu „Bacon” (Teatr Malabar Hotel w Warszawie), a Pavola Andraško nagrodzono za dekoracje do przedstawienia „Sen nocy letniej” (Teatr Lalek Banialuka w Bielsku-Białej). Nagrody za muzykę teatralną otrzymali: Piotr Nazaruk („A niech to gęś kopnie!”) oraz Mateusz Dębski („Gęś, śmierć i tulipan”).

## Pożegnanie Ireny Wyczółkowskiej

Podczas wieczoru w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Opolu przyjaciele, czytelnicy i najbliższa rodzina pożegnali Irenę Wyczółkowską (1941–2015), znakomitą poetkę, eseistkę, znawczynię współczesnej literatury pięknej, o której przez wiele lat mówiła ze smakiem w autorskiej audycji na antenie Ra-

dia Opole. Debiutowała bardzo wcześnie w „Odrze” w 1958 roku i niespodziewanie zamilkła na blisko ćwierć wieku, aby powrócić serią tomików poetyckich (opublikowała *Skórę węża, Gdzie piołun rośnie, Ptaszyisko, Balkon bez poręczy, Gwar utajony, Smoczka samotność, Wstęp do teorii jawy, Ulicę Równoległą, Bilet na wodolot*). W 1993 roku została laureatką Nagrody Literackiej im. Marka Jodłowskiego podczas IV Międzynarodowego Najazdu Poetów na Zamek Piastów Śląskich w Brzegu. Twórczość poetki zyskała uznanie krytyki i co warto szczególnie podkreślić – grono wiernych czytelników. Studiowała w Opolu na WSP, a następnie pracowała w wydawnictwie tej uczelni, jako autorka i redaktor była związana z opolskimi czasopismami: „Opole” i „Strony”. Jesień życia Ireny Wyczółkowskiej, pomimo zmagania z długotrwałą i ciężką chorobą, zaowocowała książkami wyjątkowej urody – tomikiem poetyckim *Portret z duszą na ramieniu* i debiutem prozatorskim *Mitopolotki*, stanowiącym zbiór krótkich opowiadań sięgających do motywów mitologii greckiej i rzymskiej.

## Opolska Noc Muzeów

Inicjatywa kulturalna ciesząca się od lat sporą popularnością po raz kolejny przyciągnęła licznych mieszkańców Opola do instytucji muzealnych, które z tej okazji przygotowały bogaty i zróżnicowany program tegorocznej edycji imprezy. Jedną z najciekawszych propozycji przygotowało Muzeum Wsi Opolskiej, którego goście wzięli udział w rekonstrukcji nocnych zajęć i zwyczajów mieszkańców dawnej śląskiej wsi. Zaprezentowano m.in. „scenki z życia wiejskiej nauczycielki”, inscenizację wieczoru w karczmie, odwiedzający uczestniczyć mogli również w wypiekach tradycyjnego chleba w zabytkowym piecu, a także w pokazach kucia wyrobów z żelaza oraz pokazach oporządzenia zwierząt w gospodarstwie wiejskim. Muzeum Śląska Opolskiego przygotowało natomiast „Sen nocy letniej”, w programie którego znalazły się prelekcje, gry i zabawy edukacyjne, warsztaty plastyczne, a także efektowny spektakl ognia w wykonaniu Teatru Tańca i Ruchu Mantikora. Niezwykle widowiskowym punktem imprezy był mapping – wielkoformatowa projekcja multimedialna wyświetlana na ścianie budynku muzeum, położonego w urokliwym zakątku miasta. Program tegorocznej Nocy Muzeów uzupełniły imprezy przygotowane m.in. przez Centralne Muzeum Jęńców Wojennych (warsztaty historyczno-plastyczne i wykłady), Muzeum Uniwersytetu Opolskiego (wieczorny spacer po Wzgórzu Uniwersyteckim z przewodnikiem, przejażdżki ulicami miasta starym autobusem) oraz Muzeum Polskiej Piosenki.

Jednym zdaniem

■ „To co mnie kręci” – wystawę prac plastycznych Wita Piechurka można było obejrzeć w Galerii ZPAP „Pierwsze Piętro” w Opolu, artysta przedstawił publiczności opowieści ukryte w metalu, który był głównym motywem i tworzywem wystawionych prac.

■ Koncert Aloszy Awdiejewa, promujący płytę *Alosza Awdiejew – koncerty w Trójce*, odbył się w Filharmonii Opolskiej im. J. Elsnera.

■ Wieczór piosenek z repertuaru Bulata Okudźawy w wykonaniu Marii i Adama Urbaników odbył się w Muzeum Wsi Opolskiej.

■ W Miejskiej Bibliotece Publicznej w Opolu czytelnicy spotkali się z o. Leonem Knabitem, który zaprezentował swoją najnowszą książkę „Spotkania z Wujkiem Karolem”, poświęconą znajomości zakonnika z Janem Pawłem II.

■ Podczas spotkania „Śląsk, którego już nie ma – muzyczno-literacka podróż w przeszłość” w Muzeum Śląska Opolskiego w Opolu odbyła się promocja książki Małgorzaty Goc „Tiszber-

kowe losy, czyli wieś opolska na starej fotografii”, promocji towarzyszył zespół muzyczny Silesian Brass Quartet.

■ Gościem Miejskiej Biblioteki Publicznej w Opolu był Krzysztof Zanussi. Podczas spotkania z wybitnym filmowcem ks. prof. Michał Lis z Uniwersytetu Opolskiego zaprezentował swoją najnowszą publikację „Krzysztof Zanussi. Przewodnik Teologiczny”.

■ W Muzeum Śląska Opolskiego odbyła się wystawa jubileuszowa z okazji 30-lecia Związku Polskich Artystów Plastyków „Polska Sztuka Użytkowa”, na której zaprezentowano prace 80 artystów: malarstwo, rzeźbę, grafikę, ceramikę i fotografię.

■ 90. rocznicę urodzin Andrzeja Hamady, znanego opolskiego architekta, uczczono benefisem w Muzeum Śląska Opolskiego, spotkanie prowadził redaktor Leszek Myczka, a sylwetkę jubilatę przedstawił gościom dr Adam Wierciński z Uniwersytetu Opolskiego.

## Muzyczne Zagłębie?

29 maja z szybu Kazimierz I wyjechał wagonik z ostatnią toną węgla, symbolem tego wydarzenia wzmacnia dodatkowo fakt, że kopalnia Kazimierz-Juliusz była ostatnią z kilkunastu funkcjonujących na terenie Zagłębia Dąbrowskiego. Tak więc data 29 maja 2015 roku stała się historyczną, zamykającą dzieje tutejszego górnictwa. Sosnowiec z miasta pięciu kopalń przeobraża się... no właśnie – wciąż czekamy na wyrazistą wizytówkę stolicy Zagłębia, która liczy blisko 210 tysięcy mieszkańców.

Dzień wcześniej 28 maja odbyło się uroczyste otwarcie kultowej dla sosnowiczian sali byłego kina „Muza”. Budynek powstał na przełomie XIX i XX wieku i pierwotnie służył jako wozownia dla konnych zaprzęgów, które oczekiwały na przyjazd pasażerów podróżujących Koleją Warszawsko-Wiedeńską. W latach 30. minionego wieku konny garaż przekształcono w salę, w której gościły kolejno kina: „Palace”, „Roxcy”, „Nowe Pokolenie” a po generalnym remoncie w 1956 r. – „Muza”, która z trudem dotrwała do 2005 r., kiedy to ze względów bezpieczeństwa zamknięto jej podwoje na długich 10 lat. Mało kto wierzył, że kiedykolwiek zatętni tu znów życie. A jednak. Nowa sala mieści około 500 widzów, mogą odbywać się tu koncerty, spektakle, pokazy taneczne, okolicznościowe imprezy, konferencje. Duża powierzchnia raczej nie sprzyja kameralnym wieczorom. A szkoda, chętnie posłuchałobyśmy na przykład recitalu znakomitej sosnowiczanki Agnieszki Chrzanowskiej.

Gwiazdą inauguracyjnego wieczoru był Ray Wilson, były wokalista zespołu Genesis. Było głośno, hucznie i bardzo uroczysto. Po tak wielu latach oczekiwania nikt już nie śmiał pytać czego symbolem jest elewacja budynku odwzorowująca jeden z najstarszych polskich radioodbiorników ani dlaczego nie pomyślano o parkingu. Pod tym względem nowa „Muza” jest miejscem dostępnym dla bardzo wtajemniczonych, nie ma więc obaw, że stanie się obiektem szturmowanym przez mieszkańców miast ościennych.

To już druga sala muzyczna w mieście, w którym jeszcze do niedawna koncerty mogły odbywać się jedynie w gościnnym Teatrze Zagłębia. W czerwcu 2013 r. w Zespole Szkół Muzycznych oddano bowiem do użytku znakomicie wyposażoną salę koncertową, której inaugurację uświetnili m.in.: Małgorzata Walewska, Wiesław Ochman, Arnold Rutkowski, Orkiestra Filharmonii Śląskiej.

O imprezach muzycznych, festiwalach dużych i małych, kameralnych koncertach w grodzie nad Brynicą i Przemszą zaczyna być coraz głośniejsze. Czyżby więc na zgliszczach węglowego królestwa rozdziło się muzyczne Zagłębie? Patronka, bogini sztuki i nauki już jest i to w samym sercu miasta, dobra tradycja także, wystarczy więc trafić w gusty mieszkańców i recepta na sukces gotowa.

MARIA SZTUKA

# ZAGŁĘBIE NOTATNIK KULTURALNY

## Nagrody „Humanitas”

Gala X edycji Konkursu o Zagłębiowską Nagrodę „Humanitas” odbyła się w nowo otwartej sali koncertowej „Muza” w Sosnowcu. W trakcie uroczystości Odznakę Zasłużony dla Kultury Polskiej, przyznawaną przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego odebrał prof. dr hab. Dariusz Rott z Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Śląskiego, ubiegłoroczny laureat Zagłębiowskiej Nagrody „Humanitas” w kategorii honorowej.

Tegorocznymi laureatami konkursu zostali: Zbigniew Leraczyk, dyrektor Teatru Zagłębia w Sosnowcu oraz sosnowiecki Zespół Szkół Muzycznych im. Jana Kiepury. Dorota Grolik, dyrektor ZSM odbierając nagrodę powiedziała m.in.: *Dziękuję że docenicie państwo naszą codzienną, normalną pracę. Wszystko co robimy, przekłada się na naszą pasję do muzyki. Jeżeli dzielimy się tym z państwem i państwo w tak wspaniały sposób to docenicie, to mogę powiedzieć, że ma sens to, co na co dzień robimy.*

Zbigniew Leraczyk dziękując za wyróżnienie przyznał, że w ciągu ostatnich niespełna czterech latach Teatr Zagłębia zaistniał bardzo wyraźnie i mocno na teatralnej mapie Polski. *Byliśmy na 16 międzynarodowych i ogólnopolskich festiwalach i przeglądach teatralnych. Osiągnęliśmy sukces. Marka Teatru Zagłębia z Sosnowca to marka ogólnopolska... Jest mi miło, że zostaje nagrodzona instytucja kultury i ja jako dyrektor. I powinienem się cieszyć, a jest mi smutno, bo niedaleko stąd ważą się losy 70-letniego Teatru Dzieci Zagłębia. To smutna wiadomość dla Zagłębia. Dlatego dziękuję za tę nagrodę, ale jestem myślami przy kolegach z Będzina. Trzymam za was kciuki – zakończył dyrektor.*

Uroczystość, zorganizowana jak zawsze przez Wyższą Szkołę Humanitas oraz Funda-



Fot. z arch. Wyższej Szkoły Humanitas

## Jednym zdaniem

■ Do 7 czerwca w sosnowieckiej Galerii Extravagance można oglądać wystawę „Zagubione w czasie” Krzysztofa Kiwerskiego.

■ Od 11 do 31 maja w sali widowiskowo-koncertowej „Muza” w Sosnowcu swoje prace wystawiała Grupa Plastyczna Relacje.

■ W sosnowieckim Centrum Sztuki-Zamek Sielecki od 8 maja do 5 lipca gości wystawa zatytułowana „Ach dzieckiem być! – zabawki PRL”. Ekspozycje wypożyczone zostały z Muzeum Zabawek i Zabawy w Kielcach.

■ 23 maja w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Sosnowcu odbyła się akcja wymiany książek, zorganizowana przez Śląskich Blogerów Książkowych i Bibliotekę Główną.

■ 15 maja w muzeum „Szytarka” w Dąbrowie Górniczej miało miejsce kameralne otwarcie czasowej ekspozycji pt. „Polski Afganistan. (Foto) historia największej operacji Wojska Polskie-

go Humanitas uświetnił występ Andrzeja Grabowskiego, który w niezwyklej interpretacji przedstawił utwory z tekstami Jana Wólka, pochodzące z drugiej płyty artysty zatytułowanej „Cudne jest nudne”.

## Teatr Dzieci Zagłębia zagrożony?

Trwa protest w Teatrze Dzieci Zagłębia w Będzinie, którego (jakkolwiek zabrzmiało by to paradoksalnie) dalszy byt stanął pod znakiem zapytania. A wszystko za sprawą decyzji Starostwa Powiatowego w Będzinie, które odmówiło współfinansowania teatru. Członkowie rady powiatu stwierdzili, że podpisana w 1999 r. umowa jest ułomna, co pozwala zdaniem nowego starosty Arkadiusza Watoty na jej wypowiedzenie. Nie pomogły interpretacje prawne przygotowane w urzędzie wojewódzkim, nie nie wskazało Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, bez odpowiedzi pozostały także argumenty prezydenta Będzina Łukasza Komoniewskiego, podobnie nieskuteczne okazały się negocjacje, którym przewodniczyli Olgierd Łukaszewicz prezes ZASP-u i wiceprezes Ewa Leśniak.

W obronie teatru stanęło całe środowisko artystyczne regionu, dyrektorzy teatrów, aktorzy scenografowie, kompozytorzy, akcją protestacyjną wsparli także honorowi obywatele Będzina Sławomir Pietras i Michał Rośniński, były dyrektor TDZ oraz mieszkańcy Będzina i okolicznych miast. Spotkanie 29 maja nie przyniosło rezultatu, kolejny akt tego absurdu dramatu rozegra się 9 czerwca.

## Szansa dla młodych

Wszyscy, którzy przepowiadają zmierzch zainteresowania wokalistyką klasyczną powinni uczestniczyć w I Ogólnopolskim Konkursie Wokalnym im. Jana Kiepury w Sosnowcu. Sale koncertowe przy Zespole Szkół Muzycznych gościły w maju 126 młodych utalentowanych i marzących o scenach operowych świata uczestników. Byli wśród nich uczniowie klas śpiewu solowego szkół muzycznych II stopnia oraz studenci wydziałów wokalnych uczelni muzycznych. Konkurs nie był łatwy. Młodzi śpiewacy musieli zmierzyć się z utworami m.in. G.F. Händla, W.A. Mozarta, S. Moniuszki, G. Verdiego, P. Czajkowskiego, K. Szymanowskiego. Jury w składzie: Ewa Biegas, Urszula Kryger, Małgorzata Lasota, Paolo Fiamingo, Maciej Figas, Czesław Gałka nie mieli prostego zadania, jak powiedział jeden z jurorów poziom był wysoki i wyrównany.

W ostatnim etapie uczestnikom towarzyszyła orkiestra Filharmonii Zabrzeńskiej pod dyrekcją Sławomira Chrzanowskiego. Laureatami pierwszych nagród w poszczególnych kategoriach zostali: Magdalena Dudek, Szymon Szymik, Agata Dembska-Kornaga i Paweł Brożek.

go od czasu II wojny światowej”. Wystawa obejmuje 40 wybranych fotografii autorstwa Marcina Wójcika oraz Marcina Ogdowskiego – korespondentów wojennych dokumentujących służbę polskich żołnierzy w ramach misji w Afganistanie.

■ 15 maja w sali widowiskowo-koncertowej „Muza” w Sosnowcu podczas wczoruzego wirtuozami gitary wystąpili: Brian Gore, Lulo Reinhardt, Mike Dawes, Andre Krengel i Michał Czachowski.

■ 23 maja w sali widowiskowo-koncertowej Muza w Sosnowcu odbył się koncert galowy finalistów Międzynarodowego Integracyjnego Festiwalu Piosenki INTERMUZA 2015, gościem specjalnym wieczoru był Mariusz Patyra.

■ Do 17 czerwca można oglądać w muzeum „Saturn” w Czeladzi wystawę zatytułowaną „Dzieje straży pożarnej w Polsce i na świecie”, ekspozycje pochodzą z myślowieckiego muzeum.

## W Karwinie zagrzmiało. Na rockowo!

„Chcemy być sobą” – śpiewał w pierwszej sobotę maja na stadionie zimowym w Karwinie z liderem polskiej kapeli Perfect, Grzegorzem Markowskim, ponadtrzytysięczny tłum. Koncert Perfectu był punktem kulminacyjnym tegorocznego festiwalu Dolański Gróm, który na zaolziańskich „dolach” odbył się po raz szósty. Jego organizatorem było tradycyjnie Miejskowe Koło Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Karwinie-Frysztaście.

Miłośnicy rocka podkreślali podczas koncertu, że Dolański Gróm, nazywany także Gróm Rockfestem, był z pewnością najważniejszym tegorocznym polskim wydarzeniem muzycznym na zaolziańskim brzegu Olzy. Oprócz Perfectu, który na Zaolzie odwiedza swoich wiernych fanów od 33 lat (pierwszy koncert, jeszcze ze Zbyszkiem Hołdysem, odbył się na Złocie Młodzieży Związkowej w Bystrzycy w sierpniu 1982 r.), przyjechał do Republiki Czeskiej po raz pierwszy grający od 33 lat zespół T. Love.

Obie polskie kapela przekazały swoje honoraria na rzecz dofinansowania remontu Domu PZKO w Karwinie-Frysztaście. – Cały dochód z imprezy, jak zwykle, przekazujemy na remont naszej siedziby. W tym roku zaś chcielibyśmy pieniądze z festiwalu przeznaczyć na zakup mebli, techniki audiowizualnej, oświetlenia. Dlatego chciałbym podziękować zespołom Perfect i T. Love, za serce, za to, że zrzęły się swojego honorarium i wsparły nasze Koło PZKO – powiedział podczas krótkiej konferencji prasowej we frysztańskim Domu PZKO członek sztabu organizacyjnego Dolańskiego Grómu i jego rzecznik, Marek Matuszyński. Wszyscy muzycy obu kapel złożyli podpisy na plakietach ze swoimi winylowymi płytami, które zawisną w honorowym miejscu siedziby frysztańskich PZKO-wców.

Festiwal otworzył zespół T. Love. Fani znad Olzy udowodnili kapeli, że doskonale znają jej utwory, śpiewając wszystkie, nawet te najnowsze, wspólnie z jej liderem, Munikiem Staszczykiem. Czeską scenę rockową godnie reprezentowała formacja Chinaski. Także jej muzycy nie mogli narzekać na to, że miłośnicy rocka znad Olzy nie znają jej utworów. A podczas kończącego maraton rockowy występu Perfectu śpiewał już cały karwiński stadion. Zwłaszcza że Grzegorz Markowski wspólnie z organizatorami zaprosili pod scenę także tych, którzy nie mieli uprawnień do wejścia na płytę stadionu.

W rockowym tańcu falowali wspólnie nauczyciele ze swoimi uczniami, prezesi Kół PZKO z członkami Klubów Młodych, dziadkowie z dziećmi i wnukami. Tańczyli i śpiewali zarówno Polacy z obu brzegów Olzy, jak i Czesi, nie tylko znad Olzy. Kto nie był, niech żałuje! Co tu dużo mówić – Dolański Gróm 2015 za nami. Niech żyje Dolański Gróm 2016! Na pewno też będzie solidny czad!

JACEK SIKORA

# ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

## Prestżowa nagroda dla Marioli Pytlík

Mieszkająca w Łomnej Dolnej, a pochodząca z Karwiny ekonomistka Mariola Pytlík może się pochlubić bardzo prestiżową nagrodą. Zaolziańska została bowiem pierwszą w historii laureatką Nagrody Katedry Śmidkovej.

Nagrodę, której patronuje zmarła przed rokiem wybitna ekonomistka i długoletnia dyrektor Wydziału Badań Ekonomicznych Czeskiego Banku Narodowego, przyznało po raz pierwszy Czeskie Towarzystwo Ekonomiczne (CTE). Inż. Mariola Pytlík Ph. D. jest wykładowcą Wydziału Ekonomicznego Wyższej Szkoły Górniczej – Uniwersytetu Technicznego w Ostrawie. Nagrodę Katedry Śmidkovej przyznano jej za wybitne osiągnięcia naukowe w dziedzinie ekonomii, zwłaszcza zaś dotyczące rynku pracy i migracji międzynarodowej. Laureatka odebrała swoją nagrodę 18 maja z rąk prezydenta CTE, Romana Horvátha oraz gubernatorki Banku Izraela, Karnit Flug (nb. pochodzi z Polski). Stało się tak podczas zorganizowanej przez Czeski Bank Narodowy konferencji „Research Open Day”.

## Maj nad Olzą po raz dwudziesty

Ponad setkę kuracjuszy Uzdrowiska Darków oraz mieszkańców Karwiny zwały do Parku Zdrojowego coniedzielne koncerty odbywające się w ramach Międzynarodowych Dni Folkloru Maj nad Olzą. Organizatorami tegorocznej jubileuszowej, bo 20. edycji Maja nad Olzą, było Miejskowe Koło Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Karwinie-Raju. Zainaugurował ją zaś w piątek 1 maja koncert Zespołu Pieśni i Tańca „Suszanie” oraz zespołu wokalnego „Chórek”, działających przy Miejskowym Kole PZKO w Suchej Górnej. Zagrala ponadto orkiestra dęta zboru Śląskiego Kościoła Ewangelickiego A. W. w Oldrzychowicach.

W kolejne niedziele zaprezentowały się m.in. Old Boys Band z MK PZKO w Orłowej-Porębie, chór „Hejnał-Echo” z Koła PZKO w Karwinie-Frysztaście, ostrawska kapela ludowa „Śmykna”, Zespół Folklorystyczny „Skotniczka” z Orłowej, katowicki Zespół Akordeonistów „Kleofas” i Chór Mieszany „Dźwięk” z Karwiny-Raju czy Zespół Pieśni i Tańca Zie-

mi Cieszyńskiej im. Janiny Marcinkowej z Cieszyna.

## „Trallala” złoty we Włoszech!

Chór dziecięcy „Trallala” może się pochwalić kolejnym dużym sukcesem. Zespół, działający pod kierownictwem Beaty Brzóska przy Polskiej Szkole Podstawowej w Czeskim Cieszynie, występował bowiem złotą nagrodę na festiwalu we włoskim mieście Cattolica.

Na odbywającym się w Cattolie Międzynarodowym Festiwalu Chórów „Queen of Adriatic Sea” chór „Trallala” przebywał 7-10 maja. Cieszyńczycy nie tylko wystąpili tzw. Złote Pasmo w kategorii chórów dziecięcych i młodzieżowych do lat 21. Zakwalifikowali się również do konkursu o główną festiwalową nagrodę – Grand Prix, w którym chór z Czeskiego Cieszyna wywalczył brązowy medal. Festiwalowe jury ponadto przyznało Beacie Brzósce nagrodę specjalną dla najlepszego dyrygenta międzynarodowego spotkania chórzystów.

## Książka do każdej biblioteki

W wypełnionej do ostatniego miejsca czeskocieszyńskiej kawiarni „Avion” odbyła się 15 maja promocja książki braci Karola i Józefa Mrózków „W cieniu Żywocia”. Publikacja dokumentująca wydarzenia, które rozegrały się na górnosudzkich Kątach leżących zarówno w sensie dosłownym, jak i w przenośni w cieniu Żywocia, została wydana przez Koło Polskich Komitantów oraz Kongres Polaków w RC.

Do okresu przed wybuchem II wojny światowej, czasów okupacji oraz pierwszych lat powojennych uczestnicy spotkania zostali przeniesieni dzięki fragmentom książki braci Mrózków, której gros tworzą pamiętniki ich matki Anny Mrózek, więźnia obozów koncentracyjnych Leonarda Wałoszka oraz wspomnienia pięcioletniego wówczas Józia. Aktorka Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego, Halina Paseková, oraz Bronisław Firla wprowadzili słuchaczy w realia zakładu krawieckiego ojca autorów książki, Józefa Mrózka, którego rodzina z dwójką małych dzieci została przez Niemców wysiedlona. Czytali o dzieciństwie za kolczastymi drutami rybnickiego lagru, o wyjściu z niego i wreszcie wyzwoleniu, które przyszło do Suchej Górnej dwa dni przed 1. urodzinami Lolusia, czyli Karola Mrózka.

W czasie spotkania zabrzmiał również list Pawła Niemca, współwięźnia Józefa Mrózka, opisujący dramatyczne okoliczności jego śmierci w Nordhausen. Natomiast na zakończenie Halina Paseková przeczytała wiersz pochodzącego również z Suchej Górnej, przedwcześnie zmarłego poety Adolfa Dostala, dedykowany matce. Nastroj przywołanych wydarzeń potęgowała muzyka w wykonaniu Františka Panáčka i Krysztiana Danela.

Jednym zdaniem

■ Jubileusz 70-lecia obchodzi w czerwcu „Głos Ludu”, jedyna polska gazeta ukazująca się w Republice Czeskiej.

■ „Boso i z wiankiem na głowie” – tak nazywa się nowy tomik poetycki Ewy Sabeli-Furtek, którego promocja odbyła się w sobotę 23 maja w Ośrodku Kultury „Strzelnica” w Czeskim Cieszynie.

■ Marek Grycz, młody pięcioboista nowoczesny z klubu SC Bystrzyca, na co dzień uczeń Polskiego Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Cz. Cieszynie, wywalczył złoty medal w międzynarodowych mistrzostwach RC do lat 18.

■ Jubileusz obchodziło w maju kilka zaolziańskich polskich szkół. 90-lecie świętowała podstawówka w Czeskim Cieszynie, 140-lecie szkoła w Łomnej Dolnej, 85. urodziny zaś szkoła w Suchej Górnej.

■ W Muzeum Śląska Cieszyńskiego w Cieszynie można już kupić długo oczekiwaną VI tom „Dziejów Śląska Cieszyńskiego od zarania do czasów współczesnych. Śląsk Cieszyński w latach 1918-1945”. Najnowsza książka ukazała się pod redakcją prof. Idziego Panica i dotyczy okresu od zakończenia I wojny światowej do II wojny światowej w 1945 roku.

■ Na tradycyjne przedstawienie zaprosił 10 maja teatrzyk działający przy Kole PZKO w Śmíłowicach. Aktorzy zagrali tym razem trzy jednoaktówki: „Trusiok”, „Fatalne spodnie” i „Miano na gruncie”.

■ Franciszek Gnida, pochodzący z Łazów młody ksiądz i katecheta, który zginął w czasie II wojny światowej w obozie koncentracyjnym w Matchausen-Gusen, ma teraz tablicę pamiątkową w kościele ewangelickim w Bystrzycy. 10 maja, z okazji 70. rocznicy zakończenia wojny, miejscowi ewangelicy postanowili przypomnieć ks. Gnidę i innych ewangelickich duszpasterzy z Zaolzia, więzionych i zamordowanych przez nazistów.

■ Senator Petr Gawlas z Jablonkowa miał zaszczyt podać podczas audycji generalnej w Watykanie rękę papieżowi Franciszkowi. Pochodzący z Jablonkowa przewodniczący senackiej komisji rozwoju regionalnego, administracji publicznej i środowiska odwiedził Stolicę Apostolską 12-14 maja jako członek delegacji Izby Wyższej Parlamentu Republiki Czeskiej.

■ Józef Przywara będzie przez cztery lata przewodniczącym Ruchu Politycznego Coesistenza-Wspólnota. Postanowili tak delegaci XIV Kongresu Ruchu, który odbył się 16 maja w Domu PZKO w Jablonkowie. Na pierwszego wiceprzewodniczącego wybrano Róberta Komjathy’ego z Węgierskiej Sekcji Narodowej Coesistenza.

■ Miejskowe Koło PZKO w Trzynie-Nieborach w sobotę 23 maja obchodziło 30-lecie otwarcia swojego domu. Okrągłą rocznicę przypomniawo w ramach 62. Dnia Oszeldy.

Ten dzień nie był dla mnie nigdy świętem, był raczej dniem wolnym, i dlatego cieszył, choć przedpołudnia miało się pochodem zajęte.

Na studiach nie było przymusu uczestniczenia, choć jedna partynia asystent potrafiła potem zadać nieobecnym docieklive pytania. Więc szliśmy, przed trybuną, na której w ostatnim szeregu widywaliśmy zaszczyconych choć nieco speszonych znajomych., my zaś zaraz potem wykorzystywaliśmy pierwszą okazję roztopienia się w tłumie na chodniku.

Byłe się nic nie miało do niesienia...

I choć szliśmy w milczeniu, przypomina mi się radosna pieśń masowa, na inną okazję ale jakież piękna, którą często żartobliwie nucił mi idąc do stołówki: Niosą wieniec dożynkowy, na nim żyto i pszenica, a na czele najpiękniejsza, przodownica, robotnica....

Po takim „świętecznym” okazynym spotkaniu z kolegami wypadało pójść gdzieś na piwo, władza jednak troszczyła się o to, by nikt z manifestantów nie dotarł do niego za szybko.

Bramy nielicznych miejsc udostępniających napoje chłodzące otwierały swe podwoje zdecydowanie później.

Kiedy tak w przeddzień pierwszego maja rozmyślałem nad kolejnym tematem z puentą, przychodzi mi z pomocą Józek Krupa niegdysiejszy scenograf telewizyjny, z jego wspomnieniem z końcówki lat sześćdziesiątych:



Zbliżało się święto 1 Maja, w katowickiej telewizji jak co roku w przeddzień święta, miał wystąpić pierwszy sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR towarzysz Edward Gierek.

Przygotowywałem scenografię dla tego wydarzenia.

Projekt musiałem zatwierdzić w wydziale propagandy komitetu wojewódzkiego.

Jeden z odpowiedzialnych towarzyszy za ten program, miał wątpliwości, czy w dekoracji jest wystarczająco czerwonej draperii.

Było to jeszcze w czasach telewizji czarno białej, więc powiedziałem, że koloru jeszcze u nas nie widać. W odpowiedzi dowiedziałem się, że ludzie to czują jak my towarzysz sekretarza pokazujemy.

Więc choć dodałem więcej czerwieni, to i tak wszystko pozostało szare...

Towarzysz Gierek zasiadł za największym biurkiem jakie w TV posiadaliśmy i wygłosił kolejne optymistyczne przemówienie do klasy robotniczej.

Po zakończeniu redaktor naczelny zaprosił sekretarza do reżyserki, aby mu pokazać film o otwarciu nowego zakładu produkcyjnego w naszym województwie.

Tow. Gierek z zainteresowaniem oglądał filmik i w pewnym momencie cofnął się od monitorów, nie zauważając w panującym tu półmroku, że podest na którym się znajdował, nie sięga aż do ściany.

Runął w dół. Usłyszeliśmy nieartykułowane słowo i jęk.

Niektórzy twierdzili, że towarzysz znający francuski powiedział: „merde”.

Zaczęto wyciągać Gierka z miejsca upadku, że był dość okazałej postury to i szło to opornie.

Kość lewego ramienia Sekretarza uległa złamaniu.

Inspektor programu szybko wezwał pogotowie, które to pojawiło się szybciej, niż specjalne, partyjne.

Obstawa nie pozwoliła jednak do tej pierwszej zwyczajnej karetki zabrać tak ważnej osoby.

# Anegdoty

HENRYK BZDOK

dzień nie nudzi, jak siedzenie za kijem – rzekłem: No dobrze.

Jako chłopiec wychowany nad Odrą, woda mnie przyciągała.

Wziąłem mydło, ręcznik (kalamburzyści wiedzą dłaczego) i coś tam jeszcze a Acio, zielony 50 litrowy amerykański wór wojskowy, wypełniony szpejami, wlekleliśmy razem.

Ruszyliśmy, najpierw pociągiem w poprzek kraju, potem autobusem, aż w końcu długą polną dróżką wzdłuż szczytowego lasu... Chatki pokazały się na horyzoncie po pół godzinie marszu. Najpierw zobaczyłem na drodze przed bramą kałuże głęboką i wielką jak małe jezioro, później dopiero szły „Softys” na nieotynkowanym domu.

Powitano nas serdecznie i zapytano co tam w świecie.

Nieco później Artur pokazał mi jezioro za stołką, okrągłe o kilometrowej średnicy, do pomostu wśród trzciny przywiązana była ciężka drewniana solidna łódka.

No to sobie trochę popływamy pomyślałem... ale przedtem trzeba było nakopać robaków.

Rano skoro świt, ruszyliśmy na połów, na plecach wiosła, wędziska, szkatułki, przyborki, podbierak... Płyniemy, gdy Artur woła: Stop... wsparłem się o wiosło, jest Stop, cofnij trzy metry – zawołał kapitan, ten jest miejsce, poznaję po namiarach do brzegu, jeszcze trochę... Stoimy. Patrzę jak otwiera zasobniki a w nich muszki sztuczne, śliczne, barwne, do gabloty w muzeum by się nadały, a te splawiki, wszystkie nowe, jest na co popatrzeć. Wprawny rzut i czekanie, czekanie.... drgnęło, psst cisza. – Nie szuraj butami, sza.... mi-ja pół godziny – zmieniamy miejsce. – Przemieściły się – stwierdza mistrz, – podpłynmy ot tam.

Teraz będzie bal, spinning czy jak to się zwie, och tu dopiero wpadłem w zachwyt nad jego kolekcją: rybki złote, rybki srebrne z haczykiem u ogonka z śmigielkiem, bombką, dzwoneczkiem, czymś co nazwać niepodobna... Siedziałem i podziwiałem jak Acio biczuje jezioro... ja już mam dość, ale... Powrózmy po południu... Próbowałem, do zmroku, nic, podobno ryby wcześniej kładą się spać.

Wieczorem Acio mówi, że najlepsze są nocne połowy, pójdziemy przed świtem.

Poszliśmy, będziemy tym razem łowili z brzegu. No i siedzimy, patrzę na zegarek – trzecia czterdzieści pięć, lekko chłodno, Acio wpatrzony w ciemność. – Mam splawik alarmujący – powiada a mnie się nuży – trzecia czterdzieści dziewięć, siedzimy. On lekko się pochylili, milczy, jak ten czas się dłuży, patrzę minęły dwie minuty, cisza. Trwamy – kolega już całkiem zgięty, a czas jakby stanął, co pięć minut zerkam na zegarek, by stwierdzić że minęła minuta. Artur śpi, ja czuwał, coś pobekuje, sarna? Boże, żeby to już było rano... w końcu i mnie zmogło, zasnąłem. Budzę się, świta, zza jeziora niebo ociepla się barwą, patrzę na zegarek 4,30... j-a-k t-o s-i-ę w-l-e-c-z-e.

Widzę splawik, ani drgnie, znowu nic. Budzi się Artur – która to godzina?... czwarta- trzydzieści. O kurcze... ale ten czas leci.

Jutro będzie ryba, po naszymu – powiedział Staszek softys, chodzta zającimy.

No to popłynęliśmy wieczorem, Staszek zarzucił długi sznur, na którym na żyłkach wisiały kawałki małych rybek złowionych sakiem.

Rano ponownie, by zebrać plon, wiosłowałem a Softys wyciągał sznur, na co którymś haku coś wisiąło, jakby repertuar jeziora: płoć, węgorz, sum, okoń było na tyle, że w ostatni wieczór dobrze się objedliśmy rybą. ■

Kiedy w połowie lat siedemdziesiątych zbliżał się termin rozpoczęcia Mundialu, grafik Artur Starczewski powiedział: Ty to Dziadek, będziesz oglądał?

„Dziadek” – było rozpowszechnioną przez Eugeniusza Rzeżuchę (grafika i satyryka) formą zwracania się do rówieśników.

A skąd... wiesz przecie, że poza „Tour de France” i „Bilardem” niczego nie śledzę.

To jedźmy na ryby – mam dobre miejsce, jezioro przy ruskiej granicy... a ja, choć nie mnie bar-



# W ogródku o szczęściu

JAROSŁAW STARZYK

– Zapraszam – profesor zgarnął mnie z ulicy i pomaszzerowaliśmy do naszej ulubionej kawiarni osiedlowej, która dorobiła się ostatnio czterostolikowego ogródka. Tam zasiedliśmy, naukowiec jednak, zamiast spodziewanego piwa (niezłego) z małego browaru, zamówił nam kawę i po lampce brandy.

– Czy pan wie, co to jest pudełek? – zapytał.

– Mały pudel – odpowiedziałem. – Jest podobno taka miniaturowa odmiana tej psiej rasy.

– Możliwe. Mnie chodzi jednak o taki portal, czy też strony (pan wie, że nie jestem za mocny w internetowych kwestiach), gdzie zamieszcza się plotki o ludziach sławnych nie wiadomo dlaczego (przynajmniej ja tego nie wiem).

Dopiero teraz dotarło do mnie, że profesor jest dziś trochę jak ulubiony drink Bonda – wstrząśnięty, choć nie zmieszany.

– Wie pan, że byłem u Ewki – stwierdził. Wiedziałem. Jego córka i zięć pojechali ze swoim synem do Warszawy na jakiś konkurs międzyszkolny. Normalnie wnukami opiekuje się profesorowa, ale tym razem była zajęta robieniem przetworów z truskawek, czereśni i innych owoców (niepokoilo mnie, czy nie jest to przypadkiem zapowiedź ostrej zimy). Więc to nasz uczonek został oddelegowany na tydzień do Ewki.

– Ona ciągle „siedzi na pudełku”, poza tym ogląda wszystkie „toksoły”. A ja, przez te 7 dni z nią.

– Pan profesor to wytrzymał?

– Ewka tak kocha dziadka. Ale zaniepokoiło mnie to, że zaczyna należeć do tzw. niewyrobionej publiczności. Na szczęście nie. Ona uważa, że ci pokazywani i opłotkowany to idiotki i idioci. Głupio się zachowują, głupio mówią, głupio myślą... Ale wynotowuje niektóre rzeczy i wymienia te informacje z koleżankami, które też to robią, wymieniają się tym, no i zaśmiewają się do łez. Oczywiście zareagowałem. Zacytowałem jej Boya: „złe sobie daje świadectwo, kto cudze wyszydza kalectwo”. Ale zacząłem się nad tym głębiej zastanawiać. Myślę, że wielu celebrytom nie jest miło, kiedy dociera do nich prawda, że ludzie (nawet nastolatki bardziej rozgarnięte), uważają ich za głupków. I że pewni dziennikarze żerują na nich jak hieny. Zadają im pytania, żeby ich ośmieszyć. A oni nie potrafią się bronić. Czy nie uważa pan, że jakaś organizacja pozarządowa albo obrońcy praw człowieka nie powinni na to zareagować?

– Dawno, dawno temu, kiedy jeszcze miałem telewizor, często oglądałem kanał, który nadawał wyłącznie filmy dokumentalne. I kiedyś trafiłem na dokument o ostatnim panoptikum w USA. Objazdowe panoptikum. Była to trupa złożona, no nie będę się silił na jakąś poprawność polityczną, z wybryków natury. Był olbrzym, karlica, inne monstra... Na mnie największe wrażenie zrobiła dziewczynka z czterema nogami... Miała dwie ręce, ale poza jedną, normalną parą nóg, miała drugą, krótszą. Przykro było patrzeć. Ci ludzie objeżdżali rozmaite miejscowości w Stanach i gawiedź płaciła za to, żeby ich oglądać. Wreszcie znaleźli się ludzie wrażliwi, obrońcy praw człowieka, którzy dostrzegli niemoralność takiego procederu. Oni doprowadzili do likwidacji ostatniego panoptikum w USA. Film kończył się rozmową z członkami zlikwidowanej trupy. Jacy oni byli rozżaleni! Mówili: „czuliśmy się potrzebni”, „ludzie przychodzili się z nami spotkać”, „zarabialiśmy na swoje utrzymanie”, „byliśmy tacy szczęśliwi”... Szczęśliwi. Trudno to sobie wyobrazić. Jako emeryt czuję się szczęśliwy, że nie do mnie już należy naprawa świata.

Redakcja miesięcznika „Śląsk” z okazji 20. roku istnienia, pragnie z tej okazji sprezentować Czytelnikom publikowaną co miesiąc „Kolekcję jubileuszową”. Składają się na nią grafiki i malarstwo wielu znakomitych artystów z regionu śląskiego.



Fot. Krzysztof Szafrańiec

## Roman Kalarus

Urodził się w 1951 roku. Studia w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, Wydział Grafiki w Katowicach. Dyplom z wyróżnieniem w 1976 roku. Obecnie profesor zwyczajny – prowadzi pracownię plakatu w Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach.

Wystawia na ważnych pokazach grafiki i plakatu w kraju i zagranicą: Warszawa, Kraków, Katowice, Rzeszów (Polska); Lahti, Helsinki (Finlandia); Toyama, Ogaki (Japonia); Paryż, Chaumont, Rouen, Grenoble (Francja); Chicago, Waszyngton, Colorado, Indiana (USA); Koln, Dusseldorf, Berlin, Essen, Heilbronn (Niemcy); Winterthur, Fribourg, Zurych (Szwajcaria); Wenecja, Mediolan, Cremona (Włochy); Sofia, Warna (Bułgaria); Brno, Praga (Czechy); Bratysława, Tmava (Słowacja); Sewilla (Hiszpania); Ljubljana (Słowenia); Mons, Bruksela (Belgia); Ballart (Australia); Budapeszt, Pecs (Węgry); Kijów (Ukraina); Moskwa (Rosja) oraz Chiny, Indie, Iran, Meksyk.

Ważniejsze wystawy indywidualne: Katowice, Kraków, Łódź, Warszawa, Poznań i inne (Polska); Heilbronn, Essen, Braunschweig, Dusseldorf, Berlin, Dachau (Niemcy); Bruksela (Belgia); Thiant, Grenoble (Francja); Kansas City (USA); Londyn (Wielka Brytania); Budapeszt, Pecs (Węgry); Kijów, Czernichów (Ukraina); Sztokholm (Szwecja); Helsinki (Finlandia); Mińsk, Grodno, Witebsk (Białoruś); Istambul, Ankara (Turcja); Tel Aviv (Izrael); Santiago, Vina del Mar (Chile).

Jest uczestnikiem międzynarodowych sympozjów, warsztatów i wystaw.

Współautor i współrealizator (wspólnie z Joanną Piech) realizacji sakralnych polichromie, malarstwo, witraże w kościołach pw.: Błogosławionej Karoliny Kózkówny w Tykach i Matki Kościoła w Katowicach. Zdobył wiele nagród i wyróżnień. Tworzy obrazy, plakaty, grafiki, znaki graficzne, ilustracje, scenografie teatralne, wnętrza kościołów i klubów muzycznych.



du Fête  
graphisme

CÉLÉBRER PARIS  
Roman Kalarus, Pologne  
2013

Sous le patronage de  
Madame Aurélie Filippetti,  
ministre de la Culture  
et de la Communication

Une Commande artistique  
de la Ville de Paris  
MAIRIE DE PARIS

Avec JCDecaux, Grand partenaire  
JCDecaux

En partenariat avec les professionnels  
des arts graphiques  
AGFA  
PBL



70 lat  
TWORZYMY  
SZTUKĘ